

**BETTY NEELS**

**Najcudowniejsze  
lato**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Matilda zakochała się po uszy. Po raz pierwszy ujrzała owego nieznanego, gdy sir Benjamin Fox odczytywał pierwszą lekcję. Matilda popatrzyła wzdłuż ławki na swoich dwu braci, którzy mieszkali w domu podczas ferii, na dwie siostry i matkę, a potem jej wzrok powędrował ku ławie dworskiej z boku prezbiterium, w której siedziała lady Fox i członkowie jej rodziny. Nieznacznie obróciła głowę i po drugiej stronie głównej nawy, tuż obok doktora Bramleya, zobaczyła nieznanego. Był to mężczyzna wysoki, o szerokich barach, jasnych włosach i wspaniałym profilu. Niestety, nie rozglądał się tak jak ona. Kiedy z ust sir Benjamina padło ostatnie biblijne imię, wzrok Matildy spoczął na nim ponownie.

Jej ojciec zaintonował pieśń, parafianie powstali z miejsc i dołączyli do niego ochoczo. Potem znów siedli, żeby wysłuchać drugiej lekcji. Dyrektor miejscowej szkoły odczytał ją bez pośpiechu, wyraźnie, tak że tym razem Matilda słuchała, dopóki coś nie skłoniło jej do zerknięcia raz jeszcze na drugą stronę nawy. Nieznajomy patrzył na nią. Był tak przystojny, jak przypuszczała. Patrzył bez uśmiechu, w kościele zresztą byłoby to niestosowne, ale jakby natarczywie.

W jednej chwili poczuła błogość i podniecenie, jakby przemieszane ze sobą. Wiedziała z całą pewnością, że właśnie się zakochała. Rozmyślała o tym podczas kazania wygłaszanego przez ojca pilnując się, żeby nie spoglądać na drugą stronę nawy. W tej niewielkiej wiosce wszyscy się znali i interesowali

sprawami bliźnich, szczególnie sercowymi. Matilda zdawała sobie sprawę, że swoim dotychczasowym postępowaniem rozczarowała całą wioskę. Trzy razy proszono ją o rękę i trzy razy, zawsze grzecznie, odmawiała, bez żalu patrząc, jak jej konkurenci żenią się z kimś innym. Wkrótce skończy dwadzieścia sześć lat, co przypominała jej często pani Chump ze sklepu spożywczo-przemysłowego, a jednak wciąż czeka. I oto pojawił się ten, którego chciałyby poślubić, jakby spadł jej z nieba. Oczywiście, mógł być żonaty, zaręczony, mógł być zaprzysięgłym kawalerem. Trzeba się tego dowiedzieć, ale to żaden kłopot - zapyta doktora Bramleya, z którym jest zaprzyjaźniona.

Odśpiewano ostatnią pieśń i wszyscy zaczęli się rozchodzić, przystając co chwila na krótkie pogawędki. Rodzina pastora była lubiana, toteż posuwali się w tłumie bardzo wolno. Kiedy dotarli wreszcie do drzwi kościoła, Matilda zdążyła jeszcze zobaczyć nieznanego i towarzyszącego mu doktora, rozmawiających z sir Benjaminem. Lady Fox dotknęła jego ramienia i wypchnęła do przodu swoją najstarszą córkę, Roseanne. Matilda widziała, jak zabrali go ze sobą i szli razem wysadzaną drzewami aleją prowadzącą z dziedzińca kościelnego do dworu.

Patrzyła za nim, planując w duchu, że wypyta o niego rano we dworze. Esme, jej młodsza, czternaastoletnia siostra, pociągnęła ją za rękę.

- Hej, Tilly. Założę się, że ci się bardzo spodobał, bo mnie tak. Jest trochę za stary dla mnie, ale dla ciebie w sam raz.

- Kochanie, co za głupstwa pleciesz.

- Spiekłaś raka, kiedy na ciebie popatrzył. Myślę, że to te twoje włosy przyciągają wzrok. Jakby świeciły nawet pod kapeluszem, wiesz? - Kiedy weszły na dróżkę prowadzącą do ogrodu plebanii, dodała jeszcze:

- Hilary także go zauważyła, ale ona jest oczywiście zaręczona...

- Zapomnijmy o nim - zaproponowała pogodnie Matilda. - Prawdopodobnie nigdy więcej już go nie ujrzymy. - Mówiąc to, życzyła sobie z całego serca, aby tak się nie stało. Czy mogłaby wyjść za mąż za kogoś innego, teraz, kiedy go ujrzała i poczuła, że to wreszcie miłość? Będzie musiała zostać starą panną, pomagać we wszystkim ojcu, nosić ponure kapelusze i niemodne stroje. Westchnęła na samą myśl o tym.

- Jestem pewna, że znowu się spotkacie. On chyba jest ci przeznaczony - powiedziała Esme.

- Co za romantyczne głupstwa — ponownie skarciła ją Matilda i poszła do kuchni, żeby pomóc w przygotowaniach do niedzielnego obiadu.

Matka pochyłona nad piekarnikiem próbowała widelcem pieczeń.

- Kochanie, daj jabłka do sosu, dobrze? Ciekawa jestem, kim był ten wielkolud w kościele? Widziałas go? - Nie czekała na odpowiedź. - Zdaje się, że zna Foxów. Muszę sprawdzić jutro, co mówią we wsi. - Wyprostowała się i zamknęła drzwiczki piekarnika. Musiała być kiedyś tak śliczna jak jej córka. Przyprószone siwizną włosy wciąż lśniły imponująco. - Pani Fox miała okropny kapelusz. Ciekawa jestem, gdzie ona je kupuje?

- Pewno robi je sama. - Matilda obierała jabłka.

Następnego ranka wstała wcześniej i kiedy matka przygotowywała śniadanie, posortowała pranie i uruchomiła pralkę. Potem upewniła się, czy Esme już wstała i czy zdaży na autobus do Sherborne na korepetycje. Potem zbudziła obu chłopców. Druga siostra, Hilary, wyjeżdżała do narzeczonego i właśnie kończyła pakowanie. Wszyscy zasiedli do śniadania, ale niewiele rozmawiano. Pierwsza wyszła z domu Esme, potem chłopcy ruszyli na ryby, a pastor do

szpitala w Salisbury. Jako ostatnia oddaliła się Hilary. Pani Finch i Matilda sprzątnęły ze stołu, zostawiając naczynia do pozmywania pani Coffin, która przychodziła pomagać w gospodarstwie.

- Nie spóźnij się - ostrzegła pani Finch, kiedy Matilda karmiła kota, Nelsona. Gniewało ją, że jej piękna córka musi codziennie chodzić do pracy. Praca w charakterze sekretarki lady Fox nie była co prawda nieodpowiednia dla córki pastora, ale za to źle płatna i obejmująca liczne osobliwe zajęcia, na które żadna inna sekretarka by się nie zgodziła. Jednakże, jak podkreślała Matilda, dzięki niej miała pieniądze na ubranie, korepetycje Esme i na pokrycie części wydatków związanych z konserwacją wielkiego domostwa o przestarzałej instalacji wodociągowej, w której wciąż coś się psuło.

Do dworu szło się tylko kilka minut. Matilda uciekając przed drobnym deszczykiem weszła bocznym wejściem, nie dlatego że nie wolno jej było używać głównego, ale dlatego, że na lśniącej posadzce wielkiego holu zostawały ślady wilgotnego obuwia. Wiedziała, że pani Fletcher, służąca we dworze, na pewno dopiero co skończyła ją polerować. Udała się do kuchni, przywitała z kucharką i podkuchenną, potem poszła do przedniej części budynku. Lady Fox właśnie schodziła po schodach z plikiem listów w ręce.

- Dzień dobry, Matildo - powiedziała spoglądając równocześnie na wielki zegar stojący w holu. Matilda jednak zjawiła się punktualnie i nie było powodu do robienia uwag, powiedziała więc: - Tyle dziś tych listów, doprawdy tak bardzo jestem zajęta...

Lady Fox zmierzyła Matildę niezbyt przychylnym wzrokiem. Nie znalazła w jej wyglądzie niczego nagannego: bluzka w prążki, plisowana spódniczka i tanie półbuty nie zasługiwały na ponowne spojrzenie. Lecz ten niemodny strój nie zdołał zaćmić blasku

włosów ani zieleni oczu. A do tego uroczy nos, ładnie wykrojone usta, cera gładka i świeża jak u dziecka. Lady Fox lekko się zachmurzyła, przypominając sobie tak kontrastujące z tym obrazem pryszcze Roseanne i jej nieszczęsny nos.

- Mam gościa na lunchu, lepiej więc od razu pójdę do kucharki, a ty się tymczasem zajmij tym.  
- Wręczyła Matildzie korespondencję i odeszła do kuchni.

Oddzielając rachunki od rzeźnika i ze sklepu kolonialnego od zaproszeń na obiady i próśb o datki na cele dobroczynne, Matilda zastanawiała się nad nie najlepszym humorem lady Fox. Potem położyła listy na biurku w salonie, sama zaś poszła do chłodnego pokoiku, gdzie zajęła się układaniem kwiatów. Ogrodnik przyniósł wczesne tulipany, żonkile i masę zieleni, próbowała więc zdecydować, co z tym zrobić, kiedy do jej uszu dotarł wysoki i przenikliwy głos lady Fox.

- Możesz zrobić niewielką kompozycję na środek stołu, Matildo. Idź do ogrodu i zobacz, co się tam da znaleźć.

Dobrze wychowana Matilda pozwoliła sobie tylko na grymas niezadowolenia. Gdyby w domu nie potrzebowali pieniędzy, najchętniej wybiegłaby z dworu i nigdy więcej tam nie wróciła.

Ogród działał kojąco. Zebrała do koszyka pierwiosnki i muskarie, Czemierniki, konwalie i garść kolorowych prymulek. Zniosła kwiaty do holu, zamierzając poszukać wazonu, który by dobrze wyglądał na stole.

W holu lady Fox rozmawiała z ozywieniem z nieznanym. Zamilkła na chwilę, żeby spojrzeć na Matildę. Jej towarzysz również na nią popatrzył. Ze swoimi płomiennymi włosami, ze śliczną, zaróżowioną na świeżym powietrzu buzią i koszem kwiatów w ręce wyglądała prześlicznie.

- Ach, jesteś - powiedziała lady Fox z wyraźnie

fałszywą dobrotliwością w głosie. - Ale czy nie powinnaś tych kwiatów ułożyć? - Potem odwróciła się do stojącego u jej boku mężczyzny: - To moja sekretarka i towarzyszka. Wie pan, nie poradziłabym sobie bez pomocy. Roseanne poświęca cały swój czas malowaniu, ma doprawdy talent. - Popatrzył na nią poważnym, badawczym wzrokiem, dodała więc pospiesznie: - To Matilda Finch, najstarsza córka naszego pastora. Matildo, to jest pan Scott-Thurlow.

Matilda odłożyła na chwilę kosz i podała mu dłoń, którą on uściśnął swoją wielką ręką. Teraz, kiedy patrzyła na niego twarzą w twarz, upewniła się, że to mężczyzna, na którego czekała. Uśmiechnęła się do niego promiennie, on odwzajemnił się lekkim uśmiechem. Mocne usta, nieco surowe, oczy pod ciężkimi powiekami niebieskie i chłodne, miał co najmniej trzydzieści pięć lat, może nawet zbliżał się do czterdziestki.

- Bardzo mi miło - powiedział niskim, spokojnym głosem. Matilda uśmiechnęła się.

Lady Fox przemówiła głosem, jaki rezerwowała dla krnąbrnych dzieci, kiedy poproszono ją, by rozdała nagrody w szkółce niedzielnej.

- Zajmij się tymi kwiatami, Matildo. Nie będę cię potrzebowała przez kilka godzin, możesz więc pójść do domu na lunch.

- Mam wrócić po lunchu? - zapytała Matilda.

- O wpół do trzeciej. - Dobrze będzie, jeśli aż do wyjścia pana Scotta-Thurlowa Roseanne nie będzie miała konkurentki, rozmyślała kochająca matka.

- Dobrze, proszę pani. - Matilda przeniosła spojrzenie zielonych oczu na pana Scotta-Thurlowa. Jej „do widzenia” brzmiało wesoło. Skoro go już znalazła, to nie przypuszczała ani przez chwilę, by los znowu go jej odebrał. Chętnie zostałaby na lunchu, jak to na

ogół bywało, lecz jeden lunch więcej czy mniej nic dla przyszłości nie znaczył.

Wymknęła się na tyły dworu, ułożyła kompozycję kwiatową, po czym udała się do domu. Przy wyjściu spotkała Roseanne, a ponieważ miała dobre serce, zrobiło jej się przykro, bo zobaczyła, że ma ona na sobie drogi dwuczęściowy komplet o takim odcieniu zieleni, który jeszcze podkreśla jej brzydką cerę.

- Nie cierpię tego stroju - złościła się Roseanne zatrzymawszy się na widok Matildy. - Mama mówi, że jest elegancki, ale ja się w nim czuję jak idiotka. - Popatrzyła z zazdrością na Matildę. - Ty zawsze wyglądasz dobrze, dlaczego?

- Nie wiem. Do twarzy byłoby ci w zielonkawo-niebieskim.

- Ten pan zostanie na lunchu - ciągnęła nieszczęśliwa Roseanne. - Mama mówiła, że muszę się postarać...

Pospieszyła do holu, a Matilda na plebanię, żeby pomóc przy lunchu i wraz z rodziną zasiąść do stołu.

- O tej porze na ogół nie ma cię w domu - zauważył ojciec nakładając równe porcje jedzenia.

- Wyleli cię? - zapytał Guy.

- Nie dziwiłbym się, przy takich włosach - dodał Tomasz.

- Mają gości na lunchu - wyjaśniła Matilda ignorując braci. - Mam wrócić o wpół do trzeciej.

- Zazwyczaj jadasz tam nawet wtedy, kiedy są goście - zdziwiła się matka.

Matilda popatrzyła na rodziców.

- Ze mną pewno liczba osób przy stole byłaby niewłaściwa, mam. Czy Esme idzie dziś wieczorem na lekcje tańca? Czy mam po nią pojechać?

- Wiesz, kochanie, to byłoby bardzo miło z twojej strony... Autobusem jedzie się tak długo.

Kiedy Matilda przyszła do dworu po lunchu, lady



Fox i Roseanne sprzeczały się z powodu zielonego kompletu. Obie miały kwaśne miny, a lady Fox od razu oznajmiła:

- Ta głupia dziewczyna została zaproszona do Londynu i nie chce jechać.

- Dlaczego? - zapytała wesoło Matilda, która odebrała po drodze drugą pocztę i teraz siadła, żeby ją przejrzeć. - Moim zdaniem byłaby to przyjemność.

- Nie znam tam nikogo - mruknęła Roseanne.

- I nie oczekuj, że będziesz kogoś znać, póki się tam nie znajdziesz — zauważyła Matilda. - Pomyśl o teatrach, o wystawach w Tate Gallery i w National Gallery. Możesz poznać jakichś artystów.

- No tak, myślę, że mogłabym tam kogoś poznać. - Twarz Roseanne się roz pogodziła. - Może to nie tyłoby takie złe.

Po herbacie, Matilda podliczyła domowe wydatki lady Fox i wróciła na plebanię. Był miły wieczór, jazda do Sherborne zapowiadała się przyjemnie. Abner Magna dzieliło od tego miasteczka tylko parę kilometrów, ale drogi były wąskie i kręte, a autobus, którym Esme wracała, zatrzymywał się na każde żądanie, tak że jazda trwała bardzo długo. Matilda włożyła żakiet, poprawiła uczesanie i poszła zawiadomić matkę, że wychodzi. W kuchni nie zastała nikogo, z gabinetu ojca dochodziły głosy. Otworzyła drzwi, wsunęła głowę i zawołała:

- Jadę po Esme, wrócimy... - Nie dokończyła. Obok ojca stał pan Scott-Thurlow i patrzył na ich niezbyt zadbany ogród.

- Dobry wieczór, panno Finch - powiedział.

- John Bramley prosił pana Scotta-Thurlowa o przekazanie książki, którą obiecał mi pożyczyć - wyjaśnił pastor. - Czy znacie się?

- Bardzo krótko - odparł jego gość. - Nie powinienem dłużej zajmować pastorowi czasu. Jeśli dobrze

zrozumiałem, panna Finch jedzie do Sherborne? Właśnie tam się wybieram i z największą przyjemnością proponuję podwiezienie.

Zachwycająca perspektywa, niestety będzie musiała ją odrzucić.

- Jadę po siostrę, która uczęszcza na lekcje tańca. Nie miałybyśmy jak wrócić, bo ostatni autobus już odjedzie.

- Ja również będę wracał. Mam coś zawieźć doktorowi Bramleyowi do szpitala, to kwestia pięciu minut. Moglibyśmy zabrać pani siostrę i w drodze powrotnej zatrzymać się pod szpitalem.

- Ach, jeśli tak, będę panu bardzo wdzięczna. Czy chce pan zaraz wyruszyć?

- Oczywiście. - Powiedział już pastorowi wszystko, co należało. Teraz zatrzymał się na chwilę w holu, żeby pożegnać się z panią Finch.

- Co za frajda - krzyknęła uszczęśliwiona Matilda wskakując do stojącego przed domem rolls-royce'a.

- To dopiero Esmę się zdziwi, jak go zobaczy. Taki pojazd rzadko się widuje w Abner Magna. Oczywiście sir Benjamin ma daimlera, ale dość szacownego... Wie pan, co mam na myśli?

Odpowiedział dość wymijająco. Mimo to czuła się w jego towarzystwie dziwnie swobodnie, toteż ożywiała wspólną jazdę opowieściami o wsi i jej mieszkańcach.

- Przypuszczam, że pan mieszka w Londynie.

- Tak - leniwie odpowiedział pan Scott-Thurlow. — Wasza wioska jest urocza.

- Lubię ją, tu się urodziłam i wychowałam. Czy od dawna zna pan doktora Bramleya?

- Och, od wieków.

- Nie sądziłam, że jest pan tak stary. - Matilda pozwoliła sobie na żart pełen życzliwości.

- Mam trzydzieści siedem lat, a pani? - Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

- Ja? Och, dwadzieścia sześć.

- I wolne serce?

- Miałam... - Trudno odpowiedzieć na takie pytanie. - A pan, czy pan jest żonaty?

- Którędy teraz? - zapytał, gdyż właśnie dojechali do Sherborne. - Nie, nie jestem żonaty, ale zaręczony.

Matilda pomyślała, że tak, jak ona teraz, musi się czuć balon, kiedy ktoś go przekłuje.

- Więc ma pan przed sobą miłą perspektywę. Jesteśmy na miejscu - oznajmiła szorstko.

Zatrzymał samochód i odwrócił się w jej stronę.

- Wie pani, że nie pamiętam, kiedy ostatnio tak szczegółowo mnie wypytywano.

- Ach, przepraszam, nie chcę się wtrącać w pańskie sprawy... chciałam po prostu... byłam ciekawa...

- Utkwiła w nim wzrok, speszona.

- Sprawilo mi to przyjemność. - Uśmiechnął się i ten uśmiech sprawił, że poczuła silniejsze bicie serca. Nie była to jednak oznaka szczęścia, ale złości.

Matilda zarumieniła się i gniewnie ściągnęła brwi przypominając sobie grad pytań, którym go zasypała. Pewno pomyślał, że jest głupią wiejską dziewczuchą. Kilka jego słów i jej sen na jawie przyszedł tak szybko, jak się pojawił. Powinna więc czym prędzej zapomnieć...

- Czy to pani siostra macha do nas po drugiej stronie ulicy? - zapytał.

- Tak, to Esme.

Dobrze się stało, że Esme usiadła koło niego i paplała bez przerwy, bo Matilda nie musiała się wiele odzywać. Przed drzwiami plebanii podziękowała mu chłodno. Esme usilnie go zapraszała, żeby wszedł do środka. Odmówił jednak uprzejmie.

Wyjechał następnego dnia. Wtedy to uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, czym on się zajmuje i kim właściwie jest. Zachowywał się w sposób charakterystyczny dla pewnego siebie adwokata. Słyszała, jak

podczas jego krótkiej wizyty roztrząsali z ojcem jakąś kwestię prawniczą. Zawsze myślała, że adwokaci dobrze zarabiają, na tyle dobrze, by stać ich było na rolls-royce'a. Po ślubie będzie pewno musiał sprawić sobie tańszy samochód. Trzeba będzie dogadzać żonie, a dzieciom zapewnić wykształcenie. Postanowiła, że od tej chwili nie będzie o nim myśleć. Nieprzychylny los sprawił jej psikusa, bo zakochała się w mężczyźnie, który właśnie miał się żenić z inną.

Upłynął tydzień, chłopcy i Esmé wrócili do szkoły, a Hilary do domu. Dni Matildy były wypełnione: codzienna praca u lady Fox, w czwartki wieczorem próby chóru, w niedziele nauka religii i wyjazdy z ojcem do odleglejszych farm. Taka też czeka ją przyszłość, pomyślała w niedzielne popołudnie litując się nad własnym losem. Aby rozproszyć smutne myśli, postanowiła wyjść na spacer do lasu. Dzień był piękny, niebo cudownie niebieskie, drzewa zaczynały się zielenić. Gdy siadła na pniaku, żeby odsapnąć, podbiegła wiewiórka i zatrzymała się mniej więcej metr od niej. - Nie brak w życiu rekompensat - powiedziała do siebie pewnym głosem.

W poniedziałek rano stwierdziła zdziwiona, że w holu czeka na nią lady Fox. Zaniepokojona próbowała sobie uświadomić, czy nie zrobiła czegoś strasznego, na przykład czy nie wysłała listu w niewłaściwej kopercie. Jednakże z uśmiechu na twarzy lady Fos wywnioskowała, że nie chodzi o nic takiego,

- Jesteś, Matildo - zauważyła lady Fox. - Chodźmy do salonu. Chciałabym z tobą zamienić kilka słów.

Skinieniem głowy wskazała jej krzesło. Matilda usiadła ciekawa, co usłyszy.

- Roseanne - rozpoczęła lady Fox - zgodziła się na wyjazd do Londynu, do swojej matki chrzestnej wiesz, tytularnej damy dworu, pani Venables. Jestem zachwycona. Będzie musiała spotykać się z ludźmi.

- W granicy rzeczy miała na myśli młodych, wolnych mężczyzn. - Tutaj po prostu nie ma nikogo w jej wieku i z jej sfery.

Matilda nie powiedziała nic, choć przyszło jej to z trudem. Rodzina Pinchów mieszkała w Dorset i okolicy od stuleci i była równie dobra, jeśli nie lepsza, od Foxów.

- Jaka szkoda, że pan Scott-Thurlow jest zaręczony - ciągnęła lady Fox tonem, który uważała za konfidencjonalny. - Chociaż prawdę mówiąc, byłby dla Roseanne trochę za stary.

- Mówiła pani o wyjeździe Roseanne - przypomniała jej Matilda myśląc o panu Scotcie-Thurlowie.

- Tak, Roseanne pojedzie pod warunkiem, że wybierzesz się razem z nią. Wizyta zaplanowana jest na miesiąc. Możesz jej towarzyszyć. Matka chrzestna nie ma zastrzeżeń, a ja oczywiście wypłacę ci ponadto twoje zwykłe wynagrodzenie.

- Omówię to z mamą i ojcem - odrzekła Matilda spokojnym tonem, w którym osoby bliskie jej i drogie rozpoznałyby pierwsze oznaki wzbierającej w niej złości. - Będę też chciała sama to rozważyć.

- Ależ moja droga, to przecież dla ciebie wspaniała okazja zobaczenia eleganckiego świata. - Lady Fox wyglądała na zdumioną. - Może nawet poznasz jakiegoś odpowiedniego młodego człowieka. Jeśli martwisz się o to, w co się ubrać, to jestem pewna...

- Nie martwię się garderobą, lady Fox. Nie wiem po prostu, czy chcę jechać do Londynu. Naprawdę potrzebny mi czas, żeby się zastanowić.

- Cóż... - Lady Fox na chwilę wstrzymała oddech. - To dla Roseanne bardzo ważny wyjazd. Zrobiła się z niej taka wiejska dziewczyna, brak jej ogłady. Jeśli potrzeba ci czasu na rozważenie tej wspaniałej propozycji, to daj mi znać, jak tylko się zdecydujesz. - Lady Fox wstała. - A teraz zajmij się pocztą i umyj

porcelaną. Muszę jechać do Sherborne. Wrócę na lunch. Sir Benjamin też wyjechał, tak że będziemy tylko we trójkę, ja, Roseanne i ty. Powiedz o tym kucharce.

Pospiesznie odeszła z kwaśną miną, a Matilda pomaszerowała do kuchni, gdzie omówiła z kucharką sprawę lunchu i wypiła filiżankę herbaty przed zabraniem się do pracy.

Myślała drogocenną porcelaną z Sevres, gdy do pokoju weszła Roseanne.

- Pojedziesz ze mną, Matildo, prawda? Bez ciebie nie jadę. Matka nie daje mi spokoju. Jeśli nie pojedę, i tak tu nie zostanę, ucieknę.

Matilda uważnie jej się przyjrzała. Roseanne mówiła serio.

- Porozmawiam o tym z rodzicami. Myślę, że nie będą mieli nic przeciwko temu. Ostatecznie, to tylko parę tygodni.

- Pojechałabyś? Och, Matildo, nie wiem, jak ci dziękować, zrobię wszystko...

- Nie trzeba - ucięła Matilda. - Myślę, że dla mnie to też będzie wspaniała przygoda.

Rodzice nie mieli zastrzeżeń. Następnego dnia Matilda powiedziała lady Fox, że pojedzie, i wysłuchała z jej strony monologu o korzyściach, które z pobytu w Londynie wyniesie Roseanne.

- Naturalnie ciebie mogą nie zapraszać na kolacje, przyjęcia i wieczorki taneczne, urządzone dla Roseanne przez jej chrzestną matkę, ale sądzę, że będziesz z tego zadowolona.

- Dlaczego? - zainteresowała się Matilda.

- Nie zamierzałam być nieuprzejma. - Lady Fox zaczerwieniła się, z czym nie było jej do twarzy. - Mam na myśli to, że czasami będziesz potrzebować trochę czasu dla siebie, a nie ma potrzeby, żebyś uczestniczyła we wszystkich przyjęciach, na które Roseanne będzie musiała chodzić. Liczę na to, że

dopilnujesz, aby kupowała sobie tylko stosowne stroje, i proszę cię, zniechęcaj ją do znajomości, które mogłaby zawrzeć, gdyby młody mężczyzna... nie był odpowiedni dla niej. Ona jest bardzo młoda.

Dwadzieścia dwa lata to wcale nie tak mało, pomyślała Matilda. Najwyższy czas, żeby Roseanne stanęła na własnych nogach.

W domu dokonała przeglądu swojej garderoby i stwierdziła, że nie trzeba niczego kupować. Miała dwie wieczorowe sukienki, konfekcyjne i wcale nienowe, choć ładne, dobry kostium, pod dostatkiem bluzek i swetrów, jedną czy dwie spódniczki i bardzo przyjemną dżersejową sukienkę kupioną na styczniowej wyprzedaży. Wspięła się po wąskich schodach na strych, odszukała sfatygowaną walizeczkę, zniosła ją na dół i zaczęła bez entuzjazmu się pakować. Na wiosnę Londyn nie umywał się do Abner Magne.

Codziennie lady Fox brała ją na stronę i instruowała co do pobytu w Londynie: powinna robić to, nie powinna robić tamtego, młodym mężczyznom należało się bacznie przyglądać, a Roseanne nie można pozwolić na zbyt częste chodzenie na randki.

Matilda powstrzymała się od powiedzenia, że Roseanne to ostatnia osoba na ziemi skłonna do randek, a zresztą z jej krostami i tym nieszczęsnym nosem nie miała na nie wielkich szans.

Lady Fox postanowiła szepnąć słówko pani Venables i upewnić się, że Matilda weźmie udział w najmniejszej możliwie liczbie wieczorków tanecznych i przyjęć. Nikt, żaden mężczyzna nie spojrzy na jej córkę, jeśli będzie tam Matilda. Choć trzeba powiedzieć, że nie jest to młoda osoba, która by się pchała przed innych, zna swoje miejsce - rozmyślała lady Fox.

Miały jechać do Londynu daimlerem Foxów prowadzonym przez Gregga, szofera i ogrodnika. Matilda wstała wcześniej, obeszła zaniedbany ogród, zjadła

dobrze śniadanie i stawiała się we dworze punktualnie o dziewiątej.

Roseanne, ubrana w drogi i zupełnie nieodpowiedni na tę porę roku ciemnobrązowy tweedowy kostium, sprawiała takie wrażenie, jakby lada chwila miała zrezygnować z wyjazdu. Matilda wpakowała ją szybko do samochodu obiecując, że zadzwonią natychmiast po przyjeździe na miejsce.

Był przyjemny chłodny ranek, rozświetlony słońcem. Matilda nie myśląc o przyjemnościach, które na nie czekają, pragnęła wysiąść z samochodu i ruszyć na przechadzkę lub wskoczyć na swój stary rower i włączyć się przez cały dzień. Słuchała z życzliwością, kiedy Roseanne mówiła o swoich niepewnych nadziejach na najbliższe tygodnie, podtrzymywała ją na duchu wspominając o cudownościach, które ma jej do zaoferowania Londyn i kiedy tylko miała wolną chwilę, myślała o panu Scotcie-Thurlowie.

Pani Venables, tytułarna dama dworu, mieszkała w Kensington w masywnym budynku z czerwonej cegły. Mieszkanie było urządzone z przepychem i godną pozałowania tendencją do nadmiaru czerwonego pluszu, złocień i ciężkich, ciemnych mebli. Pani domu przyjęła je łaskawie, choć z pewnym roztargnieniem, ponieważ właśnie odbywała długą rozmowę przez telefon. Dziewczyny siadły czekając na koniec tej konwersacji, potem zostały przedstawione ponuro wyglądającej kobiecie, która zaprowadziła je długim korytarzem do dwu pokoi z oknami wychodzącymi na wąski ogród i mury z czerwonej cegły.

- Tam jest łazienka, wspólna dla was obu. Mam na imię Berta - chrząknęła ponura służąca.

- Nie będzie mi się tu podobało - oświadczyła Roseanne, kiedy zostały same. Wargi jej drżały. - Chcę jechać do domu.

- Przecież dopiero co przyjechałyśmy - zauważyła



Matilda. - Przynajmniej spróbujmy. Wszystko tu jest trochę dziwne, ale z pewnością poczujesz się lepiej po lunchu.

Miała rację. Podczas posiłku pani Venables przedstawiła Roseanne mnóstwo propozycji rozmaitych rozrywek, które dla niej przygotowała.

- Dziś będziemy miały spokojny wieczór - zapowiedziała. - Za to jutro pójdziemy na zakupy, a wieczorem mogłybyśmy obejrzeć wspaniały film, który właśnie grają. W ciągu dnia zostawię was same, jest tu co zobaczyć i gdzie pójść. Zorganizowałam parę kolacji i mam też dla was kilka zaproszeń.

Wszystko to zapowiadało dobrą zabawę, toteż Roseanne zadzwoniwszy po lunchu do matki, nie wspomniała o chęci powrotu do domu.

Podczas następnych dni przybywało im coraz to nowych doświadczeń. Przedpołudnia zajmowały im zakupy. Roseanne miała mnóstwo pieniędzy i za namową Matildy sprawiła sobie takie stroje, o jakich zawsze marzyła, a których nigdy nie mogła kupić, bo zawsze towarzyszyła jej matka. Zdumiewające było, jak zmienił się wygląd tej dziewczyny, zwłaszcza wtedy, kiedy Matilda, mając wolną rękę przy wyborze kosmetyków, znalazła krem tuszujący pryszcze, dobrała szminkę, róż i cienie do powiek i zrobiła jej makijaż.

- A ty nie chcesz sobie czegoś kupić? Żadnych ubrań? - spytała Roseanne.

Matilda zapewniła, zresztą nieprawdziwie, że nie chce.

Był to trzeci dzień ich pobytu w Londynie i wybrały się znów na zakupy. Matilda zatrzymała się przy witrynie pewnej galerii z dyskretną tabliczką „Ekspozycja wewnątrz” i zaproponowała, żeby ją obejrzały.

Galerię tworzyło kilka bardzo eleganckich sal, w połowie zapełnionych publicznością. Pierwszą osobą, którą ujrzała Matilda, był pan Scott-Thurlow.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Pan Scott-Thurlow nie był sam. Obok niego stała wysoka, piękna dziewczyna, bardzo elegancka i wyjątkowo szczupła. Świetnie umalowana, z aureolą tapirowanych włosów, usztywnionych lakierem, wyglądała wspaniale. Na jej twarzy jednak nie widziało się ożywienia. Najwyraźniej była znudzona, bardziej zainteresowana układem fałd swej długiej spódnicy niż wielkim malowidłem, przed którym stali.

Matilda, początkowo zachwycona, teraz pragnęła znaleźć się jak najdalej od pana Scotta-Thurlowa. Jednakże Roseanne również go ujrzała. Ruszyła w tamtym kierunku i złapała go za rękaw.

- Nie przypuszczałam, że pana tu zobaczę. - Nagle zapomniała o swojej nieśmiałości. - Jestem w Londynie z Matilda.

- Jak przyjemnie znów panią zobaczyć, Roseanne - rzekł uprzejmym tonem, ściskając jej dłoń. - Przyjechała pani teraz do Londynu? - Zwrócił się do swej towarzyszki: - Rhodo, to jest Roseanne Fox. Poznaliśmy się kilka tygodni temu. - Uśmiechnął się do Roseanne. - Moja narzeczona, Rhoda Symes.

Spojrzał w stronę Matildy, i uśmiech zniknął mu z twarzy. Przez chwilę wyglądał na zagniewanego. Matilda nie mogła zrobić nic innego, niż przyłączyć się do Roseanne, przywitać się z nim uprzejmie i zostać przedstawiona towarzyszącej mu dziewczynie.

Rhoda Symes jest tym wszystkim, czym ona nie jest, pomyślała ze smutkiem. Wydaje jej się z pewnością grubą, źle ubraną i źle umalowaną dziewczyną

z prowincji. Niemniej przyjaźnie się do niej uśmiechnęła, bo jeżeli tamta ma uszczęśliwić pana Scotta-Thurlowa, to ona, Matilda, będzie z tego rada. Zanadto go kocha, aby myśleć inaczej.

Rhoda jest śliczna. Matilda z ręką na sercu musiała przyznać, że gdyby była mężczyzną, na pewno umiałaby docenić tę elegancję i piękno.

Rozmawiali przez kilka minut, dopóki Matilda nie zauważyła, że czeka je jeszcze obejrzenie niemal całej ekspozycji, którą Roseanne jest bardzo zainteresowana. Pożegnała pana Scotta-Thurlowa obojętnym głosem i szczerze uśmiechnęła się do Rhody Symes, usiłując przy tym nie zauważać wielkiego brylantu na jej lewej ręce, którą wciąż wymachiwała.

- Czy ona nie jest prześliczna? - spytała podniecona Roseanne. - Ciekawa jestem, czy zaproszą nas na ślub? - I dodała: - Oczywiście nie myślę o tobie.

Matilda oglądając wielki olejny obraz, który jej zdaniem wyglądał tak, jakby malarz przewrócił na płótno garnki z farbą, pogodnie zgodziła się z tą uwagą. Wołami by jej nie zaciągnięto na ślub pana Scotta-Thurlowa. Dla niej był zamkniętą księgą. Przynajmniej tak sobie powiedziała.

Następnego wieczoru matka chrzestna Roseanne urządziła przyjęcie.

- Będzie tylko kilku przyjaciół - oznajmiła tytułarna dama dworu, pani Venables. - W większości panowie w stosownym wieku i bez zobowiązań, z dodatkiem bezpiecznie zameężnych pań. Roseanne trzeba dać szansę, a kolacja to doskonały sposób na zawieranie znajomości. - Matilda również miała wziąć w niej udział, choć pani domu nie byk tym zachwycona. Pocieszała się myślą, że mężczyzn nie pociągają takie płomienne włosy.

Matilda starała się wyglądać niepozornie. Upięła włosy w kok, włożyła skromną, niemodną sukienkę z szarej krepy i trzymała się możliwie na uboczu.

Mimo to przyciągała uwagę towarzystwa, a ponieważ była miła i bezpretensjonalna, spodobała się zarówno paniom, jak i panom uczestniczącym w przyjęciu. Zrobiła, co mogła, żeby Roseanne odniosła sukces, i jej matka chrzestna musiała przyznać, że Matilda nie próbowała zwrócić uwagi gości na siebie. Niemniej należało znaleźć jakiś pretekst, aby Roseanne mogła w tym tygodniu pójść bez niej na kolację z tańcami. Kiedy tego dnia rano Matildzie powiedziano, że źle wygląda i że może dobrze byłoby, gdyby wieczorem nie wychodziła, przyznała, mając na względzie Roseanne, że ma silną migrenę i wcześniejsze położenie się do łóżka świetnie jej zrobi.

Dzień czy dwa po wieczorku tańczującym wybrały się obie do Galerii Narodowej. Podziwiały właśnie wspaniałe płótna szkoły niderlandzkiej, kiedy stojący obok młody mężczyzna zagadnął je, a właściwie Roseanne.

- Proszę mi wybaczyć. Słyszałem, jak pani mówi o tym obrazie. Wiele pani o nim wie, prawda? Czy interesuje się pani malarstwem z tego okresu?

Roseanne kiwnęła potakująco głową.

- Czy pani sama maluje? - zapytał nieznajomy, a kiedy potwierdziła, rzekł: - To proszę pozwolić mi wyjaśnić...

Co też dość obszernie uczynił, prowadząc ją od jednego do drugiego obrazu wraz z zaintrygowaną, lecz trzymającą się dyskretnie z tyłu Matildą. Wyglądał przyzwoicie, miał miłą, szczerą twarz, patrzył prosto w oczy. Przedstawił się i wymienili uściski dłoni. Nazywał się Bernard Stevens, pracował jako konserwator obrazów i w wolnym czasie sam malował. Po pół godzinie Roseanne trzeba było wprost odciągać od niego i udało się to dopiero wtedy, gdy obiecała spotkać się z nim nazajutrz rano. Rzekomo po to, by porozmawiać o obrazach, ale Matilda, obserwując wyraz jej twarzy, wiedziała, że to tylko część prawdy.

- Nie mów cioci Maud - błagała Roseanne.

- Roseanne, masz dwadzieścia dwa lata. Jesteś wystarczająco dorosła, żeby sama decydować z kim chcesz zawrzeć znajomość.

Mimo to następnego ranka Matilda pełniła rolę przyzwoitki, i tak samo kolejnego popołudnia, tyle że tym razem w Tate Gallery. Uspokoiła się usłyszawszy z jego ust nazwiska kilku osób, o których od czasu do czasu wspominała matka chrzestna Roseanne. Nie była snobką, lecz gdyby ten niewinny flirt rozwinął się w coś poważniejszego, byłaby przecież odpowiedzialna przed lady Fox.

Następnego wieczoru wybrały się w towarzystwie do teatru. Matildzie przypadł w udziale starszy jegomość, wdowiec, który opowiadał jej przez cały czas o chorobach swej zmarłej żony. Podczas antraktu, gdy miała nadzieję umknąć mu na chwilę, zaprowadził ją do baru, i nie pytając na co miałyby ochotę, zamówił dla niej tonik z cytryną.

- Nie pochwalam picia alkoholu przez ładne młode damy - oznajmił. Matilda uśmiechnęła się, choć właściwie miała ochotę na coś mocniejszego. Wódki nigdy nie próbowała. Może brandy z wodą sodową? Rozejrzała się wokół i zobaczyła, że wszyscy popijają dzin z tonikiem lub szampana. Widziała piękne stroje - jej szara krepa zniknęła w morzu jedwabiu i atłasu. Jakaś odwrócona do niej plecami pani ubrana była w szkarłatną suknię. A obok, ponad błyszczącym jedwabnym ramieniem patrzyły na nią oczy pana Scotta-Thurlowa.

Na jego widok Matilda momentalnie zbladła, a potem zaczęła się rumienić. Z początku nie potrafiła odwrócić wzroku, ale w końcu uczyniła to, nawet się nie uśmiechnawszy, ponieważ on patrzył na nią bez uśmiechu. Odstawiła szklanekę z tonikiem i znów udawała, że słucha swojego towarzysza, który opisywał astmę zmarłej żony.

Spać położyła się późno. Marzyła o szkarłatnej sukience, w której mogłaby olśnić pana Scotta-Thurlowa, a jednocześnie myślała o powrocie do domu. Trochę sobie nawet popłakała, ale szybko pospieszył jej na ratunek rozsądek: szkarłat okropnie by się gryzł z rudymi włosami, a do domu i tak nie wróci, gdyż nie może zostawić tu teraz Roseanne samej.

Dwa dni później wybrały się razem na prywatny pokaz prac obiecującego portrecisty, tym razem z panią Venables. Pojawił się tam też Bernard Stevens w towarzystwie jej przyjaciółki. Naturalnie został jej przedstawiony, po czym zabrał Roseanne na obchód wszystkich pomieszczeń. Matilda pozostała w towarzystwie obu starszych pań i z zainteresowaniem słuchała, kiedy pani Venables wypytywała bez końca o pana Stevensa. Odpowiedzi chyba ją zadowolily. Tego wieczoru, kiedy już szły spać, Roseanne przyszła do jej pokoju niezwykle podekscytowana.

Bernard, powiedziała Roseanne, zamierza zaznajomić się z jej rodzicami. Pani Venables należała do nielicznego grona osób, z których zdaniem matka się liczyła, a Bernard jej się podobał.

- Czy nie jest cudowne to nasze spotkanie? On uważa, że jestem ładna, tylko źle się ubieram. Ty także zawsze to mówiłaś. Ma się ze mną spotkać i wybrać mi stroje. Marzę o tym, żeby zostać tu na zawsze - wyznała Roseanne.

- Jeśli chcesz mieć piękny ślub, to będziesz musiała wrócić do domu. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej będziesz mogła wyjść za mąż. Wielkie śluby wymagają okropnie dużo przygotowań.

Ta myśl tak podekscytowała Roseanne, że upłynęło sporo czasu, zanim wreszcie powiedziała dobranoc. W drodze do drzwi jeszcze się zatrzymała.

- Tak się cieszę, że go spotkałam. Chciałabym, żeby i tobie coś takiego się przytrafiło.

- Mnie się nigdy nic nie przytrafia - odparła Matilda sztucznie wesołym głosem.

Myliła się. Los ma wyczulone ucho na tego rodzaju uwagi.

Następnego dnia wyszły na spacer, ale zaczęło padać i bojąc się ulewy postanowiły szybko wracać. Do domu można było iść na skróty, wąskimi uliczkami z małymi, dość nędznymi sklepami, któredy często jeździli kierowcy unikający głównych dróg. Skręciły właśnie w taką uliczkę, kiedy na skraju chodnika ujrzały grupkę osób gapiących się na coś leżącego na bruku.

- Zobaczę, co to takiego - powiedziała Matilda i poszła tam, mimo że Roseanne ją powstrzymywała. W rynsztoku leżał piesek, żałośnie chudy, mokry, i najwyraźniej poturbowany. Ludzie stali i patrzyli na niego. Matilda wyciągnęła ku niemu rękę.

- Niech panienka zostawi, ugryzie. Potrącił go samochód i tylko patrzeć jak zdechnie - rzekł szorstko barczysty, brudny mężczyzna.

Matilda zmierzyła go wzrokiem i przyklękła, żeby przyjrzeć się psiakowi. Ten skulił się, a potem wysunął język i polizał jej rękę.

- Jak długo tu leży? - spytała Matilda.

- Z pół godziny.

- I nikt z was nic nie zrobił? - Obróciła się, żeby spojrzeć na gapiów. - Banda ludzi bez serca.

- E tam, szanowna pani, to tylko przybłąda, do tego zdychający z głodu.

Nikt nie zauważył samochodu, który pojawił się po drugiej stronie ulicy. Obok Matildy stanął pan Scott-Thurlow. Schylił się i podniósł ją na nogi, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać.

- No proszę, panna Finch pomaga kulawym psom... - powiedział cicho.

- Niech pan nie zaczyna - ostrzegła go ostro. - T o

biedne stworzenie leży tu od pół godziny i nikt nie ruszył nawet palcem.

- Poproszę o kawałek tektury, i to szybko - rozkazał pan Scott-Thurlow najbliższemu stojącemu mężczyźnie.

Przyniesiono tekturę i wszyscy czekali, co będzie się dziać dalej. Nie byli właściwie źli, tylko obojętni. Jeśli ten wielki pan chce zostać pogryziony przez psa, który i tak wkrótce zdechnie, to jego sprawa, a oni równie dobrze mogą tu stać i patrzeć.

Nie został pogryziony; wsunął tekturę pod psiaka, podniósł go i zaniósł drżące zwierzę na drugą stronę ulicy do swego samochodu. Matilda i Roseanne szły tuż za nim. W połowie jezdni Matilda odwróciła się w stronę brudnego mężczyzny:

- Teraz wiecie, co robie następnym razem, kiedy zostanie zranione zwierzę - powiedziała i dodała pojednawczo: - Nie przyszło wam to do głowy, prawda?

Uśmiechnęła się do niego, a on do niej, głównie dlatego, że dotąd nie widział takich zielonych oczu.

Roseanne usiadła na tylnym siedzeniu w samochodzie.

- Proszę siadać obok mnie — nakazał pan Scott-Thurlow Matildzie - położę psa na pani kolanach.

- Jedziemy do weterynarza? - spytała.

- Tak.

- Nie odzywał się, dopóki nie wjechali w boczną uliczkę. Wtedy zatrzymał samochód i wysiadł.

- Proszę tu poczekać, zaraz wrócę - powiedział do Matildy, otwierając furtkę w długim murze. Wrócił niemal natychmiast z tęgim, brodatym mężczyzną, który skinął głową Matildzie i popatrzył na psa.

- Weźmiemy go do środka - zaproponował, delikatnie unosząc tekturę z jej kolan. - Czy panie pójdą z nami?

Matilda wysiadła z samochodu, ale Roseanne przecząco potrząsnęła głową.



Pan Scott-Thurlow przytrzymał drzwi i weszli jedno za drugim do długiego korytarza z pokojem zabiegowym na końcu.

- Niech pani tu poczeka - rzekł weterynarz. - Zrobię najpierw prześwietlenie, a ty, James, możesz mi pomóc.

Siedziała w poczekalni na twardym krześle i myślała o jego imieniu: James. Pasowało do niego, choć wątpiła, czy ktokolwiek nazywał go Jimmy lub Jim. Czas mijał niepostrzeżenie, tak pochłonięta była myślami o Jamesie Scotcie-Thurlowie, Kiedy do niej dołączył, spojrzała na niego niewidzącymi oczyma.

- Co z pieskiem?

- Złamana miednica, pęknięte żebra, wygłodzony i bardzo, bardzo brudny. Wyliże się.

- Może tu zostać? Czy to długo potrwa? Co z nim będzie? Jeśli go nikt nie zechce, jestem pewna, że ojciec się zgodzi, bym go zabrała.

- Pozostanie tu, dopóki nie wyzdrowieje. Będzie miał dobrą opiekę. Przypuszczam, że wróci jako tako do zdrowia za jakiś miesiąc lub sześć tygodni.

- Przerwał, a potem dodał zrezygnowanym tonem: - Mam suczkę labradora, byłaby zachwycona, gdyby miała kolegę.

Został nagrodzony pełnym wdzięczności spojrzeniem zielonych oczu.

- Ach, jaki pan dobry. Nie jestem pewna, jaka to rasa, ale wierzę, że jak wydobrzeje będzie pan z niego dumny.

- Hmm... Wracaliście na Kensington? Odwiozę was tam, pani Venables może się niepokoić. - Pan Scott-Thurlow zmienił temat rozmowy.

- Ach, nie przypuszczam - stwierdziła beztrząsco Matilda. - W ciągu dnia możemy robić, co się nam podoba, chyba że na lunch ma przyjść jakiś odpowiedni młody mężczyzna. Czy pan zna panią Venables?

Doszli do drzwi, ale on ich nie otworzył.

- Znamy się przelotnie. Myślę, że Rhoda zna panią Venables dobrze.

- Wobec tego sądzę, że będzie pan na kolacji w przyszłym tygodniu, na czymś w rodzaju pożegnania przed naszym powrotem do Abner Magna.

Kategorycznie odmówił towarzyszyć Rhodie, kiedy ta wspomniała mu o zaproszeniu pani Venables. Teraz zdecydował, że mimo wszystko z nią pójdzie. Otworzył drzwi.

- Wobec tego znów się zobaczymy - rzekł, gdy doszli do samochodu. Zanim odjechali, sięgnął po radiotelefon i powiedział do słuchawki: - Spóźnię się o pół godziny. Proszę wszystkich uprzedzić, dobrze?

Ruszył bez słowa. Matilda zgadywała w myślach, kim jest. Adwokatem, obrońcą jakiegoś ważnego klienta, bankierem, finansistą, który zarządza pieniędzmi innych ludzi? Jej wyobraźnia pracowała nieustannie, dopóki samochód nie zatrzymał się przed domem w Kensington. Pan Scott-Thurlow uprzejmie się pożegnał i odjechał.

- Nie mówi zbyt dużo, prawda? - zauważyła Roseanne. - Myślę, że trochę się go boję, wiesz?

- Boisz się? - Matilda spojrzała na nią zdumiona. - Jego? Dlaczego? Sądzę, że jest zaaferowany jakąś transakcją. Oczywiście, że nie chciał rozmawiać. Na pewno zmienisz zdanie w przyszłym tygodniu. Przyjdzie na kolację, którą wydaje twoja matka chrzestna. A więc znów go zobaczymy.

Dni mijały. Dla Roseanne za szybko, dla Matildy zbyt wolno. Chciała wracać do domu, czuła, że Londyn jest nie dla niej. Co prawda, będąc tutaj miała szansę zobaczenia pana Scotta-Thurlowa, cóż z tego jednak, kiedy on zamierzał ożenić się z Rhodą. Dziewczyną niewątpliwie piękną, mądrą i dobrze ubraną. Matilda robiła z Roseanne zakupy, chodziły razem na kolejne wystawy, oglądały najnowsze filmy

i sztuki teatralne. Towarzyszyły też pani Venables, która, jako entuzjastyczna członkini rozmaitych komitetów, uczestniczyła w licznych spotkaniach. Roseanne uważała to za stratę cennego czasu, który mogłaby spędzać w towarzystwie swojego Bernarda.

Pozostało im już tylko kilka dni, więc przygotowania do wielkiego przyjęcia były bardzo zaawansowane. Tego dnia rano kończyły właśnie śniadanie, kiedy drzwi pokoju otworzyły się i pomocnica kucharki, która — jak to zauważyła Roseanne — powinna umieć zachowywać się przyzwoicie, podbiegła do stołu.

- Kucharka okropnie się skaleczyła, a wszyscy poszli na targ po zakupy na dzisiejszy wieczór. Co ja mam zrobić?

- Moja droga - zaczęła Roseanne, niepokojąco przypominając swoją matkę. Nie dokończyła jednak zdania.

- Pójdę zobaczyć - ofiarowała się Matilda. - Jeśli to coś poważnego, możemy zabrać ją do szpitala, ale pewno to tylko tak groźnie wygląda.

Kucharka siedziała przy stole, rękę miała owiniętą ścierką. Jej twarz zzieleniała. Matilda ostrożnie odwinęła ścierkę, próbując ją przy tym uspokoić. Krwi było mnóstwo. Jeżeli cięcie okaże się głębokie, trzeba będzie ścisnąć mocno rękę i pojechać taksówką do najbliższego szpitala. Obie kobiety były bliskie hysterii. Kazała im więc zamknąć oczy i odwinęła do końca ścierkę. I ona wolałaby nie patrzeć. Palec wskazujący i średni były całkiem obcięte.

- Milly, jesteś Milly, prawda? Idź dzwonić po taksówkę. Pospiesz się i powiedz, że to bardzo pilne. Potem tu wróć.

- Czy to poważne zacięcie? - spytała od drzwi Roseanne. - Mam powiedzieć cioci Maud?

- Zaraz jadę z kucharką do najbliższego szpitala,

może wtedy jej to powiesz. Daj mi jakiś szal albo coś w tym rodzaju, żeby kucharka mogła się okryć.

- Tyle tu wszędzie krwi. - Roseanne podała jej pelerynę wiszącą za drzwiami, odwracając wzrok w drugą stronę.

- Dzięki. Znajdź teraz serwetę albo jakąś chustę, tylko się pośpiesz... - Matilda starała się panować nad sobą.

- Nikt do mnie nie mówi w taki sposób - oświadczyła Roseanne.

- Nie bądź głupia! Myślę, że znajdziesz jakiś kawałek płótna w kredensie.

Roseanne, zła i zdenerwowana, otwierała jedną szufladę po drugiej. Po chwili przyniosła niewielki obrusik z delikatnego płótna, pięknie wyszywany. Matilda zrobiła z niego coś w rodzaju temblaka, przerzuciła go przez ramię kucharki i poprowadziła ją ostrożnie przez hol do czekającej taksówki. Zostawiały za sobą czerwony ślad na podłodze i Matilda słyszała, jak Milly na ten widok wydała okrzyk przerażenia.

- Do najbliższego szpitala - poleciała taksówkarzowi, podtrzymując korpulentną kucharkę - najszybciej jak się da.

Taksówka jechała szybko, na skróty, ścinając zakręty i przejeżdżając przez skrzyżowania tuż przed zapaleniem się czerwonego światła. Wsiadły przed wejściem na oddział nagłych wypadków. Taksówkarz pomógł Matildzie prowadzić biedną kucharkę. Koło drzwi stał młody człowiek rozmawiający z pielęgniarką. Matilda zatrzymała się przy nim.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i zapłacił za taksówkę? - spytała. - Oddam panu pieniądze natychmiast, jak tylko będę mogła odejść od rannej.

Wyglądał na zdziwionego, ale spełnił jej prośbę, a gdy Matilda pośpiesznie mu dziękowała, zajął miejsce taksówkarza po drugiej stronie.

- Odcięła sobie dwa palce. Są tu, w ścierce. Czy ktoś mógłby przywołać lekarza?

- Jestem lekarzem dyżurnym na tym oddziale. Wprowadźmy ranną tutaj.

Pomieszczenie było w połowie zapełnione paq'entami czekającymi na przyjęcie. Pielęgniarki krążyły tam i z powrotem, kilka osób siedziało na wózkach. Wysłała im naprzeciw siostra o surowym obliczu.

- O co chodzi? - zapytała i ze zdumiewającą delikatnością odwinęła ścierkę. Uniosła rękę kucharki, po czym nacisnęła dzwonek koło leżanki. Pojawiła się pielęgniarka. Przerażona udzieliła jej szybko instrukcji i wysłała z wiadomością na oddział chirurgii.

Matilda trzymała za rękę kucharkę i starała się ją uspokoić, choć sama nie była spokojna. Spódnicę i bluzkę miała poplamione, włosy rozwiane, ale nie zwracała na to uwagi. Mdlilo ją.

Szok spowodowany widokiem pana Scotta-Thurlowa w długim białym kitlu narzuconym na świetnie skrojony szary garnitur powstrzymał ogarniające ją mdłości. Szedł ku nim pewnym krokiem i zatrzymał się przy leżance. Chłodno skinał jej głową.

- A ja się zastanawiałam, co pan robi... - odezwała się Matilda, po czym spurpurowiała. Doktor lekko uśmiechnął się i usiadł koło kucharki. Lekarz dyżurny zakładał coś, żeby powstrzymać krwawienie, a siostra podawała waciki i instrumenty doktorowi Scottowi-Thurlowowi. Matilda którą znowu mdlilo, patrzyła na parawany ustawione wokół leżanki. Słyszała głos doktora.

- Weźmy ją na górę zaraz, zanim rozpoczną się zaplanowane operacje. Proszę zawiadomić salę operacyjną. - Nachylił się nad kucharką. - Niech się droga pani za bardzo nie przejmuje. Przyszyjemy palce z powrotem i będzie pani mogła sobie tu poleżeć przez parę dni, póki się nie zagoją. Siostra

da pani teraz zastrzyk przeciwbólowy. Jest pani bardzo dzielna. - Poklepał ją po ramieniu i zwrócił się do Matildy z zapytaniem: - Co jadła na śniadanie?

- Nie wiem, ale z pewnością zjadła je bardzo wcześnie, koło siódmej. Kroiła na płatki bekon na jednej z tych maszyn... - Matildzie zrobiło się zimno i zzieleniała na twarzy, myśl o bekonie przepełniła miarę. - Muszę iść do...

Doktor Scott-Thurlow podał jej szybko plastikową miskę w taki sposób, jakby podawał upuszczoną chusteczkę lub szklankę wody, o którą prosiła. Zdażył w samą porę.

Kiedy zawstydzona Matilda podniosła głowę, koło niej stała tylko młoda sympatyczna siostra.

- Proszę się nie martwić, będzie tu pani mogła poczekać. Powiem, żeby przyniesiono pani herbaty. Doktor Scott-Thurlow zaraz przystąpi do operacji, tak że już niedługo będzie wiadomo, jak sprawy stoją. Gzy chciałyby pani do kogoś zatelefonować?

- Tak, tylko nie mam przy sobie drobnych.

Siostra zaprowadziła ją do pustego pokoju ze stojącymi rzędem ławkami, czymś w rodzaju bufetu z jednej strony i dwoma aparatami telefonicznymi na ścianie. Dała jej dwadzieścia pensów, poklepała przyjacielsko po ramieniu i odeszła.

- Jak mogła coś podobnego zrobić? - krzyknęła do telefonu pani Venables zirytowanym głosem. - Właśnie dziś, gdy wydaję kolację i nie mam absolutnie żadnej szansy na znalezienie innej kucharki w tak krótkim czasie. Co ja mam począć? Musiała być nieostrożna...

- Odcięła sobie dwa palce - oznajmiła Matilda. - Zostanę tu, póki się nie dowiem, co z nią będzie. Zachowywała się bardzo dzielnie. - Nie czekała na odpowiedź pani Venables.

Siedziała całą godzinę. Wypiła filiżankę mocnej, gorącej herbaty, i rozmyślała o kucharce i panu Scotcie-Thurlowie. Nie powinna była sobie pozwolić na tę głupią uwagę w pokoju zabiegowym. Zrobiło jej się gorąco na samą myśl o tym. A na dodatek musiała jeszcze wymiotować! Czuła się okropnie poniżona. Doktor bardzo miło potraktował kucharkę. Miała nadzieję, że zdoła przyszyć jej palce. Chirurgu potrafią robić cuda, a on, jak przypuszczała, był doświadczonym chirurgiem.

Do poczekalni weszła miła, mała pielęgniarka, która pożyczyła jej dwadzieścia pensów.

- Wszystko będzie w porządku - powiedziała. - Doktor Scott-Thurlow zrobił dobrą robotę i palce będą jak nowe, no, prawie jak nowe. Jeśli chodzi o kości, to on jest wprost cudotwórcą. Podobno zajmie się pani tym, żeby przyniesiono jej nocną koszulę, przybory toaletowe i tak dalej. Zostanie tutaj przez parę dni.

- Tak, oczywiście. Na którym jest oddziale?

- Żeński oddział ortopedii, pierwsze piętro. Może ją pani zobaczyć.

- Pójdę, wezmę, co trzeba, i wrócę jak najprędzej. Dziękuję, bardzo dziękuję.

Po godzinie wróciła z rzeczami kucharki, kilkoma książkami kupionymi po drodze i bukietem kwiatów. W uszach nadal dźwięczał jej zrzędlawy głos pani Venables.

- Nie będę miała z tej kucharki żadnego pożytku, muszę sobie znaleźć kogoś innego - narzekała.

- Czy długo u pani pracowała? - spytała ją Matilda.

- Och, lata całe. Muszę przyznać, że to dla mnie okropnie kłopotliwe.

- Sądzę, że dla niej jest to również kłopotliwe. I bardzo bolesne.

Napotkała lodowate spojrzenie. Dobrze, że wraca za parę dni do domu.

Kucharkę znalazła w małym pokoju. Leżała w łóżku, była bardzo blada. Matilda włożyła rzeczy do szafki, poszukała wazonika na kwiaty i wręczyła jej książki - trzy romantyczne opowieści - licząc na to, że odciągną uwagę chorej od kłopotów. Wymijająco odpowiedziała na przykre pytania zadane przez kucharkę, prześliznęła się nad przyszłością i wymyśliła pozdrowienia od pani Venables,

- Wpadnę tu jutro zobaczyć, czy pani czegoś nie potrzeba.

- To bardzo uprzejmie ze strony panienki. My wszyscy w kuchni mówimy, że panienka jest życzliwa i ma zrozumienie.

Matilda pożegnała się i wyszła ze szpitala. Idąc korytarzem bezskutecznie starała przekonać siebie samą, że nie życzy sobie spotkania z doktorem Scottem-Thurlowem. W rzeczywistości myślała tylko o nim.

Kiedy wróciła do domu, pani Venables krążyła gniewnie po salonie, a Roseanne siedziała w kącie, nie odzywając się ani słowem. Zamierzała spędzić przedpołudnie z Bernardem i musiała odwołać to spotkanie. Usta miała zaciśnięte, przez co przypominała matkę.

Pani Venables idąc ku drzwiom zauważyła Matildę.

- Telefonowałam do wszystkich możliwych agencji i nigdzie nie mają do dyspozycji ani jednej przyzwoitej kucharki. Jestem zrozpaczona - oświadczyła, załamując dramatycznie ręce.

- Może pocieszy panią wiadomość, że operacja się udała i pani Chubb leży teraz wygodnie w łóżku. Umie gotować i mogę ją zastąpić. Dopilnuję wszystkiego przy dzisiejszej kolacji - rzekła Matilda. Po tych słowach twarz gospodyni momentalnie się rozjaśniła.

- Czy ty naprawdę umiesz gotować? To znaczy



gotować pierwszorzędnie? Moja kochana, jakże ci mam dziękować, nie masz pojęcia, jak się martwiłam.

- Potem przedstawiła menu: consommé royale, łosoś z wody, kaczka pieczona z pomarańczami i polewana brandy, frytki, bukiet z jarzyn, jakaś sałatka, co zostawiła do decyzji kucharce, potem brzoskwinie a la Conde i kawa z bitą śmietanką.

- Czy dasz sobie z tym radę? Pięknie z twojej strony, że robisz to dla mnie. - Poklepała Matildę po ramieniu.

- Robię to dla kucharki - sprostowała Matilda i nie czekając na pełne oburzenie westchnienie pani Venables udała się do kuchni. Zaznajomiła z sytuacją służbę i siadła przy stole, żeby spokojnie wszystko zorganizować. Nie było to trudne, gdyż wszyscy w kuchni byli dla niej mili i chętni do pomocy. Zadowolona z poczynionych ustaleń poszła do pokoju, żeby się umyć i przebrać przed lunchem. Posiłkowi towarzyszyła napięta atmosfera, gdyż pani Venables bała się, żeby Matilda przypadkiem nie wycofała się w ostatniej chwili. Również Roseanne nie odzywała się wcale. Wciąż była w ponurym nastroju.

Przez większą część popołudnia Matilda przygotowywała kolację. Lubiła gotować i umiała to robić, tak że nawet najprostsze potrawy przekształcały się w jej rękach w pyszne dania. Herbatę wypła w kuchni, co wzburzyło kamerdynera, pomocnicę kuchenną, a przede wszystkim Bertę, która od początku nie pochwałała całego tego przedsięwzięcia.

- Panie nie powinny przesiadywać w kuchni - prychnęła. Matilda nie uważała za konieczne zareagować na tę uwagę.

Wszystko szło jak najlepiej. Kiedy pojawili się pierwsi goście i kamerdyner ich wprowadzał, Matilda właśnie sprawdzała szpikulcem miękkość kaczki, próbowała bulionu i zaczęła przyrządzać sałatę. Do kolacji pozostało jeszcze pół godziny.

Tytularna dama dworu, pani Venables, witała swych gości niezwykle gorąco. Zaplanowała ten wieczór pieczołowicie i gdyby coś nie wyszło, nigdy by sobie tego nie darowała, Westchnęła z ulgą, gdy przyszedł Bernard, bo Roseanne na jego widok przestała być ponura i nawet wyglądała ładniej. Oczekiwano jeszcze dwóch osób - Rhody Symes i doktora Scotta-Thurlowa. I oto właśnie weszli do salonu. Piękna z nich para, przyznała w duchu pani Venables. Rhoda prezentowała się wspaniale. Doktor był jak zwykle poważny, pełen kurtuazji.

Jak tylko wszedł do salonu, zobaczył Roseanne, nigdzie jednak nie dojrzał główki o płomiennie rudych włosach. Uprzejmie słuchał jednego z gości, który usiłował wyciągnąć z niego darmową poradę, i rozglądał się po pokoju. Matildy nie było. Natknął się na spojrzenie Rhody, która się do niego uśmiechnęła. Wyglądała wyjątkowo pięknie. Miała doskonale zrobiony makijaż, aureolę wspaniałe uczesanych blond włosów i wiśniową suknię najmodniejszego kroju. Będzie dla niego jak najbardziej odpowiednią żoną. To mądra i atrakcyjna kobieta, umiejąca zachować się w każdym towarzystwie, opanowana i niewylewna. Przemknęła mu przez głowę przykra myśl, że pod tą czarującą powierzchownością kryje się chłód, i zaczął się dziwić, dlaczego właściwie poprosił Rhodę o rękę. Znał odpowiedź na to pytanie: niczego od niego nie żądała i wydawała się całkiem zadowolona, że w ich stosunkach nie ma ani odrobiny romantyczności. Scott-Thurlow był jedynakiem. Osierocony w dzieciństwie przez rodziców, którzy zginęli w katastrofie samolotowej, musiał mieszkać u dziadków, a ci, choć bardzo go kochali, nie umieli z nim rozmawiać. Nauczył się więc ukrywać trapiącą go samotność i poczucie krzywdy. Wyrósł na spokojnego człowieka, rzadko pozwalającego sobie na okazywanie uczuć,

koncentrującego się na swojej pracy. Dom prowadziła mu jego stara niania, pani Twigg, i często błagała go, żeby znalazł sobie wreszcie żonę. Przyznawał, że to dobra rada. Wszyscy jego przyjaciele dawno się poženili, a on, mimo zaabsorbowania pracą, czasami czuł się osamotniony.

Kilka osób przyłączyło się do niego i jego towarzysza. Teraz rozmowa zmieniła się w dyskusję, którą po kilku minutach przerwała gospodyni zapraszając do stołu.

- Ma pani znakomitą kucharkę - zauważył ktoś na drugim końcu stołu, głośno chwając wyborną kaczkę.

- Mam ją od lat, to prawdziwy skarb - oświadczyła pani Venables. Doktor, który właśnie przypadkiem popatrzył przez stół na Roseanne, zauważył, że na jej twarzy pojawił się wyraz tłumionej wściekłości. Ciekawe dlaczego? - pomyślał.

Jakiś czas później, w salonie, podszedł do niej.

- Miło mi panią widzieć, Roseanne. Wygląda pani uroczo. Czy panna Finch jest chora? - zagadnął.

- Ależ nie, ona nigdy nie choruje - odpowiedziała cicho Roseanne. - Jest w kuchni, przygotowuje tę kolację. - Nagle się uśmiechnęła. - Możemy pójść do niej, jeśli ma pan ochotę. - Zanim zdążył coś odpowiedzieć, dodała głośno: - Dość tu gorąco. Wyjdźmy na chwilę na balkon.

Przy końcu balkonu znajdowały się schodki. Poprowadziła go na dół i potem za dom do bocznego wejścia. Krótki korytarz był całkiem ciemny i pachniał wilgocią. Roseanne otworzyła drzwi i znaleźli się w kuchni. Przy stole kuchennym stała Matilda, wycinająca kości z pieczonej kaczki. Nie robiła tego zbyt zręcznie, w brytfannie leżało pełno pokiereszowanych kości i kawałeczków mięsa. Była czerwona, pobrudzona, opasana fartuchem pani Chubb, o wie-

le dla niej za dużym. A mimo wszystko wyglądała pięknie.

- Cóż, u diabła, pani robi? - zapytał doktor dość gwałtownie.

- Nigdy nie umiałam obierać mięsa z kości, a robi się na nich znakomitą zupę. Zawsze zostaje jeszcze sporo mięsa... - Udała, że go nie rozumie.

- Nie to miałem na myśli i pani o tym wie - rzekł stanowczym tonem. - Dlaczego pani pracuje w kuchni, kiedy powinna pani znajdować się w salonie? Ta okropna kobieta... - Zatrzymał się, pamiętając o dobrych manierach. - Chce pani powiedzieć, że ona prosiła panią o gotowanie kolacji?

- Nie, ja sama to zaproponowałam, żeby pomóc pani Chubb. Pan wie, w jakim ona jest stanie. Słyszałam, że pan doskonale sobie poradził z jej palcami.

- Proszę nie zmieniać tematu, Matildo.

Spuściła głowę, ale oczy jej błyszczały, bo zwrócił się do niej po imieniu, nie nazwał jej panną Finch. Czyżby mały krok naprzód? - pomyślała.

Zabrała się do kaczki z drugiej strony. Wtedy on wziął od niej nóż i obrał wprawna ręką resztę ptaka.

- Czy tu nie ma nikogo do pomocy?

- Jedzą teraz kolację. Zostanę tu, dopóki wszyscy goście się nie rozejdą. - Wsunęła sobie do ust kawałek kaczki.

- Musimy wracać. Będą się dziwić, gdzieśmy się podzieli - odezwała się zakłopotana Roseanne.

- Dobrze. Czy jadła pani kolację?

- Wezmę coś ze sobą do pokoju. Dobrej nocy, panie doktorze.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pakując resztę swoich rzeczy, żeby nazajutrz rano móc wyjechać, rozmyślała ze smutkiem, że powinna raczej powiedzieć „do widzenia” niż „dobranoc”. Obserwowała z okna na podeście półpiętra wychodzących gości i wydawało jej się, że pan Scott-Thurlow otacza swoją narzeczoną nie udawaną troskliwością. Rhoda rzeczywiście wyglądała olśniewająco.

Cieszyła się, że wraca do domu. Pani Venables chłodno podziękowała jej za usługi. Uskarżała się przy tym, że nie ma pojęcia, jak sobie poradzi z przyjętą tymczasowo kucharką. Matilda, która ponownie odwiedziła panią Chubb, zauważyła cierpko, że kiedy kucharka wróci, gospodyni z pewnością bardziej doceni jej usługi. Pani Venables zbyła jej uwagę mruknięciem.

Gregg przyjechał wkrótce po śniadaniu. Obie dziewczyny pożegnały panią domu. Pani Venables serdecznie objęła Roseanne prosząc, żeby ponownie ją odwiedziła. Podając rękę Matildzie zauważyła z rezerwą, że jako córka pastora z pewnością jest bardzo zajęta, a więc to mało prawdopodobne, by się ponownie spotkały.

Matilda nie życzyła sobie pogłębiania znajomości z panią Venables i zapewniła ją, że prawdopodobieństwo odwiedzenia przez nią Londynu w przewidywalnej przyszłości jest rzeczywiście niewielkie. Gregg zajechał pod plebanię, wniósł na ganek walizkę Matildy, a Roseanne wychylając się z samochodu wołała do niej, żeby pojawiła się we dworze jak najszybciej.

Matilda kiwnęła głową, uśmiechnęła się, podzięko-

wała Greggowi i otworzyła drzwi swojego domu. Gdzieś z góry usłyszała głos matki, a chwilę później z gabinetu doszedł głos ojca. Wkrótce oboje zeszli się w holu, żeby ją uściskać.

- Brakowało nam ciebie. Dobrze, że wróciłaś - powiedziała matka.

- Cieszysz się, że znów jesteś w domu? - spytał ojciec.

- O tak - w jej oczach błysnęły łzy.

Poszli do kuchni i usiedli wokół stołu, żeby wypić kawę.

- Dobrze się bawiłaś, kochanie? Ilekroć pisałaś lub telefonowałaś, to zawsze miałaś jakieś przyjęcie albo kolację, albo jeszcze coś innego. - Potem matka dodała jakby od niechcenia: - Poznałaś kogoś, kto ci się spodobał?

Matilda ukroiła sobie kawałek placka i zaczęła go jeść. Wytarła usta z okruszków, zanim odpowiedziała.

- Tak, ale on się żeni z bardzo piękną kobietą. Poznałam sporo osób, które mi się podobały, niestety, niewiele młodych. Młodzi chodzili na tańce, a Roseanne wychodziła wieczorami: głównie w towarzystwie matki chrzestnej.

Matka pokiwała głową i lekko się uśmiechnęła. Potrafiła sobie wyobrazić zaniepokojenie pani Venables na widok Matildy. Roseanne przy niej nie miałyby szans. A ten mężczyzna? Zastanawiała się, kto to taki i gdzie Matilda go spotkała, i czy zdawał sobie sprawę z tego, że jej ukochana córeczka straciła dla niego głowę. Bardzo chciałyby to wiedzieć. Zamiast tego spytała, czy Roseanne dobrze się bawiła.

- Ach, oczywiście! Poznałyśmy w jednej galerii pewnego młodego człowieka, Bernarda Stevensa, i on się w niej zakochał. Na szczęście zna przyjaciół pani Venables, tak że nie sądzę, żeby lady Fox miała jakieś zastrzeżenia. Roseanne chce za niego wyjść, a potrafi

być uparta. Spodziewam się, że on wkrótce przyjedzie na weekend, więc go poznasz.

- Jakaż to ulga dla lady Fox. Ma trzy córki, ale te ich nieszczęsne nosy... Jak się udała ostatnia kolacja przed wyjazdem? Czy szara sukienka była odpowiednia na taką okazję?

- Nie byłam na niej - odparła Matilda, sięgając po drugi kawałek ciasta, i uśmiechnęła się na wspomnienie odwiedzin doktora w kuchni. Potem zrelacjonowała po kolei wszystkie wydarzenia tego dnia, nie wspominając jednakże pana Scotta-Thurlowa.

- To niesłychane. - Matka była oburzona. - Pozwolić ci gotować to jedna rzecz, ale mogła przynajmniej poinformować o tym gości i podziękować ci.

- Ależ moja droga - mitygował pastor zagniewaną żonę. - Matilda zaskarbiła sobie wdzięczność, która naprawdę się liczy. Ta biedaczka z obciętymi palcami będzie ją jeszcze długo wspominać, a nad panią Venables trzeba się litować, bo brakuje jej miłosierdzia.

Żona spojrzała na niego z rezygnacją. Czasami życzyła sobie, żeby coś lub ktoś wytrącił go z równowagi, ale to się nigdy nie zdarzało. Nieoczekiwanie uśmiechnęła się do niego.

- Naturalnie masz rację, jak zawsze.

Matilda stawiała się do pracy we dworze następnego ranka, w drzwiach spotkała Roseanne.

- Powiesz matce, jaki wspaniały jest Bernard? Na pewno cię o to zapyta. Gdybyś mogła ją przekonać, żeby zaprosiła go na weekend.

- Zrobię, co będę mogła - odpowiedziała Matilda z pewną dozą powątpiewania. Lady Fox nie należy do osób, które łatwo dają się przekonać.

To zadanie okazało się jednak nie tak trudne. Lady Fox otrzymała już przychylnie informacje o Bernardzie od pani Venables. Niemniej wzięła Matildę w krzyżowy ogień pytań. Przesłuchanie zakończyła słowami:

- Powinnam poznać tego młodego człowieka.

- Spodziewam się, że obmyśliła już pani, jak to zrobić - rzekła Matilda. - Gdyby pan Stevens spędził tutaj weekend, miałyby pani okazję go poznać.

- To prawda i już zdecydowałam, co zrobię. Nie mogę pozwolić, żeby jedna z moich córek zmarnowała sobie życie zadając się z nieodpowiednim młodzieńcem.

Matilda mruknęła coś pod nosem. Jej zdaniem, Roseanne zamierzała wyjść za tego młodego człowieka bez względu na to, czy matka się na to zgodzi, czy nie.

- Tak, na pewno to zrobię - oświadczyła lady Fox takim tonem, jak gdyby Matilda błagała ją o coś wręcz odwrotnego.

Zycie znów toczyło się po staremu. Matilda, ukojona przez wolno płynące dni, zdobyła się na myślenie o Jamesie Scotcie-Thurlowie w sposób rozsądny. Kochała go i zawsze będzie kochać, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Z drugiej jednak strony od chwili, gdy ujrzała Rhodę, wiedziała, że sprawa jest beznadziejna. Musi o nim zapomnieć. Niestety wkrótce się przekonała, że to niemożliwe.

Minęło dziesięć dni od powrotu z Londynu. Bernarda zaproszono na weekend. Roseanne była niemal chora z podniecenia i wpadła w rozpacz po zbadaniu w lustrze swojej twarzy.

- Popatrz na te pryszcze - powiedziała rozdrażniona Matildzie. - Co ja mam zrobić?

- Przyjdę jutro wcześniej rano i zrobię ci makijaż. Wiem, że twoja matka nie lubi, kiedy się malujesz. Jednak jeśli się postaram, nie sądzę, żeby się zorientowała.

Tak więc Roseanne ukazała się Bernardowi ze zręcznie umalowaną twarzą. Kochała go. On i tak by niczego nie zauważył, bo też ją kochał.

Matilda zniknęła po przywitaniu. Miała przygotować



kwiaty na stół, a potem wrócić do domu. Przedtem jednak odszukali ją Roseanne i Bernard.

- Pamięta pani pana Scotta-Thurlowa? Prosił mnie o przekazanie, że psiak ma się dobrze, a kucharka, chyba nazywa się pani Chubb, jest u siostry, a później przenosi się do nowej pracy.

- Co za wspaniałe wiadomości, bardzo panu dziękuję - rzekła Matilda nachylając się nad kwiatami.

- Jesteś okropnie czerwona - zauważyła Roseanne.  
- Strasznie tu gorąco.

- Już prawie kończę. Czy pokażesz panu Bernardowi ogród? - I dodała nie mogąc się powstrzymać:

- Nie wiedziałam, że pan zna doktora Scotta-Thurlowa.

- Właściwie bliżej się nie znamy. Miły z niego chłop. Za to nie podoba mi się ta dziewczyna, z którą ma się zenić.

Matilda niemal się z nim zgodziła.

Tej niedzieli do kościoła przyszło mnóstwo wiernych. Mieszkańcy wsi już dowiedzieli się o Bernardzie Stevensie i nie mogli się doczekać, żeby go zobaczyć. Siedział w dworskiej ławce między lady Fox a Roseanne, jej siostrami i sir Benjaminem. Wyglądał na zadowolonego. Przypuszczalnie otrzymał błogosławieństwo lady Fox, co oznaczało, że dostał je również od sir Benjamin, który nigdy nie sprzeciwiał się żonie.

Wychodząc z kościoła Matilda wpadła na panią Chump.

- Pani dziedziczka będzie zadowolona - szepnęła pani Chump, znajdowały się bowiem jeszcze w kruchcie. - Ten młody człowiek wygląda odpowiednio. Nie umywa się do tego przyjaciela doktora Bramleya, ale tamten to ktoś dla pani, panno Matildo. Może znowu wpadnie z wizytą.

- To mało prawdopodobne, pani Chump.

Bernard wyjechał w poniedziałek rano. Roseanne,

niemal nieprzytomna ze szczęścia, powitała Matildę nowiną, że mają się zaręczyć.

- Czy to nie cudowne? Jutro jadę do miasta spotkać się z nim i wybrać pierścionek. - Odchodząc tanecznym krokiem zawołała: - A tak się bałam, że nikt mnie nie zechce i zostanę starą panną jak ty!

Jaki piękny początek poniedziałkowego ranka, myślała ponuro Matilda idąc do salonu, żeby posegregować pocztę. Lady Fox dołączyła do niej niemal natychmiast i przez godzinę dzieliła się z nią swoją radością z powodu zaręczyn córki.

- Bernard pochodzi z całkiem dobrej rodziny - mówiła - spokrewnionej z Croftami z Norfolk, i ma przyszłość przed sobą. - Potem uniosła wzrok znad rachunku, który studiowała ze zmarszczonymi brwiami. - Dlaczego rzeźnik posyła go po raz drugi?

- Bo nie został zapłacony. Powiedziała pani, że może poczekać na swoje pieniądze.

- Musiałś mnie źle zrozumieć, Matildo. - Lady Fox oblała się rumieńcem. - Dopilnuj, żeby natychmiast go zapłacono. - Potem dodała: - Jaka szkoda, że ty nie możesz sobie znaleźć męża.

Matildzie udało się zachować milczenie tylko dlatego, że przypomniała sobie o dumie Finchów nie pozwalającej im zniżyć się do odpowiedzi na tak wulgarną uwagę. Będzie musiała zrezygnować z pracy we dworze. Potrzebuje pieniędzy, ale są granice tego, co dziewczyna może znieść. Nie ma żadnego specjalnego wykształcenia, jest jednak dobrą kucharką i lubi dzieci. Coś się znajdzie.

Następnego dnia Roseanne wróciła z pierścionkiem na palcu. Brylant nie był tak duży i błyszczący jak ten, który miała narzeczona pana Scotta-Thurlowa, niemniej budził podziw Matildy.

Tego wieczoru przy kolacji Matilda zapowiedziała, że zrezygnuje z pracy.

- Myślę, że to dobrze, moja droga - powiedziała od razu matka. - Lady Fox zwala na ciebie za dużo pracy. - Ojciec kiwnął głową z aprobatą, a Esme pisnęła z radości.

- Nie znajdą nikogo, kto harowałby tak jak ty, Tilly, i będą musieli, słono płacić. Co zamierzasz robić?

- Nie wiem, muszę się zastanowić. - Matilda spojrzała z niepokojem na ojca.

- Będzie mi brakować twojej pomocy w parafii, kochanie, ale może cię zastąpić Esme, a mniej więcej za tydzień wraca Hilary i zostanie do ślubu.

Przygotowawszy sobie wcześniej uzasadnienie chęci odejścia z pracy, Matilda poszła do dworu. Wchodziła właśnie bocznymi drzwiami, gdy usłyszała brzęk tłuczonego szkła, łomot i krzyk.

Pobiegła korytarzem do holu i ujrzała Roseanne leżącą u stóp wspaniałych szerokich schodów z okresu Tudorów. Złe stąpnęła i runęła w dół wraz z tacą, tłukąc przy tym całą porcelanę.

Matilda pochyliła się nad nią, a Roseanne otworzyła oczy i zaczęła krzyczeć. Lady Fox przybiegła zobaczyć, co się stało. Ona również krzyczała. Po chwili nadszedł sir Benjamin i przyłączył się do niej, z tym że nie krzyczał, lecz kłął. Zbiegła się służba.

- Zadzwońcie po doktora Bramleya - powiedziała Matilda.

- Moja noga! - krzyczała Roseanne. - Moja ręka! Nie mogę jej unieść! Umieram!

- Ależ skąd, nie umierasz - oznajmiła stanowczo Matilda. - Postaraj się uspokoić i dokładnie określić, gdzie cię boli.

- Noga, mówiłam już, nad kolanem, nie widzisz sama? I ręka, w nadgarstku...

Wrócił sir Benjamin, który poszedł do telefonu. Matilda posłała go po poduszkę i ostrożnie wsunęła ją pod głowę Roseanne.

- Nie można pozwolić, żeby moja biedna córka tu leżała - krzyknęła lady Fox. - Zawołam Gregga, żeby ją podniósł.

- Jeżeli ma połamane jakieś kości, to nie możemy jej ruszać, bo jej zaszkodzimy.

- To brednie, jestem jej matką i wiem, co dla niej dobre. Ty nie masz o tym pojęcia - rzekła lady Fox patrząc na Matildę.

Matilda przezornie zajęła taką pozycję koło Roseanne, która uniemożliwiała atak ze strony lady Fox. Dyskutowanie z nią w tej chwili nie miałyoby sensu. Biedna Roseanne darła się wniebogłose, sir Benjamin stał nad nią całkiem bezradny, pokojówka i sprzątaczką jakby wrosły w ziemię. Gdybyż tu był pan Scott-Thurlow, myślała Matilda.

Zamiast niego przyszedł doktor Bramley, skinął wszystkim głową i ukląkł obok Roseanne.

- Czy nikt jej nie ruszał? - spytał, obmacując delikatnie jej rękę i nogę.

- Mówiłam, żeby zawołać Gregga i zanieść ją do pokoju - odparła lady Fox - ale oczywiście Matilda mnie nie posłuchała i zostawiła moją biedną córkę tutaj.

- To bardzo dobrze. Nie uwierzyłaby pani, ile szkody ludzie wyrządzają ruszając osoby z obrażeniami cielesnymi. - Doktor otworzył walizeczkę i wyjął strzykawkę. - Najpierw złagodzimy ból, potem musi jechać do szpitala.

- Wykluczone, doktorze. Roseanne to wrażliwa dziewczyna. Przebywanie w pokoju z innymi chorymi mogłoby jej zaszkodzić.

Doktor napełnił strzykawkę i wbił igłę szarpiącej się Roseanne.

- Trzeba jak najszybciej zrobić prześwietlenie, a kości musi złożyć specjalista.

- Jest King's Hall... - powiedzieli jednocześnie sir Benjamin i Matilda.

- Poślijcie ją państwo tam. Matildo, dzwoń po karetkę. I spakuj rzeczy, które Roseanne będą potrzebne na kilka dni.

Roseanne ocknęła się. Zastryk zaczął już działać, ale oczy miała błędne.

- Nie pojedę, jeżeli Matilda nie zostanie tam ze mną. Słyszeliście, co powiedziałam? Nie pojedę, nie pojedę!

- Moje drogie dziecko - odezwała się dramatycznym tonem lady Fox. - Oczywiście, że z tobą pojedzie. Matildo, zapakuj jej rzeczy, a potem zabierz trochę swoich. Przynajmniej tyle możesz zrobić.

W oczach Matildy był gniew i smutek. Uchwyciła spojrzenie doktora, który mrugnął do niej i pokiwał głową wiedząc, co ona czuje.

- Proszę cię, Matildo, póki Roseanne się nie uspokoi - zwrócił się do niej.

- Dobrze, pojedę, bo to pan mnie prosi - zgodziła się Matilda i pomaszerowała dzwonić po karetkę.

Zanim karetka przyjechała, zdążyła zapakować torbę Roseanne, wpaść do domu, wziąć swoje rzeczy, krótko zrelacjonować wydarzenia matce i wrócić do dworu pozornie spokojna, choć wewnątrz nadal pełna złości. Najchętniej natychmiast rzuciłaby lady Fox w twarz swoją rezygnację. Jednak Roseanne potrzebny był ktoś, póki nie mogła ruszać ręką ani nogą. Powinna towarzyszyć jej matka, myślała Matilda obrzucając lady Fox oskarżycielskim spojrzeniem.

- To był dla mnie straszny szok, a ja jestem tak wrażliwa - tłumaczyła lady Fox zrozumiawszy należycie to spojrzenie. Objęła usypiającą Roseanne.

- Dziecko najdroższe, niedługo lepiej się poczujesz. Matilda da mi znać, co należy zrobić.

Doktor Bramley, który nadzorował przenoszenie Roseanne do karetki, słyszał te słowa.

- Zatelefonuję do pani natychmiast, jak tylko to

będzie możliwe - powiedział. - Wtedy sama pani zdecyduje o dalszych krokach.

Karetka ruszyła, Matilda wsiadła do samochodu doktora.

- Ktoś powinien dać znać Bernardowi - powiedziała, gdy pan Bramley zapalał silnik.

King's Hall, prywatny szpital, pięknie położony i cieszący się dobrą renomą, znajdował się w odległości około dwudziestu minut jazdy. Roseanne zawieziono natychmiast na rentgen, a Matilda cierpliwie czekała w komfortowo urządzonej poczekalni. Po jakimś czasie ktoś przyniósł jej kawę. Matilda wypijała ją, zjadła wszystkie ciasteczka i rozmyślała o...

W holu usłyszała jakiś ruch, a chwilę później do poczekalni wszedł bez pośpiechu doktor Scott-Thurlow, spokojny i poważny.

- Ach, Matilda, czułem to... - nie dokończył myśli i dodał: - Proszę łaskawie nie odchodzić, niebawem wrócę.

Wpatrywała się w niego pełna zachwytu. Powinna była się domyślić, że lady Fox zażąda dla córki najlepszego chirurga. Nagle gniew odczuwany z powodu tego, że wysłano ją z Roseanne, rozpułynał się. Myślała o nim, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby mu powiedzieć. Gdzieś wybiła godzina pierwsza. Elegancko ubrana posługaczka weszła z tacą i postawiła ją na małym stoliku.

- Lunch dla pani.

Zaraz za nią zjawiła się pełna godności niewiasta w szarej sukni i ślicznym muślinowym czepeczku.

- Są teraz w sali operacyjnej - poinformowała. - To może potrwać jakiś czas. Proszę się tu tymczasem rozgościć. - Uśmiechnęła się i odeszła. Matilda z apetytem zjadła lunch, który składał się z zupy, ryby z ziemniakami piure, brokułów z marchewką i kremu.

Potem przyniesiono jej jeszcze kawę. Nie mając nic do roboty wróciła na fotel i zapadła w drzemkę.

Doktor Scott-Thurlow wszedł cicho i zatrzymał się przy drzwiach. Matilda wyglądała tak pięknie z płomiennymi włosami na tle jasnozielonego fotela, w którym na wpół leżała. Chwilę na nią patrzył, a potem nachylił się i delikatnie dotknął jej ramienia.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak. Na rękę założono gips, bo to nieskomplikowane złamanie i szybko się zrośnie. Z nogą jest gorzej, podwójne złamanie powyżej kolana, rzecz dość niezwykła. Trzeba nogę umieścić na kilka tygodni na wyciągu. Roseanne obudziła się już z narkozy, ale teraz śpi. Rozmawiałem z jej matką. Rozumiem, że ma pani z nią zostać, do czasu, kiedy będzie mogła dać sobie radę sama. - Uśmiechnął się lekko. - Mam nadzieję, że taki układ nie sprawi pani kłopotu.

- Owszem, sprawi. Miałam dziś rano poinformować panią Fox, że chcę odejść, zanim jednak zdążyłam to zrobić, Roseanne spadła ze schodów. Może pani Fox mogłaby przyjechać i zostać z córką. Nie jestem tu niezbędna. Nie brakuje tu na pewno pielęgniarek.

Doktor Bramley wszedł do poczekalni.

- Jak się tu czujesz, Matildo? Właśnie niosą herbatę i wkrótce zaprowadzą cię do Roseanne, a potem do twojego pokoju. Jamesie, co powiedziała lady Fox?

- Odmówiłem jej prośbie, żebym tu pozostał. Mam wieczorem pacjentów i listę umówionych na jutrzejsze przedpołudnie, ale wpadnę tu za parę dni. Nie przewiduję zresztą żadnych komplikacji. Wyjaśniłem pani sytuację siostrze przełożonej, Matildo. Przekona się pani, że zarówno ona, jak i inne siostry są miłe i skore do pomocy. Prosiłem ją także, by zezwoliła Bernardowi Stevensowi na odwiedziny o każdej porze. Ma chyba wielki wpływ na Roseanne.

- Dziękuję. Jak pan sądzi, jak długo muszę tu pozostać?

- Tego nie potrafię powiedzieć. To zależy od lady Fox, czyż nie?

- Tak, oczywiście, że tak, ale ona pana posłucha, bo jest pan... znakomitym chirurgiem.

- Zrobię, co będę mógł. - Mówił serio, ale ona miała takie uczucie, jakby z niej trochę żartował. - Widziałem dziś rano panią Chubb, ma się dobrze, przesyła pani pozdrowienia. Tak samo ten mały psi urwis.

- Jest nadal u weterynarza?

- Tak, jeszcze przez tydzień. Może ma pani propozycję, jak ma się wabić?

- Znalazłam go na Theobald Avenue. Może nazwać go Theobald?

- Rzeczywiście, dlaczego nie? - Tym razem okazał rozbawienie. - Zerknął na zegarek. - Muszę już iść. Rzucę jeszcze okiem na Roseanne.

Odszedł z doktorem Bramleyem i Matilda została sama. Nie wrócili już. Niebawem usłyszała w holu głosy, a potem warkot odjeżdżających samochodów. Kiedy przysłała po nią pielęgniarka, Matilda zapytała, czy mogłaby zatelefonować.

- Obiecałam dać znać lady Fox, jeśli Roseanne poczuje się lepiej, ale doktor Scott-Thurlow już z nią rozmawiał, prawda? A doktor Bramley też ją na pewno odwiedzi. Chciałabym teraz zadzwonić do matki. Musiałam wyjechać dość nieoczekiwanie.

Roseanne nie spała i prawie nie odczuwała bólu. Była jednak w płacziwym nastroju.

- Teraz, ze złamaną ręką i nogą, to nigdy nie wyjdę za mąż - narzekała.

- Dlaczegoż to? Za parę tygodni będziesz zdrowa jak rybka, a przecież nie planowałaś ślubu w najbliższym miesiącu czy dwóch. Prawda? - uspokajała ją Matilda.



- Dlaczego on nie przychodzi? Powinien mnie pocieszać.

- Najpierw trzeba by mu dać znać. Może go nie ma w Londynie. Wiesz, że jeździ po różnych muzeach. Naturalnie, że tu przyjedzie,

- Czy wyglądam okropnie?

- Nie, gdybyś mogła się trochę uśmiechnąć, wyglądałabyś ładnie. Nie jest tak źle. Masz przyjemny pokój, pielęgniarki są bardzo miłe. Leczy cię doktor Scott-Thurlow, a to jeden z najlepszych specjalistów. Tak mi mówiono.

- Kto ci to mówił?

- Ktoś z tego szpitala, do którego zawiozłam panią Chubb, kiedy obcięła sobie palce.

- Aha... doktor Scott-Thurlow jest surowy, prawda?

- Nie znam go na tyle. - Matilda się zmieszała, toteż uradowała ją widok wchodzącej siostry z koszem czerwonych róż. - Popatrz tylko. Tu jest bilecik.

- Otwórz go - rozkazała Roseanne i dodała: - proszę - widząc zaskoczenie Matildy. Bilecik był oczywiście od Bernarda. Roseanne przeczytała go, popłakała się, a potem poweselała. — Przyjedzie mnie odwiedzić i zatrzyma się u rodziców, dopóki nie pocuję się lepiej. Teraz już się nie martwię.

Matilda została z nią do kolacji. Kiedy pielęgniarka przyszła przygotować chorą do snu, mogła wreszcie udać się do swojego pokoju, obok pokoju Roseanne. Stał tam telewizor, tak że jedząc kolację oglądała film.

Lady Fox odpowiadała wymijająco, kiedy Matilda do niej dzwoniła. Przyjedzie odwiedzić Roseanne nazajutrz i wtedy postanowią, co robić dalej.

- Roseanne potrzebuje oparcia. Na szczęście jesteś przy niej.

Na te słowa Matilda zareagowała szorstko:

- Byłabym zadowolona, gdyby pani albo któraś z jej siostr jak najprędzej przejęła moje obowiązki.

Muszę wracać do domu. Zechce pani wziąć pod uwagę, lady Fox, że powinnam pomagać ojcu.

- Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że opieka nad Roseanne to sprawa pilniejsza od innych.

— Tak, z pewnością. Jeśli pani uważa, że towarzyszenie Roseanne jest niezbędne, to czy nie powinna pani być przy niej?

Odłożyła słuchawkę, zanim oburzona lady Fox zdążyła odpowiedzieć. Jutro, myślała przygotowując się do snu, pošle jej wymówienie. Dla ojca będzie to nieprzyjemne. Zrobiło jej się z tego powodu przykro. Była jednak pewna, że doktor Bramley stanie po jej stronie. Położyła się do łóżka i sekundę później usłyszała stukanie do drzwi. Weszła pielęgniarka.

— Bardzo przepraszam, panno Finch, ale panna Fox sprawia nam trochę kłopotu. Może gdyby pani przysłała...

Mrucząc pod nosem poszła do Roseanne.

Nadszedł ranek, a wraz z nim pojawiła się lady Fox. Była w bardzo złym humorze, który uległ jeszcze pogorszeniu, bo musiała czekać na siostrę przełożoną. Wchodząc do pokoju córki była wyraźnie zirytowana, gdyż siostra przełożona ośmieliła się twierdzić, że Roseanne dobrze zrobiłoby kilka dni bez odwiedzin.

Matilda czytała właśnie Roseanne gazetę, kiedy pojawiła się lady Fox. Oczy jej zapałały gniewem, gdy zobaczyła co to za gazeta.

- To brukowiec! - wykrzyknęła. - Jak śmiesz czytać takie bzdury Roseanne?

- J a w nich też nie gustuję - zgodziła się wesoło Matilda - ale odwracają uwagę chorej od własnej osoby. „The Times” ani „Telegraph” nie drukują takich ciekawych historyjek, prawda?

Zdenerwowana lady Fox objęła córkę, która rozpłakała się zupełnie bez powodu, a następnie ciężko siadła przy jej łóżku.

Matilda roztropnie się wycofała, słyszała jednak ich podniesione głosy. Niebawem usłyszała surowy głos siostry dyżurnej, a później do jej pokoju wprowadzono lady Fox.

- Co to za nonsensy mówiłaś wczoraj przez telefon?  
- żądała wyjaśnień. - Musze przyznać, że twoja nieuprzejmość mnie zadziwiła, Matildo.

- Nie byłam nieuprzejma, konstatowałam tylko fakty. Teraz nadarza się okazja, żeby pani podziękować za pracę. Zostałam tak długo tylko ze względu na Roseanne. Dziś jest czwartek, mogłabym więc zostać do następnej soboty. Miałaby pani czas na znalezienie sobie kogoś na moje miejsce.

- Ależ co ja zrobię - spytała osłupiała lady Fox.  
- Nie znajdę nikogo, kto przychodziłby codziennie.

Na pewno nie w tej wsi i nie za te grosze, które płaci lady Fox, pomyślała Matilda czując przypływ radości na myśl o tym, że uwolni się od uciążliwej pracy we dworze. Będzie mogła sama sobie wybrać, co chce robić. W gruncie rzeczy najchętniej wyszłaby za męża za doktora Scotta-Thurlowa.

Uświadomiła sobie, że lady Fox nagle zamilkła, kiedy drzwi się otworzyły. Wszedł doktor Bramley i doktor Scott-Thurlow.

- Przerwaliśmy pogawędkę? - spytał doktor Bramley i mrugnął w stronę Matildy. - Doktor Scott-Thurlow przyjechał zobaczyć Roseanne.

- Czy czuje się dziś lepiej? - zapytał Matildę po przywitaniu lady Fox.

- O tak. Miała niespokojną noc, ale z samego rana telefonował Bernard. Przyjedzie po południu.

- W takim razie chodźmy zbadać pacjentkę.

Matilda i lady Fox siedziały w milczeniu oczekując na ich powrót.

- Stan zupełnie zadowolający - oznajmił doktor Scott-Thurlow. - Zostawiam Roseanne w kompeten-

tnych rękach doktora Bramleya. Oczywiście będą wpadał od czasu do czasu. Zrobimy następne prześwietlenia, żeby stwierdzić, czy jest postęp. Fizjoterapię rozpoczniemy jak najszybciej.

Stał przy drzwiach i Matilda patrząc na niego myślała, jakież on jest dystyngowany, przystojny i pewny siebie. Westchnęła, co zauważył i delikatnie się uśmiechnął. Domyślił się, że doszło do spięcia między tymi dwiema kobietami, bo atmosfera wydawała się wręcz gęsta. Matilda pewno powiedziała, co myśli.

- Moim zdaniem, Roseanne szybciej wróci do zdrowia, jeżeli nie będzie miała stałego towarzystwa - powiedział. - Odwiedzających i pana Stevensa oczywiście należy zawsze wpuszczać. Pielęgniarki są tutaj znakomite, nie zabraknie jej troskliwej opieki. - Podeszedł do drzwi. - Musicie mi państwo wybaczyć. Czeka mnie pracowity dzień. To naprawdę niefortunny dla pani córki wypadek, mogę jednak zapewnić, że w ciągu krótkiego czasu wróci do zdrowia. - Pożegnał lady Fox i obrócił się w stronę Matildy.

- Dziękuję za pomoc - rzekł z uśmiechem i właśnie ujął jej dłoń, kiedy przerwała mu lady Fox.

- Pański rachunek, doktorze...

Oczy pana Scotta-Thurlowa stały się lodowate.

- We właściwym czasie moja sekretarka prześle pani rozliczenie, lady Fox.

Matildzie, która przy różnych okazjach starała się jej współczuć, zrobiło się przykro.

- No cóż, wracaj lepiej do domu. Chyba będę musiała codziennie tutaj przyjeżdżać. Zapomnę o tych głupstwach, które wygadywałaś o rezygnacji z pracy, Matildo. Oczekuję cię jutro rano, jak zwykle - oznajmiła lady Fox po wyjściu obu lekarzy.

- Oczywiście, proszę pani. Powiedziałam przecież, że zostanę do przyszłej soboty. Ale nie mówiłam głupstw. Potem odchodzę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Matildę odwiózł do domu doktor Bramley. Przedtem jednak czekała ją jeszcze burza rozpętana przez Roseanne na wieść, że pozostanie sama. Na szczęście Matilda w porę przypomniała, że przyjdzie Bernard i będzie chciał ujrzeć uśmiechniętą narzeczoną, co powstrzymało atak hysterii panny Fox.

- Czy poróżniłyście się z lady Fox? Wyczułem wyraźnie, że atmosfera była napięta - ostrożnie spytał doktor Bramley w trakcie jazdy.

- I tak już czas, żebym znalazła sobie coś innego do roboty. Hilary wraca na kilka miesięcy, a Esme świetnie ojcu pomaga. Chciałabym znaleźć pracę niedaleko, żeby regularnie wpadać do domu. Nie mam pojęcia, jaką. Chyba niewiele osób potrzebuje kogoś do załatwiania korespondencji, układania kwiatów i tym podobnych rzeczy.

- Podobno jesteś świetną kucharką. Nie wątpię, że coś się znajdzie. Wpadnij od czasu do czasu do Roseanne, dobrze? Ona potrzebuje kogoś, kto by ją podbudował. Ten chłopak, za którego chce wyjść, wygląda dość sympatycznie.

- O tak. Roseanne przy nim jest zupełnie inna.

- Zdumiewa mnie, jak miłość potrafi zmienić człowieka.

Matilda zastanawiała się, czy miłość zmieniła Rhodę Symes. Nie wydawało jej się to prawdopodobne. Pewno dlatego, że ona nie kocha Jamesa, a może i on jej nie kocha. Pobożne życzenia.

Zagadnęła swego towarzysza o pszczoły, jego wielką

pasję. Nadal o nich rozmawiali, gdy zajechał przed plebanię i wszedł do środka, zaproszony na filiżankę kawy.

Następnych dziesięć dni nie należało do łatwych. Każdego ranka chodziła do dworu, gotowa słuchać jak zawsze poleceń swej chlebobawczynie, ale co naprawdę czuła, wiedziała tylko ona.

Należało znaleźć kogoś na jej miejsce, co nie było łatwe, ponieważ nikt nie kwapił się do pracy u lady Fox.

Wreszcie lady Fox zwróciła się o radę do samej Matildy.

- No cóż - powiedziała ta po namyśle. - Gdyby pani zaoferowała wyższą płacę i dała ogłoszenie do gazety w Salisbury lub Yeovil... ponadto jest tu pod dostatkiem miejsca, więc można by zaproponować pokój, oczywiście za darmo.

- Rzeczywiście - oburzyła się lady Fox. I postąpiła zgodnie z radą Matildy. Znalazła się w końcu chętna. Była nią pani w średnim wieku, która na pewno nie pozwoliłaby sobie w kaszę dmuchać. Oczekiwała dużo wolnego czasu dla siebie i miesięcznego urlopu. Miała doskonałe referencje, miły głos i sposób bycia, świetnie też pisała na maszynie. Została zaangażowana i Matilda odetchnęła z ulgą.

Kilkakrotnie pojechała starym samochodem ojca odwiedzić Roseanne i znalazła ją w znacznie lepszym stanie. Bernard wyjechał, obiecał jednak przyjeżdżać na weekendy. Wpadł na świetny pomysł, żeby przywozić ze sobą stopy ilustrowanych czasopism, Roseanne siedziała więc całe dni na łóżku oglądając tapicerowane meble, stoły i inne rzeczy, które mogłaby wybrać przy urządzaniu ich domu po ślubie.

Po jednej szczególnie miłej wizycie u Roseanne Matilda myślała w drodze do domu, że doktor Bramley miał wiele racji mówiąc, iż miłość czyni cuda. Myśl ta

w sposób naturalny przywiodła ją ku osobie doktora Scotta-Thurlowa. Życzyła sobie ponownego z nim spotkania, lecz choć doktor bywał w szpitalu u Roseanne, nigdy nie przyjechali tam jednocześnie. Postanowiła poszukać pracy, żeby zająć się czymś innym i spotykać innych ludzi.

Odeszła od lady Fox pozostając pozornie w dobrych z nią stosunkach. Ojciec widywał się często z sir Benjaminem, a poza tym między dworem a plebanią nie powinno być niechęci. W niedzielę, na miejscu, które w dworskiej ławie zajmowała Roseanne, siedziała panna Twisk, jej następczyni. Lady Fox wychodząc z kościoła skinęła łaskawie głową rodzinie pastora. Urazy były przeszłością.

Matilda była teraz wolna od rozmaitych drobnych zajęć, które wykonywała we dworze, i to sprawiało, że czuła się cudownie. Pomagała matce smażyć dżem rabarbarowy, pracowała z przyjemnością w zaniedbanym ogrodzie, pomalowała jedną z szop stojących na terenie posesji. Potem zajęła się wyblakłymi zasłonami w salonie. Pani Chump wygrzebała w składowiku barwnik w odcieniu starego różu i Matilda użyła go do ufarbowania zasłon. Kiedy wieszała je, aby wyschły, stwierdziła, że wyglądają całkiem nieźle. Nie zdejmując z siebie roboczego stroju siadła w kuchni, żeby wypić kawę z matką i panią Coffin. Staroświecki dzwonek przerwał ich pogawędkę.

- A niech to gęś kopnie - rzekła pani Coffin wstając. - Pewno listonosz, ale po co on tak alarmuje... Ciekawe, z czym przyszedł.

Matilda zrzuciła sandały i rozparła się w starym, wiklinowym fotelu.

- Pojadę dziś do Sherborne rozejrzeć się za jakąś pracą.

- A co chciałabyś robić, kochanie? - Pani Finch postawiła przed nią kubek z kawą.

- Nie mam pojęcia, co się znajdzie. - Uśmiechnęła się do matki i odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co przyniósł listonosz.

Nie była to ani przesyłka, ani listonosz. W drzwiach za panią Coffin pojawił się doktor Scott-Thurlow.

Ku swemu niezadowoleniu, Matilda na jego widok dostała wypieków. Rozpromieniona pani Finch zerwała się z krzesła.

- Dzień dobry, panie doktorze. Przyszedł pan w samą porę na kawę. Proszę siadać. - Wskazała mu krzesło obok siebie. - Czy był pan we dworze?

Matilda zadowolona, że może coś zrobić, poszła po dzbanek z kawą.

- Proszę mi wybaczyć, pani Finch, że przychodzę o takiej porze. Tak, wstąpiłem do dworu "wracając od Roseanne.

Wziął filiżankę od Matildy.

- Zabiorę się teraz do sprzątnięcia sypialni, kochani - oznajmiła pani Coffin.

Matilda, dziwnie nie mając ochoty zostać z doktorem, zapytała ją, czy nie potrzebuje pomocy. Nawet wstała już z krzesła. Jednak pan Scott-Thurlow przeszkodził jej w ucieczce.

- Proszę nie odchodzić, przyjechałem, żeby z panią porozmawiać.

- Ze mną? - Siadła z powrotem. - A o czym?

- Muszę iść do pracy - powiedziała szybko pani Finch. - Pan rozumie, taki duży dom, zawsze jest tu coś do zrobienia.

- Proszę, niech pani zostanie. Chciałem coś zaproponować Matildzie. O ile wiem, nie chodzi już do dworu. Być może byłaby zainteresowana okresową pracą, niedaleko stąd, między Sherborne i Montacute. U pewnego starszego pana, którego żona poszła do szpitala na kilka tygodni. Jest tam gospodyni i pod dostatkiem służby, ale on potrzebuje towarzystwa,



kogoś, kto by mu poczytał, zagrał z nim w karty, pospacerował po ogrodzie, posłuchał jego opowieści. Oczywiście trzeba by tam zamieszkać, ale na weekendy można wracać do domu. To zajęcie nie wymaga dużego wysiłku, choć może być nużące i niekiedy denerwujące. Jeśli chodzi o płacę... - Wymienił sumę, a Matilda otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Za dużo - orzekła bez ogródek.

- W gruncie rzeczy nie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że nie będzie pani miała wiele czasu dla siebie, poza weekendami. Mam nadzieję, że potraktuje pani serio tę propozycję, Matildo.

Kochała go i jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że trochę się go boi. Wyglądał i mówił tak, jak powinien mówić wybitny chirurg - uprzejmie, bezosobowo, z rezerwą. Nie miała pojęcia, co sobie myśli. Spokojna, męska twarz nie zdradzała niczego.

- Kiedy chce pan znać odpowiedź?

- Zaraz.

Zobaczyła, że matka się uśmiecha.

- Dopiero co mówiłaś, Tilly, że pojedziesz do Sherborne rozejrzeć się za jakąś pracą.

- Jak tam dojadę? Czy jeździ tam jakiś autobus? I jak wrócę do domu na weekend?

- Zostanie pani tam odwieziona. Umie pani prowadzić, prawda? Jest tam samochód, z którego mogłaby pani korzystać podczas weekendów.

- Kiedy ten pan chciałby, żebym przyjechała?

- Spojrzała na swój roboczy strój. - Właśnie farbuję zasłony...

Doktor, który nie znał się na farbowaniu zasłon, nie podjął tego wątku.

- Może jutro po południu? - zaproponował. — Niech pani spróbuje przez tydzień. Gdyby pani to zajęcie nie odpowiadało, można się wycofać. - Wstał. - Muszę

wracać do miasta. Czy mam po panią przyjechać jutro około trzeciej?

Matilda usłyszała, że odpowiada: - Tak.

Matka wyszła za nim z kuchni. Dopiero skrzypienie frontowych drzwi uświadomiło jej, że nie zna nazwiska nowego pracodawcy. Zerwała się, przebiegła koło matki, która już zamykała drzwi i popędziła ogrodową ścieżką w stronę samochodu, do którego wsiadł właśnie doktor Scott-Thurlow. Wetknęła głowę przez okno i zapytała:

- Jak się nazywa ten starszy pan?

Obserwował przez chwilę jej twarz, okoloną płomienymi włosami.

- Scott-Thurlow. Charles Scott-Thurlow. To mój dziadek. -I ten powściągliwy człowiek, nie poddający się chwilowym impulsom, pocałował ją w policzek, znajdujący się tak kusząco blisko, po czym uniósł rękę na pożegnanie i odjechał.

Matilda stała i patrzyła za odjeżdżającym samochodem z mieszanymi uczuciami: zachwyty i zdziwienia. Dlaczego ją pocałował? Był przecież zaręczony. I to z piękną kobietą. Co ona by na to powiedziała? A może w jej środowisku taki przypadkowy pocałunek nie ma znaczenia. Tylko czy był naprawdę przypadkowy?

Doktor także doznawał mieszanych uczuć. Zawsze był opanowany i wiedział, czego chce, a teraz zaprzętała go tylko jedna myśl: móc spotykać Matildę, i to tak często, jak tylko można. Był jednak świadom tego, że ona zburzyłaby mu jego uporządkowane życie. Była impulsywna, porywca, lubiła mówić to, co myśli, a jednocześnie - tak mu się wydawało - niezbyt dbała o swój wygląd. Musi zapomnieć o tej dziewczynie, zanim będzie za późno. Teraz żałował, że zaproponował jej odwiezienie do domu dziadka. Ze zwykłą sobie szczerością musiał przyznać, że wszystko to obmyślił, żeby móc ją częściej widywać. Dziadek co

prawda potrzebował kogoś do towarzystwa, mógł jednak zaproponować to zajęcie wielu paniom. Mógł też sam wziąć kilka dni urlopu, taka zmiana dobrze by mu zrobiła. Może pojechałaby z nim Rhoda. Rozważał ten pomysł bez entuzjazmu.

Na popołudnie miał wyznaczone operacje. Usunął Matildę ze swoich myśli i skoncentrował się na wzmacnianiu specjalnymi płytkami kości w pogruchothanej nodze, na laminiektomii nowotworu kręgosłupa i na wycięciu łękotki. Potem wypił herbatę, którą przygotowała mu siostra z sali operacyjnej, grzecznie życzył jej dobrego dnia i przeszedł do pokoju lekarskiego, gdzie czekała pilna wiadomość.

Na Spitsbergenie doszło do katastrofy górniczej i proszono go, żeby przyjechał na konsultacje kilku przypadków. Zgodził się od razu. Resztę dnia spędził przesuwając terminy planowanych operacji i rezerwując bilet lotniczy na następny dzień. Na koniec zadzwonił na plebanię. Telefon odebrała pani Finch.

- Chciałby pan zabrać Matildę rano? Oczywiście. Nie ma jej teraz, ale jest już gotowa do wyjazdu. Jutro o dziesiątej? Będzie czekała.

Odłożył słuchawkę z westchnieniem. Okoliczności, dla jednych nieszczęśliwe, jemu rozwiązały problem. Gwizdnął na psy i poszedł z nimi do Regens Park. Mimo spaceru, nie miał wielkiego apetytu na pyszną kolację podaną przez Twigga.

Ta okoliczność skłoniła służącego do podzielenia się z żoną swoją opinią.

- To do pana niepodobne, Mavis, zupełnie niepodobne. Coś się dzieje i nie ma to związku z podróżą na Spitsbergen. On stale jeździ tu i tam i jeszcze gdzieś i nic sobie z tego nie robi.

- Może to ta panna Symes? - sugerowała pani Twigg, która jej nie lubiła.

- To nie to. - Kamerdyner potrząsnął łysą głową.

- Telefonował i mówił, że nie może z nią iść na jakiś koncert czy coś w tym rodzaju. Ale całkiem grzecznie,

Kiedy następnego ranka zajechał pod plebanie, Matilda już czekała. Ubrała się starannie w szeroką spódnicę w kwiaty, gładką bluzkę i dobrze pasujący do niej sweterek. Wiele uwagi też poświęciła twarzy i włosom. Doktor rzucił jej jedno spojrzenie, po czym chłodno się z nią przywitał. Przypuszczała, że miał moc pracy od ostatniego ich spotkania, i to wspomnienie wywołało rumieniec na jej twarzy. Nie sądziła, że odmówi wypicia kawy, którą przygotowała matka. Praca go goni, tłumaczył się i nie tracąc czasu zabrał Matildę do samochodu.

Podczas krótkiej jazdy pan Scott-Thurlow miał niewiele do powiedzenia. Matilda wypowiedziała kilka uwag, na które otrzymała niezobowiązujące odpowiedzi. Cieszyła się na tę podróż, nie mogła się jej doczekać, a teraz czuła skrępowanie i strach, gdyż jej towarzysz ukrywał się za nic nie mówiącą maską. Dojeżdżali już, kiedy znalazła odpowiedź - dawał do zrozumienia, że zainteresowanie jej osobą jest czysto powierzchowne, że jest przypadkową znajomą. Pocałował ją po prostu dla przyjemności. Zresztą nie musi się obawiać, że zrozumiała to inaczej. Pogrzyżyła się w pełnym godności milczeniu i oglądała okolicę, jakby jej nigdy przedtem nie widziała. Była jednak niespokojna.

Zajechali przed miły, osiemnastowieczny dom, z oknami dzielonymi kamiennymi słupkami i dachem z czerwonych dachówek. Stał w ogrodzie, w którym rosły rododendrony i różne ozdobne drzewa i krzewy. Z boku był mały staw. Doktor wysiadł, pomógł Matildzie i poszli żwirowaną ścieżką do drzwi frontowych. Nie skorzystał ze starego dzwonka, lecz od razu otworzył drzwi. Weszli do sionki, skąd przechodziło się do dużego i jasnego kwadratowego holu,

z wypastowaną drewnianą podłogą pokrytą częściowo perskimi dywanami. Na ścianach obitych boazerią z jasnego drewna wisały obrazy. Schludnie ubrany mężczyzna w średnim wieku wyszedł im na spotkanie.

- Jak się miewasz, Slocombe? - Doktor zwrócił się do Matildy: - Slocombe zajmuje się domem dziadków i jest prawdziwym skarbem. Zawsze pani pomoże. Slocombe, oto panna Finch. Już wiesz, że będzie towarzyszyć dziadkowi do powrotu mojej babki.

Służący z powagą ukłonił się Matildzie, a ona podała mu rękę.

- Jestem pewna, że będę zadowolona z pańskich rad - rzekła. Doktor zauważył, że Slocombe uległ urokowi jej przyjaznego uśmiechu i zielonych oczu.

- Dziadek oczekuje - oznajmił Slocombe i poprowadził ich przez hol do dużego pokoju z oknami wychodzącymi na obie strony domu.

Starszy pan, który podniósł się na ich widok, musiał być w młodszym wieku równie wysoki jak jego wnuk. Nawet teraz, mając przeszło osiemdziesiąt lat, trzymał się prosto i był nadzwyczaj przystojny. Miał szlachetną twarz, białe włosy i niebieskie oczy, które odziedziczył też wnuk. Matilda jak zwykle popuściła wodze swojej wyobraźni. Za pięćdziesiąt lat James będzie wyglądał tak samo, będą obchodzić złote gody w otoczeniu grona dzieci i wnuków. Nagle uświadomiła sobie, że obaj panowie patrzą na nią z takim samym półuśmiechem.

- Oto mój dziadek. Jestem pewny, że potrafi pani skrócić mu czas oczekiwania na powrót mojej babki.

Matilda uściśnęła rękę starszego pana. Od razu jej się spodobał, ale to było do przewidzenia - był przecież dziadkiem Jamesa.

- Mam taką nadzieję - powiedziała z uśmiechem.
- Zostaniesz na lunch, James?
- Niestety nie. Muszę jechać, spieszę się na samolot.

Matilda ujrzała natychmiast oczyma wyobraźni, jak on i Rhoda wsiadają do odrzutowca i lecą na jakąś egzotyczną wyspę.

- Ach tak, oczywiście. Katastrofa górnicza na Spitsbergenie. Nie wątpię, że czeka cię dużo pracy.

- Obawiam się, że tak. - Potrząsnął rękę dziadka.

- Przyjadę zaraz po powrocie.

- Zabierasz ze sobą Rhodę? - spytał dziadek.

- Rhodę na Spitsbergen? Wątpię, czy ona wie, gdzie to jest. - Doktor wyglądał na zdumionego.

- Bardzo piękna kobieta - zauważył dziadek.

- Chciałbym z tobą pojechać.

- Też bym tego chciał. - Uśmiechnęli się do siebie i doktor zwrócił się do Matildy spokojnie stojącej obok nich.

- Proszę o niego zadbać, Matildo - powiedział i odszedł, zanim zdążyła kiwnąć głową.

- A więc może napijemy się czegoś, moja droga? Slocombe tymczasem zanieśe pani rzeczy na górę, a jego żona niebawem zaprowadzi panią do jej pokoju. Szkoda, że James nie mógł z nami zostać, ale czeka go dość długi lot na Spitsbergen.

- Wspomniał pan o górniczej katastrofie, czy to ta, o której dziś rano czytałam w gazecie?

- Tak. W Ny Alesund mają znakomity szpital, ale kiedy zdarza się katastrofa, potrzebują dodatkowej pomocy. James oczywiście już tam jeździł. Dobry chłopak. Jako mały brzdąc powiedział mi, że będzie równie dobrym chirurgiem jak jego ojciec. I rzeczywiście jest.

- Czy pańska żona... - zaczęła niepewnie Matilda popijając sherry.

- Wstawiali jej sztuczny staw biodrowy. Kolega Jamesa wykonał tę operację... w minionym tygodniu. Mogłaby już wrócić, ale jest to kobieta niezależna i nie chce być inwalidką we własnym domu. Zostanie więc

w szpitalu, dopóki nie będzie w formie. Około trzech tygodni, jak mówiła. -I dodał: - Bardzo mi jej brak.

- Za to może się pan pocieszać myślą, że wróci z nowym stawem biodrowym.

- Tak, tak. Wie pani, ona jest zapaloną ogrodniczką. Potrafi nazwać każdy kwiatek, który kiedykolwiek hodowała. - Westchnął. - Nigdy nie przeboleliśmy śmierci ojca Jamesa. Jego matki również, była to bardzo miła osobka, i taka oddana.

Przymknął oczy i natychmiast zasnął. Matilda w myślach towarzyszyła doktorowi w drodze na lotnisko i potem lecącemu setki kilometrów, aby dotrzeć tam, gdzie potrzebna była jego pomoc. Dziadek mówił o nim „dobry chłopak”, co w ustach starszego pana było zapewne wielką pochwałą. Miał wszystkie te cechy, na które liczyła u męża, tylko że nie było szans na to, by nim został.

- G r a pani w szachy, Matildo?

Pan Scott-Thurlow senior otworzył swoje bardzo niebieskie oczy i patrzył na nią uważnie.

- Ja? W szachy? Jak by to powiedzieć, gram właściwie fatalnie, tak twierdzi ojciec.

- To wspaniale. Co wieczór po kolacji pokonam panią. A teraz proszę opowiedzieć mi o swojej rodzinie.

Opowiadała do momentu, kiedy Slocombe zawiadomił, że lunch zostanie podany za pół godziny, i spytał, czy panna Finch nie zechciałaby przedtem pójść do swego pokoju.

Tęga i przyjazna pani Slocombe zaprowadziła ją krętymi schodami na piętro. Jej pokój znajdował się z boku domu i okno wychodziło na ogród. Był przyjemnie umeblowany - stało tam białe łóżko i toaletka, dwa foteliki, mały stolik z lampką. Na podłodze leżał jasnoniebieski dywan harmonizujący z zasłonami i kapą na łóżku. Pełno było tu kwiatów i książek. Obok zaś znajdowała się mała łazienka.

- Jeśli będzie panienka czegoś potrzebować, to proszę dać znać - rzekła pani Slocombe. - Pokojówka Alice przyniesie rano herbatę. Pan Scott-Thurlow jada śniadanie wcześniej, punkt ósma. Panna Symes, kiedy tu bywała, jadła w łóżku. Nie lubi wstawać przed dziesiątą.

- Wolałabym zejść na śniadanie na dół. Jestem przyzwyczajona do rannego wstawania. To znaczy, jeśli nie będzie to panu Scottowi-Thurlowowi przeszkadzało.

- On nie pochwała wylegiwania się w łóżku, panienko.

Pani Slocombe odeszła. Matilda obejrzała pokój, wychyliła się przez okno i usiadła przed toaletką. Chciała doprowadzić się do porządku.

Lunch, jak zwykle w tym domu, był wyśmienity. Po posiłku pan Scott-Thurlow udał się do biblioteki na swoją popołudniową drzemkę, Matilda zaś zamierzała zwiedzić dom.

- Herbata jest o czwartej - zapowiedział gospodarz.  
- Jeśli po południu nie będzie pani mieć nic innego do roboty, to proszę przejrzeć pocztę i załatwić wszystko, co trzeba. Potem moglibyśmy zagrać tę partyjkę szachów.

Wieczorem wygrał z nią bez wysiłku, a potem oznajmił, że idzie do łóżka. Kładł się spać wcześniej. Zauważył jeszcze, że o tej porze James jest już w Norwegii.

- Jak się stamtąd dostanie na Spitsbergen?

- Polecą do Oslo, tam przesiądzie się na samolot do Tromsø, to jest na północy, a stamtąd na Spitsbergen małym samolotem lub helikopterem.

- Będzie późna noc, kiedy tam dotrze.

- Albo wcześniej rano.

- Będzie zmęczony - orzekła Matilda.

Starszy pan potwierdził. Jego oczy nagle zrobiły się czujne, ale ograniczył się tylko do słów:



- No, idę do łóżka. Zobaczę panią przy śniadaniu?  
- Tak, jeśli pan sobie tego życzy.  
- Żona nigdy nie wyleguje się w łóżku do południa. Zanim musiała pójść do szpitala, zawsze jadalismy razem śniadanie. Odwiedzimy ją jutro. Jeżdżę do niej codziennie rano. James mi mówił, że pani umie prowadzić. Slocombe będzie zachwycony, ponieważ to, że musi mnie zawozić i czekać na mnie, burzy mu rozkład dnia.

- Czy to daleko?

Wymienił nazwę prywatnego szpitala w drodze do Bath.

- To około pół godziny jazdy.

Matilda spała doskonale. Zjadła w towarzystwie starszego pana smaczne śniadanie, a potem zasiadła za kierownicą daimlera, którym Slocombe zajechał przed dom. Miała tremę. Wkrótce jednak zapomniała o niej. Daimlerem jechało się cudownie, a drogi były dobre. Przed szpitalem pan Scott-Thurlow przerwał milczenie.

- Doskonale, moja droga. Moja kochana żona nie umie prowadzić, ale wszystkie młode kobiety oczywiście powinny umieć. Mogą jeździć po zakupy, odwozić dzieci do szkoły. Ta umiejętność przyda się pani po wyjściu za mąż.

- Nie myślę, żebym wyszła za mąż - odparła ponurym głosem.

- Ale wyjdzie pani. - Uśmiechnął się do niej i wtedy wyglądał zupełnie tak jak jego wnuk, aż poczuła ukłucie w sercu.

Pani Scott-Thurlow siedziała w miłym pokoju pełnym kwiatów. Mąż czule ją pocałował, powiedział, że wygląda pięknie, i przedstawił Matildę.

- Ach tak. James miał rację - rzekła pani Scott-Thurlow i uśmiechnęła się promiennie. - Mówił mi, że jest pani piękna. Mój wnuk, wie pani, rzadko zauważa kobiety. Już czas, żeby wyściubił nos ze szpitala i rozejrzał się wokół.

- Wyobrażam sobie, że to zrobił - zauważył jej mąż, a Matilda wtrąciła żywo:

- Jego narzeczona jest bardzo piękna. Spotkałyśmy się raz w Londynie.

- Ach tak, była pani w Londynie. Jak się pani tam podobało?

- To bardzo interesujące miasto, ale wolę mieszkać na wsi - rzekła ostrożnie Matilda.

Pielęgniarka przyniosła kawę. Wkrótce potem Matilda, mówiąc, że chciałaby obejrzeć ogród, pozostawiła dwoje starszuchów samych.

Okazali się uroczą parą, no i bardzo kochali wnuka. Jednak, tak jak podejrzewała, żyli po swojemu i dla małego chłopca, osieroconego przez rodziców, była to trudna do pokonania bariera. Nigdy mu się nie udało jej pokonać, choć obecnie, kiedy miał własne życie, musiał już się z nią pogodzić.

- Brak mu rodziny - powiedziała do siebie Matilda. - Potrzebuje domu, żony i gromadki dzieci, no i ciepła, a tego Rhoda mu nigdy nie da. Będzie się coraz bardziej oddalał, bo ona nie oczekuje, żeby był inny. Dzieci, jeśli w ogóle będą je mieli, będą go widywać przez parę minut dziennie, a on nie będzie potrafił z nimi rozmawiać, tak jak jego dziadkowie nie potrafili rozmawiać z nim. Trzeba coś zrobić.

Sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Nawet gdyby była dziewczyną bez skrupułów, szanse na to, żeby doktor przestał się interesować piękną, inteligentną Rhodą były niewielkie. Wprawdzie Matilda wiedziała, że i ona jest ładną dziewczyną, niemniej nie przywiązywała do tego nadmiernej wagi. Ponadto doktor wystarczająco jasno dał do zrozumienia, że nie jest nią wcale zainteresowany. Zastanawiała się chwilę nad tamtym całusem. Pocałował ją pod wpływem chwilowego impulsu, prawdopodobnie z wdzięczności, że zgodziła się towarzyszyć dziadkowi.

Chętnie rozpamiętywałyby dłużej to wydarzenie, machnęła jednak ręką i powróciła w myślach do często roztrząsanej kwestii Rhody. Może by się z nią zapoznać i przekonać, że James potrzebuje miłości, że czasami trzeba go nawet trochę zdenerwować, aby uświadomić mu, że poza pracą istnieje także inne życie. Za dziesięć lat tak go pochłonie świat chirurgii, że małżeństwo nie będzie miało dla niego żadnego znaczenia.

Zawróciła pogrążona w myślach. Dlaczego, na Boga, postanowił się ożenić z tą dziewczyną? Rhoda lubiła życie towarzyskie i trzeba przyznać, byłaby wspaniałą panią domu. Ale czy lubiłaby czekać na męża, gdyby wezwano go wieczorem? Czy przyniosłaby mu pantofle, gdy wróci do domu? Czy upewniłaby się, że jest dla niego coś do zjedzenia?

- Wtrącam się w nie swoje sprawy, jestem wścibska, i chciałabym go dla siebie, a nie dla niej. Skoro nie mogę go mieć, to postaram się przynajmniej mu pomóc - powiedziała sobie Matilda.

Przyszła jej do głowy przygnębiająca myśl; może jemu podoba się Rhoda właśnie taka: chłodna, nie wylewna, lekko znudzona. Taka się przynajmniej wydaje. Kto wie, jaka jest będąc z nim sama. Ta myśl ją otrzeźwiła. Najlepiej zrobi trzymając język za zębami i zapominając o nim. Będzie musiała z tym poczekać na powrót pani Scott-Thurlow. Wtedy wróci do domu i wymaże doktora z pamięci.

Pan Scott-Thurlow był gotów do odjazdu. Starsza pani miłe się do niej uśmiechnęła.

- Czuję się teraz o wiele spokojniejsza, kiedy pani jest w naszym domu. Slocombe'owie służą u nas dawno i bardzo jesteśmy zżyci, ale mąż potrzebuje towarzystwa. Proszę mi dać znać, kiedy nadejdą wiadomości od Jamesa.

Dzwonił tego wieczoru. Matilda siedziała akurat

w salonie obok telefonu, kiedy rozległ się dzwonek. Starszy pan, nie mogąc szybko wstać z fotela, poprosił, by go odebrała. Podniosła słuchawkę i pewna, że to James, słabym głosem powiedziała:

- Tak?

To był on. Jego głos, wyraźny pomimo wielkiej odległości, sprawił, że jej serce zaczęło bić coraz szybciej.

- To pani, Matildo? Chciałbym mówić z dziadkiem.

Tylko tyle. Kiedy starszy pan zasiadł przy aparacie, poszła do swojego pokoju i wychylona z okna rozkoszowała się wiosennym wieczorem. Mógł przynajmniej zapytać, jak jej się wiedzie, albo choćby powiedzieć „cześć”. Zeszła na dół i przez boczne drzwi wyszła do ogrodu. Spacerowała tak długo, aż Slocombe od drzwi salonu przypomniał, że podano trunki.

- Jakie to błogosławieństwo te telefony - rzekł starszy pan. Zrobił się gadatliwy. - Choć przypuszczam, że połączenie ze Spitsbergenem może być rzeczą skomplikowaną. Ale słyhać świetnie. James jest zajęty, tak jak oczekiwał. Nie wróci prędzej niż za tydzień. Szpital pełny, sporo ciężkich przypadków. Za parę dni zadzwoni. Dałem, znać żonie, prosił też o przekazanie różnych wiadomości.

Ale dla mnie żadnej, pomyślała zrzędliwie Matilda. Głośno zaś powiedziała:

- Panna Symes pewno się niepokoi, ale chyba może zatelefonować do niego. - I żeby wyglądało to bardziej zdawkowo, dodała: - Jest przecież różnica czasu, prawda?

- Tak. Nie wyobrażam sobie, żeby Rhoda do niego telefonowała. Myślę, że jest bardzo zaabsorbowana.

- Też tak przypuszczam. Jest taka piękna i atrakcyjna. - Mówiła szczerze. Nie lubiła Rhody, ale nie

był to powód do złośliwości, szczególnie nie wobec tego miłego starszego pana, którego wnuk miał wkrótce zostać jej mężem.

Dni upływały przyjemnie: szachy, przechadzki po ogrodzie, słuchanie opowieści pana Scotta-Thurlowa. Ani razu się nie nudziła. Codziennie jeździli do jego żony. Matilda przebywała w pokoju tylko kilka minut, potem usuwała się taktownie, żeby pozwolić starszemu kom pobyć ze sobą przez godzinę. Przez ten czas poznawała teren szpitala, chodząc tam i z powrotem i rozmyślając o Jamesie.

Bardzo chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, lecz starszy pan Scott-Thurlow rzadko mówił o jego prywatnym życiu, a ona nie mogła ó to pytać. Nie mówił też o Rhodzie. Matilda ostatecznie była obcą osobą, towarzyszącą mu tylko do powrotu żony. Jak się dowiedziała, miało to nastąpić niedługo. Trzeba było jeszcze znaleźć odpowiednią pielęgniarkę na jakiś tydzień, póki rekonwalescentka nie poczuje się na tyle dobrze, żeby być niezależna.

Na weekend Matilda pojechała do domu, zadowolona, że może zobaczyć bliskich i opowiedzieć im o swojej pracy.

- Wydaje mi się, że to dobra posada - rzekła Esme. - Jak długo tam jeszcze zostaniesz?

- Niedługo. Tydzień, najdalej dwa.

- Miło będzie mieć cię znowu w domu, Tilly - odezwała się matka.

- Tak, mam, ale znajdę sobie następną pracę, najprędzej jak się da. Poproszę o referencje.

- Brakowało mi pani, Matildo - powiedział pan Scott-Thurlow witając ją w niedzielny wieczór. - Dom wydawał się taki cichy. Rzadko miewamy gości.

Zaraz następnego dnia zjawił się gość - Rhoda Symes!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Rhoda przyjechała, gdy wybierali się do pani Scott-Thurlow. Jej samochód, porsche, był jasnoczerwony, a ona miała na sobie szkarłatny zamszowy żakiet i czarną sukienkę, strój nieodpowiedni na wieś, lecz bardzo rzucający się w oczy.

- Dzień dobry. Spędzałam weekend w Brooke House i pomyślałam, że wpadnę tu w drodze powrotnej do Londynu. - Pocałowała pana Scotta-Thurlowa w policzek. - Miałam bajeczny weekend. Szkoda, że James nie mógł być ze mną. - Spojrzała na Matildę. - Czy nie spotkałyśmy się kiedyś? Ależ oczywiście, w tej nudnej galerii z Roseanne Fox. Czy to nie pani wtedy gotowała kolację? James mi o tym opowiadał, co za historia! - Zwróciła się ponownie do starszego pana: -A gdzie pani Scott-Thurlow? Czy to - skinęła głową w stronę Matildy - nowa kucharka?

Matilda podziwiała, jak elegancko zareagował pan Scott-Thurlow.

- Żona miała operację. Matilda uprzejmie zgodziła się mi towarzyszyć, dopóki żona nie wróci. Nie wiedziałaś o tym?

- Och, James na pewno mi mówił, ale mam fatalną pamięć, zwłaszcza jeśli chodzi o nieprzyjemne rzeczy.

- Masz od niego jakieś wieści?

- Mówiłam mu, żeby nie zawracał sobie głowy telefonowaniem czy pisaniem, przecież nie będzie go tylko tydzień. Dlaczego on musi jeździć do tych okropnych zakazanych miejsc! Może przecież w Londynie mieć tylu pacjentów, ilu zechce. - Spojrzała

na samochód. - Czy się gdzieś wybieracie? Nie zatrzymuję was?

- Jedziemy z wizytą do mojej żony. Może zechciałabyś nam towarzyszyć?

- Z przyjemnością. Czy jest w tym miłym szpitalu koło Bath? Przyjaciółce robiono tam jakiś zabieg, straszliwie drogi. - Uśmiechnęła się czarująco do pana Scotta-Thurlowa. - No to ruszajcie, ja pojedę za wami.

Matilda prowadziła w milczeniu. Obawiała się, że w każdej chwili może powiedzieć coś, czego by później żałowała. Wzbiera! w niej gniew i przemożna chęć wyrwania Rhodie wszystkich włosów z głowy. Z trudem zachowała te naganne myśli dla siebie. Pan Scott-Thurlow też się nie odzywał, dopiero gdy przed szpitalem wysiadali z auta, uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem.

Wizyta nie należała do udanych. Rhoda była czarująca, ale Matilda zauważyła, że pani Scott-Thurlow obruszyła się, gdy Rhoda nazwała ją biedną staruszczką. Istotnie była stara, ale biedna na pewno nie i wątpliwe, czy ktoś śmiał ją kiedykolwiek tak określić. Niemniej trudno byłoby zarzucić coś jej zachowaniu wobec Rhody. Słuchała, kiedy wysokim i przenikliwym głosem opowiadała o ucieście, jaką jej sprawił weekend.

- Jak wróci James, dopilnuję, żeby się rozerwał. Jest sporo dobrego towarzystwa, a od miesiący nie byliśmy wspólnie w teatrze.

W stosownej chwili Matilda oświadczyła, że pójdzie na swoją zwykłą przechadzkę po ogrodzie, a wiedząc, iż staruszkowie chcieliby zostać sami, zaprosiła na nią też Rhodę.

- A po co? Ogrody mnie nudzą, chyba że są nadzwyczajne. A ponadto o czym byśmy rozmawiały? O gotowaniu? -I zaśmiała się perliście.

Matilda uśmiechnęła się, choć w jej zielonych oczach widać było oburzenie.

- Za pół godziny? - spytała pana Scotta-Thurlowa, a kiedy kiwnął głową, wyszła z pokoju. Usiłowała na spacerze pozbyć się złego humoru, ale nie dawała jej spokoju myśl, że Rhoda zostanie na lunchu.

- Co on w niej widzi? - zagadnęła szpitalną kotkę siedzącą na słońcu. - Chociaż ona pewno nigdy nie mówi w ten sposób, kiedy jest z nim.

Wkrótce odjechali. Rhoda pożegnała się pośpiesznie, wykręciła się od lunchu i pomknęła jak strzała swoim porsche. Jak tylko samochód zniknął im z oczu, pan Scott-Thurlow wszedł do domu i choć nic nie powiedział, widać było, że odczuł ulgę. Poprosił tylko, żeby Slocombe przyniósł im kawę.

- Wiem, że za chwilę będzie lunch, ale filiżanka kawy dobrze człowiekowi zrobi. Proszę, niech pani się ze mną napije, Matildo.

Wypiła kawę, potem szklaneczkę sherry, a później poszli na obiad. Rozmawiali o różnych rzeczach nie wspominając jednak o Rhodzie. Czuło się, że starszy pan jest wytrącony z równowagi.

Dni znów mijały spokojnie. Pani Scott-Thurlow miała wrócić za tydzień w towarzystwie pielęgniarki, sympatycznej, niewysokiej kobiety. Była już w szpitalu przy niej i spodobała się pacjentce. Dołączyła też do Matildy podczas jej spaceru po szpitalnym ogrodzie i przypadły sobie do gustu.

- Jak pani przyjedzie z panią Scott-Thurlow, wracam do domu. Bardzo mi się u nich podobało. Tacy są mili i w gruncie rzeczy nie miałam nic do roboty.

- Dla mnie też będzie diablo mało roboty - zauważyła panna Watkins. - Dwa tygodnie, może i to nie. I znów będę bezrobotna.

- Nie pracuje pani w szpitalu?

- Nie, pracuję w pewnej agencji i biorę pacjentów



doktora Scotta-Thurlowa. Nie pracowałabym dla nikogo innego. On jest nadzwyczajny. Znam go od lat. Teraz jest na Spitsbergenie. Operuje rannych w tej katastrofie, ale niech sobie pani wyobrazi, znalazł czas, zatelefonował do agencji i poprosił, żeby mnie posłali do opieki nad jego babką. To cudowny człowiek. Czy pani go zna?

- Tak, nie znam go jednak dobrze.

- Wie pani, jest zaręczony. Z taką nadętą babką. No, nie powinnam tak mówić. Ona jest w porządku, tylko że nie w moim guście, ale to już inna sprawa.

Następnego ranka pani Scott-Thurlow poprosiła męża, żeby zabrał pannę Watkins na spacer do ogrodu.

- Chcę porozmawiać z Matildą. Zawsze sobie mówimy tylko dzień dobry i do widzenia, a już wkrótce nas opuszcza. — Kiedy drzwi się zamknęły za tamtą dwójką, poprosiła, żeby Matilda siadła obok.

- Muszę ci, dziecko, podziękować, że byłaś tak dobrą towarzyszką dla Charlesa. To dla niego olbrzymia pomoc w trudnym okresie. Mówiłam o tym wnukowi, kiedy wczoraj do mnie telefonował. To był doskonały pomysł, żeby w pierwszej kolejności zwrócić się do ciebie. Powiedział mi, że wybierałaś się już do jakiejś pracy, kiedy cię poprosił o przyście do nas. Przypominał, że trzeba ci pozwolić odejść, jak tylko wrócę do domu, żebyś mogła zrealizować swoje plany. Slocombe odwiezie cię do domu. - Nachyliła się i pogłaskała rękę Matildy leżące bez ruchu na kolanach.

- Będzie nam ciebie brakowało i mam nadzieję, że odwiedzisz nas od czasu do czasu. A teraz, kiedy wszystko już ustaliłyśmy, opowiedz mi o swojej rodzinie i o swoim życiu.

- Niewiele jest do opowiadania - rzekła Matilda i zaczęła opisywać życie w Abner Magna. W rzeczywistości jednak kipiała w niej złość. James Scott-Thurlow nie zasługuje na miłość. To wstrętny, zimnokrwisty

drań, który zapomina o ludziach, jak dostanie od nich to, czego chciał, i pozbywa się ich, tak jak jej. Zasługiwał na Rhodę, a właściwie Rhoda była dla niego nawet za dobra!

Kończyła właśnie z humorem opowiadać o bingo w klubie wiejskim, kiedy wrócili spacerowicze. Pożegnała więc panią Scott-Thurlow i taktownie odeszła z panną Watkins do samochodu.

- Bardzo miła dziewczyna - rzekła pani Scott-Thurlow do męża, kiedy zostali sami. - I ma taki ujmujący głos i sposób bycia. Ciekawa je\*stem, co ją gnębi...?

- Gnębi? A co miałyby ją gnębić? Wydaje się całkiem zadowolona.

- Tak, mój drogi, ale muszę to sprawdzić. Ona czasami jest jakby nieobecna. - Po czym spytała od niechcienia: - Przypuszczam, że poznała Jamesa?

- Oczywiście, przecież to on ją dla nas znalazł. Poza tym pamiętam, że wspominała o ich spotkaniu na jakiejś wystawie. Przywiózł ją, tak że musieli się spotkać, musieli ze sobą rozmawiać. Dlaczego pytasz?

- Bez szczególnego powodu, mój drogi - odparła. Kiedy została sama, zatopiła się w myślach, lekko marszcząc brwi.

Nadszedł dzień powrotu pani Scott-Thurlow do domu. Slocombowie pięknie posprząтали, a Matilda postawiła w każdym pokoju kwiaty. Przygotowano uroczysty lunch. Ostatni raz zawiozła pana Scotta-Thurlowa do szpitala. Przedtem się spakowała, zamierzała bowiem wracać do domu jeszcze tego popołudnia. Miał ją odwiedzić Slocombe. Nie chciało jej się wyjeżdżać, ale wiedziała, że jeśli jej nie będzie, panna Watkins będzie w lepszej sytuacji.

W holu szpitala spotkała ich siostra przełożona z miną pełną zatroskania.

• - Doszło do pewnej komplikacji. Siostrę Watkins

rozbolał w nocy zęb i jest jeszcze u dentysty. Przed chwilą rozmawiałam z nim przez telefon. Usunął zęb, twierdzi jednak, że siostra Watkins musi odłożyć o jeden dzień podjęcie swoich obowiązków. Czy mamy zatrzymać panią Scott-Thurlow do jutra, czy też państwo dadzą sobie radę bez siostry Watkins?

- Panna Finch zajmie się żoną, zanim przyjedzie do nas siostra Watkins - pan Scott-Thurlow nie miał wątpliwości. - Nie możemy sprawiać zawodu żonie.

Matilda chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Nie należało pogarszać przykrew sytuacji. Kiedy pan Scott-Thurlow zwrócił się do niej z pytaniem: - Czy ma pani coś przeciwko temu? - potrząsnęła głową i zaprzeczyła.

Tak więc wracali z panią Scott-Thurlow, która siedziała obok męża na tylnym siedzeniu. Była bardzo szczęśliwa z powodu powrotu do domu.

Domownicy wyszli ją powitać. Z czułością zaprowadzono panią Scott-Thurlow do salonu, posadzono na odpowiednim fotelu i podano kawę. Wszyscy się koło niej kręcili, a starszy pan obserwował to z uśmiechem pełnym zadowolenia.

Matilda zdecydowała, że nie jest w tej chwili potrzebna, poszła więc zabrać bagaże z samochodu. Zniosła je na górę i rozpakowała. Potem zeszła do kuchni, żeby powiedzieć pani Slocombe, co zrobiła, i zaoferować pomoc przy lunchu.

- A jest panienka - powiedziała pani Slocombe, która ubijała pianę przy stole. - Pani chciałaby pójść do swojego pokoju, żeby się oporządzić.

Matilda prowadziła starszą panią wolniutko po schodach, obserwowana przez jej niespokojnego męża z holu.

- Widzisz - oznajmiła pani Scott-Thurlow triumfalnie, kiedy dotarły na górę - wiedziałam, że temu podołam.

Niemniej Matilda przekonała ją, żeby posiedziała z dziesięć minut, a tymczasem sama uczesała jej piękne białe włosy i przypudrowała kształtny nos.

- Chodźmy teraz z powrotem, posiedzimy chwilę i wypijemy szklaneczkę sherry, moja droga - niecierpliwiła się pani Scott-Thurlow.

Ruszyły więc w dół po schodach, co nie było tak łatwe jak wchodzenie na górę.

- Chętnie okryłabym sobie ramiona szalem - powiedziała pani Scott-Thurlow. - Matildo, bądź tak dobra i przynieś jakiś szal z mojego pokoju. W szufładzie komody jest kilka szali. Kiedy wrócisz, napijemy się wszyscy sherry.

Matilda zamknęła za sobą drzwi do salonu i zrobiła kilka kroków, kiedy frontowe drzwi otwały się szeroko i do holu wkroczył James Scott-Thurlow. Zobaczył ją natychmiast, a ona obdarzyła go pełnym zachwytem uśmiechem i ruszyła w jego stronę.

- A cóż, na miłość boską, pani tu porabia? - spytał tonem tak lodowatym jak arktyczne regiony, które niedawno opuścił. - Załatwiłem pielęgniarkę...

Nawet się nie przywitał, pomyślała ze złością Matilda. Jak mogła zakochać się w kimś tak gburowatym.

- Czasami coś nie wychodzi - powiedziała z rozdrażnieniem. - Niejedno może się wydarzyć, jak pan wie. Siostra Watkins musiała usunąć ząb, a ja mam tu zostać do jutra, do jej przyjazdu. To bardzo źle? Czy tak? Wyjadę natychmiast, jak tylko się tu zjawi.

Odwróciła się i poszła na górę. Była już na piętrze, kiedy usłyszała, że drzwi salonu otwierają się i zamykają.

Szukała szala najdłużej, jak mogła. Nie miała ochoty do nich wracać. Gdyby się jednak nie pokazała, doktor myślałby, że czuje się zażenowana po spotkaniu w holu.

- Niech go wszyscy diabli! - powiedziała stanowczo do swojego odbicia w lustrze. - Nie obchodzi mnie, czy go jeszcze zobaczę. - Po tym podnoszącym na duchu kłamstwie zesłała na dół.

Siedział między dziadkiem i babką, ale na jej widok wstał.

- Proszę napić się z nami sherry, Matildo. - Przy-sunął jej fotelik i podszedł do tacy z napojami. - To ładnie, że się pani zgodziła zostać do przyjazdu siostry Watkins. Czy pani zdążyła zawiadomić matkę?

Nikt nie potrafiłby zachowywać się grzeczniej i bardziej swobodnie niż on. Wzięła sherry, podziękowała i zapewniła, że telefonowała do domu. Niebawem Slocombe oznajmił, że podano lunch. Przeszli więc do jadalni.

- To wspaniale, że James wrócił, moja droga. Jego babka jest zachwycona. Musimy go nakłonić, żeby opowiedział nam o swojej pracy na Spitsbergenie. Cieszę się, że zostanie na noc.

Matilda zgodziła się z nim, ale miała mieszane uczucia. Przy stole rozmawiano na różne tematy. Starszy pan pytał o uroki Spitsbergenu, o pogodę i scenerię, nie zagadnął jednak wnuka o jego pracę, a James też o niej nie wspominał. Matildzie wydawało się to dziwne. Gdyby ona wróciła skądś do domu, pytano by ją o wszystko, co jej dotyczyło, a nie tylko o krajobrazy i przyrodę. Tych troje ludzi siedzących wraz z nią przy stole jest do siebie bardzo przywiązanych, ale jednocześnie są sobie obcy, jakby dzieliła ich szklana ściana. Zastanawiała się, jakie są tego przyczyny, i postanowiła, że postara się do nich dotrzeć.

Będzie to trudne zadanie. Pamiętała ironiczne uwagi doktora, kiedy w samochodzie wypytywała go o różne rzeczy. Nazwał to krzyżowym ogniem pytań. Nie lubi mówić o sobie i niełatwo będzie go do tego przekonać.

Po lunchu namówiła dość zmęczoną rekonwales-

centkę, żeby poszła na górę i zdrzemnęła się, a sama wróciła do swojego pokoju i siadła koło okna. Dzień był piękny, chętnie poszłaby do ogrodu, wołała jednak unikać doktora. Ponadto jeśli on i dziadek chcieli sobie porozmawiać, to mogłaby im przeszkadzać. Wystawiła przez okno głowę na słońce.

- Proszę zejść na dół, Matildo - zagadnął ją z dołu starszy pan. - James będzie opowiadał o swoim pobycie na Spitsbergenie.

- Może później. - Matilda gorączkowo szukała wymówki. - Pani Scott-Thurłow jest trochę niepokojna. Myślałam, że jej chwilę poczytam.

- Dobra myśl. To proszę przyjść, kiedy pani będzie mogła.

Cofnęła się do pokoju i znów siadła. Wymówiła się pod pretekstem czytania na głos, musi więc teraz pójść i to zaproponować. Starsza pani jednak spała.

Przez resztę dnia Matildzie udawało się trzymać na uboczu, a ponieważ pani Scott-Thurłow lekarze zalecili wcześniej kłaść się spać, mogła z nią pójść do sypialni i pomagać w przygotowaniach do snu. Zabráło to naturalnie sporo czasu, toteż gdy życzyła obu panom dobrej nocy, żaden z nich, poza wyrażeniem grzecznościowego ubolewania, że ich opuszcza, nie nalegał na jej powrót. Wieczór był bardzo piękny, akurat na przechadzkę po ogrodzie. Oczywiście z Jamesem Scottem-Thurłowem. Jaka szkoda, że musiała zamiast tego iść spać. Gdyby była Rhoda... Wzięła gorącą kąpiel i położyła się do łóżka. Wsłuchiwała się w męskie głosy dochodzące przez otwarte okna salonu na dole. Przymknęła oczy i szybko zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, lał deszcz. Ubrała się i zeszła na dół do jadalni. Jeszcze nie było ósmej, miała więc nadzieję, że zje śniadanie, zanim nadejdą inni. Spotkało ją rozczarowanie. Siedział tam już Scott-Thurłow młodszy, czytając „Timesa” i pałaszując

jajka na bekonie z pieczarkami. Wstał, kiedy weszła, uprzejmie ją powitał i prosił, by się częstowała. Zauważyła, że złożył gazetę i z lekkim niezadowoleniem położył ją obok siebie na stole.

- Proszę z mojego powodu nie przerywać lektury. Zupełnie mi to nie przeszkadza — powiedziała, starając się mieć miły głos. Nalała sobie kawy, nałożyła na talerz bekon z jajkami i zaczęła jeść. Po chwili dodała ostrzejszym tonem: - Niefortunnie się złożyło, że musiałam jeszcze tu zostać, prawda? Wyjadę natychmiast, jak tylko dopilnuję wszystkiego, co do mnie należy. - Zbiło ją z tropu, że nic nie odpowiedział, pozwoliła więc sobie na jeszcze ostrzejszy ton. Ostatecznie i tak go więcej nie zobaczy.

- Zdaje się, że pan zaniemówił.

Odchylił się do tyłu i zmierzył ją wzrokiem.

- Okropna z pani dziewczyna. Nic dziwnego, że ma pani takie ogniste włosy, bo odpowiadają pani usposobieniu. - Dolał sobie kawy. - Dlaczego pani uważa, że jestem niezadowolony z pani obecności w tym domu?

- Bo widziałam pańską minę, kiedy mnie pan tu ujrzał - odpowiedziała prosto z mostu. Zerknęła na niego przez stół i cały gniew z niej wyparował na widok jego znużonej twarzy. - Boże, jakież pan zmęczony. Dużo było pracy na Spitsbergenie?

- Co za zmiana frontu! - Uniósł brwi. - Tak, byłem bardzo zajęty.

- Wobec tego powinien pan wziąć urlop i trochę się rozerwać. Wie pan, była tu panna Symes. Mówiła, że chce pana zabrać po powrocie na kilka przyjęć.

- I to jest pani zdaniem rozrywka?

- Przyjęcia? Nie, ale ja jestem inna, czyż nie?

- Rzeczywiście inna - potwierdził, ale cicho, więc nie usłyszała.

- Myślę, że nie pasuję zbyt do ludzi z pańskiej sfery. - Uśmiechnęła się do niego niemal po macierzyń-

sku. - Sądzę, że z panną Symes będzie się pan dobrze bawił.

- Jestem wzruszony pani troskliwością, nie ma jednak potrzeby, żeby się pani interesowała moim trybem życia. - Mówił chłodnym tonem, tak że się zaczerwieniła.

- Wtrącam się... - Wybuchnęła.

Wejście starszego pana uratowało ją przed dokończeniem zdania. Powiedziała mu dzień dobry i odeszła oznajmiając, że idzie zobaczyć, jak się miewa jego żona.

Starszy pan popatrzył na wnuka, lecz nic nie powiedział. To James odezwał się pierwszy.

- Siostra przełożona telefonowała kilka minut po siódmej zawiadamiając, że panna Watkins będzie tu o wpół do dziesiątej.

- Dobrze. Powiem Slocombe'owi, żeby odwiózł Matildę.

- Nie trzeba. Muszę obejrzeć pacjentkę w King's Hall. Matilda mieszka parę kilometrów stamtąd. Podrzucę ją.

- Świetnie. Mówiłeś jej już o tym?

- Jeszcze nie. Jaką noc miała babcia?

To pytanie było początkiem rozmowy o stanie zdrowia pani Scott-Thurlow.

Pani Watkins przyjechała niedługo po dziewiątej. Tymczasem Matilda pomogła pani Scott-Thurlow wstać z łóżka, potem przygotowała jej kąpiel i ubranie. Zastanawiała się właśnie, co jeszcze zrobić, kiedy pojawiła się pielęgniarka. Przez dziesięć minut wymieniały wzajemne tłumaczenia i słowa pożegnania. Pani Scott-Thurlow nadstawiła Matildzie policzek do pocałowania i wcisnęła do ręki pudełeczko.

- Byłaś taka dobra, moja droga. Będzie nam ciebie brakowało. Musisz prędko nas znowu odwiedzić. To nie czcza formułka, naprawdę tak myślę. A teraz



biegnij, mam nadzieję, że praca, do której idziesz, będzie przyjemna.

Matilda pocałowała starszą panią, potrząsnęła ręką panny Watkins, po czym zabrała walizkę i żakiet ze swojej sypialni. Miała jeszcze pożegnać się ze starszym panem. Postanowiła uniknąć spotkania z Jamesem, choć serce pękało jej z żalu.

Stał w holu i ze spokojem obserwował, jak Matilda żegna się z jego dziadkiem. Nie mogła go pominąć, kiwnęła więc głową w jego stronę mówiąc:

- Do widzenia.
- Odwiozę panią.
- Ależ nie trzeba, dziękuję. Zabiera mnie Slocombe.
- Nie, ja.
- Dopiero co go widziałam i nic nie wspominał...
- Nie poddawała się łatwo.
- Już mu powiedziałem. Proszę za mną. Szkoda czasu.

Zauważyła, że starszy pan sprawia wrażenie ubawionego i równocześnie zamyślonego. Posłała mu uśmiech, doktorowi podała walizkę i z nachmurzoną miną i błyskiem w zielonych oczach wymaszerowała na dwór. Slocombe'owie przyszli ją pożegnać, więc uśmiech znów pojawił się na jej twarzy. Wsiadła do samochodu, kiedy jej walizka wędrowała do bagażnika, a potem machała ręką, dopóki ludzie stojący przy drzwiach nie zniknęli jej z oczu.

- Nadal się dąsamy, Matildo? - spytał doktor po kilku kilometrach przejechanych w milczeniu.

- Nie dąsam się, nie mam powodu.
- Świetnie. W takim razie porozmawiajmy rozsądnie. - Zignorował jej gniewny pomruk. - W domu znajdzie pani swoją zapłatę. Co pani teraz zamierza robić? I proszę mi nie mówić, żebym pilnował własnego nosa.

- Nie miałam zamiaru niczego takiego mówić

- stwierdziła Matilda, choć właśnie tak było. - Nie mam pojęcia, co będę robiła. Na pewno przez krótki czas zostanę w domu. Nie wiem, dlaczego chce pan to wiedzieć.

- Ja też nie.

Konwersacja utknęła w martwym punkcie. Po chwili jednak doktor odezwał się ponownie: - Theobald chyba już wyzdrowiał. Moja suczka opiekuje się nim troskliwie, jak matka. A on to uwielbia.

- To ładnie, że zabrał go pan do siebie - powiedziała sucho.

- Pani nie ma psa?

- Nie. Nasz pies zdechł w zeszłym roku. Chciałabym mieć następnego, ale jeśli dostanę pracę poza domem, nie byłoby to w porządku wobec rodziny.

- I chce pani odejść z domu?

Kto kogo teraz przesłuchiwał?

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

Doktor wydał z siebie jakiś dźwięk - mógł to być chichot lub chrząknięcie - po czym mówił gładko dalej:

- Jestem pewny, że znajdzie pani jakąś dobrą pracę. Ale dlaczego nie wyjdzie pani za mąż? - Zerknął na nią. - Dziwię się, że żaden mężczyzna jeszcze pani nie capnął.

- Nie jestem kimś do capania. Co za okropne rzeczy pan mówi - rzuciła zapalczywie.

- Nie, nie. Pani jest jak nagroda do wygrania. Jeśli tylko trochę się panią obłaskawi i straci pani kolce oraz impulsywność... ale to oczywiście wina pani włosów.

- Gdyby nie to, że pan prowadzi, trzepnęłabym pana w ucho. Jest pan więcej niż wstrętny i świadomie się nade mną znęca. Mam nadzieję, że nigdy już się nie zobaczymy. - Zachowywała się dziecinnie, ale nie zwracała na to uwagi.

A on mówił dalej:

- Mimo wszystko była pani nadzwyczajna, kiedy pani Chubb obcięła sobie palce. Nie znam nikogo, kto by równie sensownie uporał się z taką sytuacją. Nie znam też osoby, która poszłaby do kuchni i ugotowała tak pierwszorzędną kolację. I Theobald. Pospieszyła mu pani z pomocą bez najmniejszego wahania. Ci ludzie mogli być groźni. I była pani samą dobrocią dla mojej babci i Roseanne. Zmuszony jestem przyznać, że postępowałem wobec pani nieładnie.

- Ta rozmowa donikąd nie prowadzi, panie doktorze.

Zerknęła na niego. Wyglądał ponuro i mizernie. Zły humor ją opuścił.

- Przykro mi, jeśli pana drażnię. Musi pan być zmęczony. Mama na pewno przygotowała kawę. Może się pan napije przed dalszą drogą?

Pani Finch otworzyła drzwi, jak tylko samochód się zatrzymał.

- Witamy, miło nam pana widzieć. Proszę, proszę, wchodźcie. Mam kawę i placek.

- Doktor Bramley mówił nam, że polecił pan na Spitsbergen pomagać ofiarom katastrofy. Nie będzie panu przeszkadzało, że podam kawę w kuchni? W salonie właśnie się sprząta. Proszę siadać.

Doktor usiadł naprzeciwko Matildy. Chwilę uprzejmie rozmawiał z pastorem, potem oznajmił, że musi jechać.

- Mam nadzieję, że odpocznie pan kilka dni - powiedziała pani Finch. - Myślę, że na Spitsbergenie jest zupełnie inaczej.

- Wiem od Matildy, że narzeczona zaplanowała dla mnie kilka przyjęć. - Pożegnał się z pastorem i jego żoną, i zatrzymując się przy krześle Matildy dodał: - Przekażę Theobaldowi pozdrowienia od pani.

- Co za miły człowiek - powiedziała pani Finch.  
- Powinien gdzieś wyjechać na parę dni i w spokoju

odpocząć. Ale myślę, że mu nie pozwolą. Lady Fox mówiła, że jego narzeczona odwiedziła Roseanne i opowiadała o planowanych przyjęciach, o chodzeniu do teatrów i Bóg wie gdzie jeszcze. Twierdziła, że trzeba go z niego samego wyciągnąć, ale nie wiem, co to miało znaczyć. Moim zdaniem nie powinna być jego żoną, jemu potrzebna odpowiedniejsza osoba.

- Ależ ona jest odpowiednia, mamó - zauważyła Matilda. - Jest z tej samej sfery, świetnie się prezentuje, wspaniale ubiera i będzie wzorową panią domu.

- Moim zdaniem, potrzebna mu dobra żona i matka jego dzieci. - Widząc minę Matildy dodała szybko: - Opowiedz mi teraz o tych miłych staruszkach, u których byłaś. Czy pani Scott-Thurlow już się dobrze czuje?

Matilda słyszała cichy pomruk odjeżdżającego rolls-royce'a i myślała, że już nigdy nie zobaczy doktora. Nie chciała jednak wierzyć własnym myślom. Zaczęła opowiadać o pobycie u Scottów-Thurlowów. Czuła się nieszczęśliwa, ale matka udawała, że tego nie widzi. Tilly kiedyś wszystko jej powie, choć mogła się domyślić przez kogo oczy córki straciły blask. Zachmurzyła się trochę. Doktor prawie nie zwracał uwagi na Matildę. W gruncie rzeczy zachowywał się z wyszukaną uprzejmością osoby silącej się na grzeczność wobec kogoś nie lubianego. Ona też zachowywała się sztywno. Musieli się pokłócić. Pani Finch poweselała, bo to znaczy, że nie są sobie obojętni. Myśl, że doktor jest zaręczony z inną, odsuwała z macierzyńską prostodusznością. Tilly byłaby dla niego w sam raz.

- W holu jest list dla ciebie, Tilly - powiedziała, kiedy córka skończyła opowiadać bez ładu i składu.

List zawierał czek i krótką, rzeczową informację o nim, podpisaną „J. Scott-Thurlow”. Tak przynajmniej się domyślała, bo podpis był niemal nieczytelny.

- Czy to nie zabawne, że ktoś, kto potrafi zestawiać

złamane kości, nie potrafi pisać czytelnie? - rzekła do matki.

- Tak, moja droga, ale nie możemy być pod każdym względem doskonali. Podobno Roseanne wraca do zdrowia. Nie wiedziałam, że on jest taki znany, dopóki lady Fox nie dopadła mnie niedawno. Miała nowy kapelusz, tweedowy i kłapciasty, coś okropnego! O czym to mówiłam? Aha, rozpływała się nad tym, jaki to on nadzwyczajny, a potem mi się przyznała, ile zażądał za operację Roseanne. Ja o to nie wypytywałam. Wiesz, jaka ona jest czasami wulgarna. Wiem od Bramleya, że doktor Scott-Thurlow nie bierze pieniędzy, kiedy poproszą go o udzielenie pomocy ofiarom katastrofy. Ta podróż na Spitsbergen musiała porządnie nadszarpnąć go finansowo. Szkoda, że lady Fox o tym nie wie. — Spojrzała na wiele mówiącą twarz Matildy i zakończyła wesołym tonem: - Tak się cieszę, że jesteś znów w domu, Tilly. Pytali o ciebie w szkółce niedzielnej, choć według twego ojca Esmę dobrze sobie radzi.

- Wspaniale jest być w domu, mamo. - Matilda studiowała czek opiewający na znaczną sumę. - Wpadnę jutro do Sherborne, żeby go zrealizować, a przy okazji rozejrzę się za pracę.

Miała tam przyjaciół, ale nikt z nich nie słyszał o pracy, brakowało jej zresztą kwalifikacji zawodowych. Matilda pożegnała się i poszła zrobić zakupy dla matki, a potem do księgarni, gdzie przeglądała czasopisma. W „Lady” były całe strony ogłoszeń, za dużo, by je przeczytać na miejscu. Kupiła pismo, wstąpiła do restauracji, zamówiła kanapki i herbatę i zabrała się do wertowania ogłoszeń.

Oferowano mnóstwo posad, ale głównie dla osób wykwalifikowanych lub małżeństw. Już chciała zrezygnować, kiedy jej wzrok padł na długie ogłoszenie pod nagłówkiem „Szkolne”. Poszukiwano młodej kobiety

do opieki nad najmłodszymi uczennicami w internacie na resztę półroczna, to znaczy na miesiąc, i jeszcze tydzień w czasie wakacji. Nie wymagano od kandydatki prowadzenia lekcji, oczekiwano natomiast zdyscyplinowania i rozwagi. Oferowana płaca była zdaniem Matildy całkiem przyzwoita. Na dodatek szkoła znajdowała się w małym miasteczku na północ od Sherborne, w odległości siedmiu kilometrów od jej domu. Nigdy niczego nie odkładała na później. Szybko zjadła kanapkę, wypła herbatę i poszła do najbliższej budki telefonicznej.

Głos w słuchawce był surowy i nieco niecierpliwy. Zgłosiło się kilka kandydatek, niestety żadna nie spełniała oczekiwań. Matilda odniosła wrażenie, że tak samo będzie w jej przypadku, ale nie rezygnowała. Punktem zwrotnym okazało się to, że ma ojca pastora, o czym poinformowała rozmówczynię. Poproszono ją o stawienie się na rozmowę następnego ranka.

Trzeba to było jakoś uczcić. Zrealizowała czek, wpłaciła pieniądze na swoje konto, znaczną część sumy odłożywszy dla matki na pokrycie korepetycji Esme, po czym wyruszyła po zakupy. Nie ośmieliła się wydać zbyt dużo. Kupiła czekoladki dla Esme, tytoń do ojcowskiej fajki, buteleczkę perfum dla matki i śliczny mały czajniczek dla Hilary. Przyda jej się po ślubie. Chłopcom pośle pieniądze do szkoły.

W domu opowiedziała, co załatwiła, wręczyła prezenty i poszła przygotować ubranie na jutrzejszą rozmowę. Musi to być coś skromnego, odpowiedniego dla pomocnicy przełożonej. Przeglądając dość skromną garderobę, składającą się głównie z rzeczy niezbędnych, pomyślała znów o doktorze. Pewno poszedł na jedno z tych przyjęć, które zaplanowała Rhoda. Szkoda, że nie mogła mu się pochwalić, że znalazła odpowiednie zajęcie, i to tak szybko. Rzecz jasna nie byłaby sobą, gdyby żywiła co do tego wątpliwości.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Matilda, ubrana nobliwie w żakiet i spódniczkę, wyruszyła na umówioną rozmowę samochodem. Miała się stawić o jedenastej, było więc jeszcze mnóstwo czasu. Wiedziała, gdzie się znajduje ta szkoła - była dość znana. Przyjmowano w niej do internatu głównie dzieci rodziców przebywających za granicą i w odróżnieniu od innych szkół wyłącznie dziewczynki.

Przyjechała za wcześnie. Zaparkowała więc auto w pewnej odległości i zaczęła obmyślać odpowiedzi na pytania, jakie zapewne zostaną jej postawione. Po chwili jednak znudziło jej się to i pozwoliła sobie na myśli o doktorze. Co on robi? Pewno siedzi w eleganckim gabinecie, przy imponującym biurku i słucha uprzejmie, jak bogaty pacjent uskarża się na swoje dolegliwości. Albo spędza czas z Rhodą.

Doktor tymczasem pochylał się nad leżącym na stole operacyjnym chłopcem i starannie zestawiał kawałki kości jego nogi. W odróżnieniu od Matildy nie mógł sobie pozwolić na bujanie w obłokach.

Zerknęła na zegarek, zapaliła silnik, przejechała przez bramę i zatrzymała się dokładnie przed frontowym wejściem szkoły. Była to osiemnastowieczna posiadłość ziemską pewnego arystokraty. Niezbędnych przeróbek dokonano tylko w tylnej części budynku, pozostawiając jego imponujący fronton w oryginalnym stanie. Wsiadła z auta, zadzwoniła i spokojnie czekała, aż ją wpuszczą. Służąca, która przysłała otworzyć drzwi, ubrana była w perkalową sukienkę, biały

fartuch i czepek. Sympatyczne, pomyślała Matilda, odpowiednie dla szkoły słynącej ze starannego wychowywania dziewcząt. Podała swoje nazwisko i została wprowadzona do niewielkiego pokoju. Nie musiała długo czekać. Służąca wróciła, poprowadziła ją przez hol, zapukała do dużych drzwi i otworzyła je przed nią. Pokój był jasny, wysoki, umeblowany raczej surowo i stanowił odpowiednie tło dla siedzącej za biurkiem kobiety o srogim wyrazie twarzy.

- Dzień dobry, panno Finch. Proszę usiąść - powiedziała nie podnosząc się zza biurka.

Matilda wstała z krzesła po kwadransie - dostała tę posadę. Spokojne odpowiedzi zadowolily chyba pytającą. Miała też świetne referencje wystawione przez doktora Bramleya i biskupa, jej ojca chrzestnego.

- Musi pani zdawać sobie sprawę - powiedziała panna Tremble - że to praca jedynie tymczasowa. Będzie pani miała jeden dzień wolny w tygodniu, to znaczy od śniadania do dziesiątej. Do pani obowiązków będzie należało również wstawanie w nocy, jeśli to okaże się konieczne. Mamy tu przełożoną, która pokieruje pani pracą, i jej zastępczynię, która sprawuje nadzór nad starszymi dziewczętami. Proszę pójść ze mną, pokażę pani naszą szkołę.

Klasy znajdowały się na parterze, ale tam jej nie wprowadzono.

- Oczywiście nie będzie pani miała nic wspólnego z uczeniem — oświadczyła panna Tremble tłumionym głosem i poprowadziła ją schodami na górę. - Młodsze dziewczynki śpią w tych czterech pokojach, a ten, który pani zajmie, znajduje się na końcu korytarza. - Był to mały, ładnie umeblowany pokój z przyległą łazienką. - Będzie w nim pani mieszkała razem z zastępczynią pani przełożonej. Jest tu kuchenka, gdzie można zrobić herbatę lub kawę. Wolny czas będzie pani miała każdego dnia o innej porze. Do



pani obowiązków będzie też należało prowadzenie dziewczynek do dentysty lub doktora.

Potem panna Tremble sprowadziła ją na dół i przy pożegnaniu powiedziała, że oczekuje jej za dwa dni o dziesiątej.

Matilda jechała do domu podśpiewując i wydając okrzyki radości przy obliczaniu, ile zarobi. Przydadzą jej się te pieniądze. Postawiła samochód w szopie i weszła kuchennymi drzwiami.

- Poczęstowali cię kawą? - spytała matka. - I dostałaś tę pracę, Tilly?

- Nie, nie poczęstowali, ale pracę dostałam. - Matilda podeszła do piecyka, wzięła dzbanek z kawą i kubek, - Zaczynam pojutrze.

- Siadaj, kochanie, i opowiedz mi wszystko po kolei. Nie, chwileczkę, zawołam ojca, jest w gabinecie, i Hilary, która wyszła na chwilę do ogrodu.

Otoczyli ją wianuszkami, gdy relacjonowała swoją wizytę w szkole. Potem siadła i słuchała ich życzliwych uwag. Jakże było inaczej niż podczas odwiedzin Jamesa u dziadków. Zrobiło jej się go żal, gdyż nie znał prostej przyjemności siedzenia w kręgu kochającej rodziny ze świadomością, że wszyscy są tak zadowoleni jak ty, uważnie słuchają, a potem prześcigają się w poradach. Nie wolno jednak o nim myśleć. Robi to, co zapowiedziała - zabiega o swoją niezależność. Praca, mimo że okresowa, stanowi pierwszy krok we właściwym kierunku, a płaca jest trzy razy większa niż u lady Fox.

Hilary zawiozła ją do szkoły.

- Robi wrażenie - zauważyła, kiedy przyjechały na miejsce. - Chcesz, żebyśmy poczekała?

- Nie, kochanie. - Matilda zabrała walizkę z tylnego siedzenia. - Dzięki za odwiezienie. Zadzwonię, jak tylko się dowiem, kiedy będę miała wolny dzień. Ktoś musi mnie zabrać, a potem odwieźć z powrotem.

- Max przyjedzie na weekend, żeby omówić ślub, to wpadnie po ciebie, jeśli będziesz wolna.

Tym razem panna Tremble uśmiechnęła się na jej widok.

- Mam nadzieję, że jest pani gotowa od razu rozpocząć pracę, panno Finch? Winnie zaprowadzi panią do pokoju, a przełożona, pani Down, zapozna szczegółowo z codziennymi zajęciami.

Pani Down, osoba w średnim wieku, ucieszyła się widząc Matildę.

- Nie czujemy wprost nóg, ja i Joan, to znaczy panna Willis. Ścielemy łóżka, jak pani widzi. Teraz kiedy pani tu będzie, będę zwolniona z nadzorowania izby chorych, pralni i sypialni. Będzie pani potrzebować chałat. Proszę ze mną, to zobaczę, czy uda mi się znaleźć odpowiedni dla pani.

Matilda była wysoką dziewczyną, toteż dopiero po dłuższych poszukiwaniach w szafach udało się znaleźć strój z grubsza dla niej odpowiedni.

- Dzięki Bogu, są dwa chałaty. - Pani Down odetchnęła z ulgą. - Należały do dość tęgiej przełożonej. To nie znaczy, że ty jesteś tęga, moja droga. Masz dobrą figurę, no i taką cienką talię.

Matilda owinęła się chałatem, zawiązała ciasno pasek i poszła za przełożoną do sypialni.

Kiedy pani Down wyszła z pokoju, panna Willis powiedziała:

- Mam na imię Joan, a pani?

- Matilda i proszę mówić do mnie też po imieniu. Czy z dziewczynkami również jesteś na „ty”?

- Broń Boże. Panna Tremble nigdy by na to nie pozwoliła. Tu dzieci muszą zachowywać się należycie i na żadne poufałości się nie pozwala. Ale jest im tu dobrze.

Posławszy łóżka zeszły na dół do małego saloniku.

- Ten pokój należy do nas - poinformowała pani

Down. - Chociaż nie mamy zbyt wiele czasu na przesiadywanie tu. Powinnyśmy mieć dziennie trzy godziny wolne, nie zawsze jednak to się udaje. Teraz, Matildo, zaznajomię cię z twoimi obowiązkami.

Dzień pełen zajęć, pomyślała Matilda uważnie słuchając, zwłaszcza rano i wieczorem, kiedy to ze dwadzieścia małych dziewczynek trzeba przygotować na cały dzień, a wieczorem wykapać i położyć do łóżek.

- Dość często w soboty i niedziele przyjeżdżają rodzice i zabierają małe na herbatę. Nawiasem mówiąc, w soboty i niedziele nie miewamy wolnych dni.

Pani Down pokazała Matildzie jadalnię, garderoby i świetlicę. Mimo olbrzymiego budynku i dość surowej panny Tremble szkoła robiła przyjemne wrażenie.

Praca sprawiała Matildzie satysfakcję. Miała pod opieką dwadzieścia małych dziewczynek, a ponadto wiele innych, dodatkowych zajęć, które wypełniały jej dzień. Jedzenie było dobre, pokój, choć niewielki, wygodny. Lubiła swoje podopieczne i one ją lubiły. Otulała je co wieczór w łóżeczkach, słuchała opowieści o drobnych kłopotach, podziwiała fotografie mamus i tatusiów. Pod koniec tygodnia dano jej wolny dzień i pojechała do domu odwieziona przez Hilary. Te kilka godzin minęło jak z bicza trząst - tyle było do opowiadania, o pracy w szkole, o dziewczynkach.

- Nie należy słuchać plotek - zauważyła matka - słyszy się jednak różne rzeczy, wiesz. Podobno lady Fox zwolniła nową sekretarkę dając jej tygodniowe wypowiedzenie. Roseanne jest wciąż w szpitalu. W przyszłym tygodniu mają jej zdjąć gips z ręki. Lady Fox niepokoi się, bo doktor nie przysłał rachunku. Powiedziałam, że mała jest szansa, by to zrobił, póki Roseanne nie stanie na nogi i nie będzie jej mógł wypisać. Ostatecznie to nie rzeźnik ani piekarz, czyż nie?

Matilda zaczerwieniła się, ale powiedziała tylko:

- Ciekawa jestem, kiedy Roseanne i Bernard się pobiorą?

- Myślę, że we wrześniu. Bramley mówił, że doktor Scott-Thurlow strasznie ciężko pracuje. Narzeczona usiłuje go namówić na pójście gdzieś wieczorem, spędzenie soboty i niedzieli u jej przyjaciół na wsi, a on niemal zawsze odmawia. - Pani Finch westchnęła. - Ona robi wrażenie osoby zupełnie dla niego nieodpowiedniej.

- Przecież doktor nie musi się z nią żenić - zauważyła Matilda i oczy jej błysnęły na tę myśl. - Jakkolwiek przypuszczam, że to zrobi - dodała rzeczowo.

Tego wieczoru do szkoły odwiózł ją ojciec. Przed pójściem do łóżka upewniła się, że dzieci usnęły. Tylko Lucy Phelps, jedna z najmłodszych, niespełna siedmioletnia, nie spała. Jej rodzice przebywali w Ameryce Południowej, tam gdzie niemądrze byłoby zabierać dzieci. Ojciec Lucy stał na czele zespołu, który miał uruchomić nowy szpital, a matka mu towarzyszyła. Miało ich nie być w kraju przez kilka miesięcy.

Matilda siadła na łóżku, wzięła małą na kolana, przytuliła i pozwoliła jej się wypłakać.

- Trzy miesiące szybko zlecą, kochanie. Dokąd wybierasz się na wakacje?

- Do ojca chrzestnego. On jest kochany, ale to nie tatuś ani mamusia.

- Oczywiście, że nie, jednak czy to nie szczęście, że go masz. A po wakacjach to już tylko kilka tygodni i rodzice przyjadą do domu. - Położyła znowu małą do łóżka i pocałowała w mokry policzek.

- Lubię panią - powiedziała Lucy. - Lubię też imię Matilda. Czy w domu nazywają panią Tilly? Ma pani mamę i tatę?

- Mam. Braci i siostry też.

- Mamusia obiecała mi małego braciszka albo

siostrzyczkę po powrocie. I nie będę musiała mieszkać w internacie.

- Masz wiec z czego się cieszyć, kochanie. A teraz śpij.

Mijały dni wypełnione monotonnymi zajęciami, za to dziewczynki były zabawne. Dobrze ułożyły się też stosunki z panią Down i Joan, a pannę Tremble Matilda widywała rzadko. W następny wolny dzień poprosiła Hilary, żeby w drodze do domu zawiozła ją do King's Hall. Poszła zobaczyć, jak się miewa Roseanne. Zdjęto jej już gips z ręki i teraz leżała w łóżku, choć nogę miała wciąż na wyciągu. Ucieszyła się na widok Matildy i natychmiast przystąpiła do opowiadania o sobie i Bernardzie.

- Widzisz, rękę mam już w porządku, ale muszę tak leżeć przez wiele tygodni, póki całkiem nie wydobrzeje mi noga. Doktor Scott-Thurlow mówi, że będzie zdrowiusieńka do września, no i wtedy się pobierzemy. - Zerknęła na Matildę. - Mama mówiła, że dostałaś pracę w szkole. Podoba ci się?

- Owszem, podoba.

- Czy są tam jacyś mężczyźni?

- Dwaj ogrodnicy i jeden majster-klepka.

- Czy ty nie chcesz wyjść za mąż?

- Nie za ogrodnika ani majster-klepkę. No, muszę lecieć, czekają na mnie w domu.

Nadeszły ostatnie dni roku szkolnego i Matilda była bardzo zajęta: pakowała walizki, szukała zgubionych ubrań, wysyłała telegramy. Pani Down miała z dziećmi, które podróżowały koleją, pojechać autobusem szkolnym do Yeowil, a tam wsadziwszy je do właściwych pociągów, sama wsiąść w pociąg do Londynu. Potem wyjedzie Joan do matki mieszkającej w środkowej Anglii. Na posterunku pozostanie Matilda. Miała przypilnować, żeby rodzice odebrali pozostałe dzieci.

- Szkoda, że tu nie zostajesz - powiedziała pani Down - bo pasujesz do nas, Matildo. Jesteś pracowita, uprzejma i miła. Wraca jednak Joyce, jak mi mówiła dziś rano panna Tremble.

Dzieci były podekscytowane i przygotowanie ich do podróży zabrało Matildzie cały czas, toteż z uczuciem ulgi patrzyła na odjeżdżający autobus. Następnie wyjechała Joan z dwiema małymi dziewczynkami. Pozostał teraz ledwie tuzin uczennic oczekujących mniej lub bardziej spokojnie przybycia rodziców. Były to na ogół dziewczynki starsze, z którymi Matilda miała mało do czynienia. Rozjeżdżały się pojedynczo lub po dwie, aż w końcu pozostała tylko czwórka najmłodszych, wśród nich Lucy.

Siedziały na murku niemal bez ruchu, bo chciały pokazać się z jak najlepszej strony. Matilda, wyczuwając ich niecierpliwość, zaczęła się z nimi bawić w zgaduj-zgadulę.

Na podjazd wjechał samochód i jedno z dzieci tam pobiegło. Została Lucy i dwie siostry. Niebawem zjawił się ich ojciec. Po kilku minutach grzecznościowej rozmowy zabrał znudzone córki i odjechał. Została tylko Lucy.

- On nie przyjedzie...

- Na pewno przyjedzie, kochanie. Może musi jechać z bardzo, bardzo daleka. - W tym momencie usłyszały warkot nadjeżdżającego samochodu.

- Przyjechał... to wujek James! - wykrzyknęła Lucy, gdy auto się zatrzymało i wysiadł doktor Scott-Thurlow. Chwycił małą w ramiona i uściskał, nie spuszczając wzroku z Matildy, która stała tu w za obszernym chałacie i z włosami jak zwykle w nieładzie.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, po czym milczenie przerwała Matilda wypowiadając niezbyt odpowiednią formułkę powitalną:

- Cześć!

- Pojawia się pani w najbardziej nieoczekiwanych miejscach - powiedział - właśnie kiedy myślałem...  
- Przerwał, bo z auta wysiadła jedna jeszcze osoba, Rhoda, ubrana jak na garden party, piękna jak obrazek.

Rhoda z wdziękiem położyła dłoń w rękawiczce na głowie Lucy.

- Nie miej pretensji do wujka, że się spóźnił, bo to moja wina. Nie mogłam zdecydować się na odpowiedni strój. - Popatrzyła w stronę, gdzie stała Matilda.  
- Wciąż się spotykamy, prawda? Czy praca kucharki to pani najnowsze zajęcie? - Matilda nie zwróciła na nią uwagi.

- Jest pan ojcem chrzestnym Lucy? - spytała.

- Tak - odparł obejmując dziewczynkę ramieniem.

- A pani, Matildo, kim tu jest?

- Opiekunką szkolną, jak pan widzi. Znalazłam tu pracę.

- Na stałe?

Tak się cieszyła, że znowu go widzi.

- Nie, kończę pod koniec tygodnia.

- Zatem będzie pani znów bez pracy - wycedziła słodkim głosem Rhoda.

Matilda jej nie słyszała. Ona i doktor znaleźli się jakby w swoim własnym świecie, wiedziała jednak, że nie na długo. Doktor zrobi jakąś lodowato uprzejmą uwagę i znowu odjedzie. Nie była pewna, czy zdoła to znieść, choć będzie musiała.

- Pani zna wujka Jamesa, panno Finch? - pisnęła Lucy. - To mogłaby pani jechać z nami.

Matilda zobaczyła minę Rhody. Na doktora bała się popatrzeć.

- Muszę tu być jeszcze przez tydzień, a potem jadę do domu. Niemniej to ładnie, że pomyślałaś o mnie.

Lucy nie rezygnowała.

- Będzie pani tutaj. Będzie pani tutaj od nowego roku szkolnego? Jeśli nie, to ja tu nie wracam.

- Posłuchaj, kochanie, tatuś i mamusia przyjadą do domu kilka tygodni po twoim powrocie tutaj i przypuszczam, że wtedy już nie będziesz musiała mieszkać w internacie.

- Nie wraca pani?

- Nie. Miałam zastąpić chorą pannę Tring, a ona już wyzdrowiała.

- Ale jeszcze panią zobaczę?

Rozmowa trwała już wystarczająco długo. Matilda uściskała dziewczynkę i pocałowała ją w różowy kragły policzek.

Doktor Scott-Thurlow milczał. Wziął za rękę Lucy i ruszył w stronę samochodu.

- Do widzenia, Matildo! - zabrzmiało jak ostateczne pożegnanie z jego strony.

- Takie zamieszanie z powodu dziecka... Zbiera mi się na mdłości - powiedziała Rhoda zostając w tyle. Ściszyła głos, ale był tak przenikliwy, że Lucy mogła usłyszeć jej słowa. Doktor również.

Matilda zacisnęła pięści i założyła ręce do tyłu w obawie, że mogłaby ją uderzyć. Stała tak, póki nie usłyszała warkotu silnika. Wtedy pomachała ręką Lucy siedzącej obok ojca chrzestnego.

Duży budynek był teraz, kiedy wszyscy się rozjechali, bardzo cichy. Panna Tremble została jeszcze, ale miała wyruszyć nazajutrz. Na miejscu została rządczyni, jedna służąca i ogrodnicy. Matilda poszła na górę i zabrała się do łóżek, zadowolona, że ma coś do roboty. Usiłowała pozbyć się myśli o obojętności doktora Scotta-Thurlowa. Jakkolwiek mogłaby przysiąc, że wysiadając z auta ucieszył się na jej widok.

- Och, nie ma co wpadać w przygnębienie - mruknęła pod nosem, zawiązując w tłumok prześcieradła z takim przejęciem, jakby od tego zależało jej życie.



Wbrew jej oczekiwaniom tydzień minął szybko. Miała mnóstwo pracy, ale zdarzała się i wolna godzina, kiedy mogła sobie pospacerować po ogrodzie, a nawet (o śmiałości!) zasiąść w auli do fortepianu i zagrać kilka melodii. Rządczyni była miła, pilnowała, żeby Matilda jadła i przygotowywała smakowite potrawy.

Nie dostała jeszcze pensji i trochę się tym martwiła, ale dzień przed wyjazdem listonosz przyniósł jej przesyłkę. Panna Tremble napisała miły liścik, obiecując referencje, gdyby ich potrzebowała, i załączając czek. Matilda podziwiała go przez dość długą chwilę, rozmyślając o wszystkich tych rzeczach, które będzie mogła sobie teraz sprawić.

Ostatniego ranka przyjechała po nią Hilary. Żegnając się z resztą pozostającego na miejscu personelu żałowała, że odjeżdża, ale siedząc już w samochodzie i dzieląc się z siostrą nowinami, wkrótce o tym zapomniała.

- Roseanne wie, że wracasz dzisiaj do domu. Wpadniemy po drodze do niej na kilka minut?

- Dobrze. Jak się miewa?

- Nie może się doczekać chwili, kiedy stanie na nogi. Robią jej teraz fizjoterapię, więc to już chyba niedługo. Chce, żebyś była jedną z drухen.

- Ja? Och nie, a zresztą wątpię, żeby lady Fox pozwoliła jej zaprosić mnie na ślub.

Pod szpitalem Matilda wysiadła.

- Wejdiesz do środka? - zapytała siostrę.

Hilary potrząsnęła głową.

- Daję ci dziesięć minut.

Roseanne była w dobrym nastroju i powitała ją z zachwytem.

- Jeszcze tylko kilka tygodni i będę mogła chodzić o kulach - oznajmiła natychmiast. - Nie chcę jednak wracać do domu, póki całkiem nie wydobrzeję. Mama

by robiła tyle szumu. - Przyjrzała się Matildzie. - Musiałaś okropnie ciężko pracować, bo taka jesteś blada, czy może smutna.

Matilda zignorowała tę uwagę.

- Jak idą przygotowania do ślubu?

Roseanne przystąpiła do szczegółowego i dość bezładnego wyliczania przygotowań. Minęło prawie dziesięć minut i wydawało się, że nic nie zdoła zahamować potoku jej słów. Matilda usiłowała na próżno go powstrzymać, gdy weszła pielęgniarka, a z nią doktor Scott-Thurlow.

- O Boże! - jęknęła Matilda i zrobiła się purpurowa.

Doktor wyglądał na zdumionego, choć tym razem spotkanie nie było przypadkowe. Poświęcił sporo wysiłku, żeby je zorganizować, sugerując Roseanne, że skoro Matilda wraca do domu tego ranka, to byłoby miło, gdyby do niej wpadła.

- Jestem pewien, że ten kto ją będzie wiozł, nie będzie miał nic przeciwko temu - rzucił jakby mimochodem, że pragnie zobaczyć Matildę tylko po to, by jej opowiedzieć o Lucy i Theobaldzie.

Powiedział uprzejmie „dzień dobry” i oznajmił grzecznie:

- Nie ma potrzeby opuszczania pokoju. Chcę tylko zawiadomić Roseanne, że ostatnie prześwietlenie jest doskonałe. Myślę, że może zacząć chodzić o kulach pod koniec następnego tygodnia.

Roseanne cieszyła się jak dziecko.

- Będzie pan tu, doktorze? - spytała.

- Tak i przyprowadzę z sobą doktora Bramleya.

- Obdarzył ją uśmiechem i popatrzył na Matildę, i która teraz była już całkiem blada. - Skończyła pani ze szkołą? - zagadnął ją mile.

- Tak.

Zaniepokoił ją ten jego kpiący uśmieszek i żałowała, że nie potrafi wymyślić jakiejś mądrzejszej odpowiedzi.

Zamiast tego oznajmiła Roseanne, że naprawdę musi już iść.

- Hilary czeka w samochodzie, a i w domu mnie oczekują. - Zdobyła się na uśmiech. - Tak się cieszę, że masz się dobrze.

- Przyjdiesz znowu?

- Oczywiście. Do widzenia.

Pożegnała się też z pielęgniarką, a ponieważ nie sposób było ominąć eleganckiej i jakże imponującej postaci doktora przy drzwiach, musiała również z nim się pożegnać. Chciała zjrzeć mu przy tym w oczy, ale on przesłonił je powiekami, a z twarzy, na której wciąż miał maskę osoby łagodnej i miłej, nie potrafiła odczytać, co myśli.

Dlaczego ja się martwię? - zastanawiała się idąc do samochodu. - W każdym razie nie myśli o mnie. - Myliła się oczywiście.

- Jest tu doktor Scott-Thurlow - rzekła zgoła niepotrzebnie Hilary, gdy wsiadła do samochodu.

- Tak, widziałam się z nim. - Matilda zajęta była zakładaniem pasa bezpieczeństwa. Siostra popatrzyła na nią z czułością. W głosie Matildy było coś smutnego, więc Hilary zdecydowała nie podtrzymywać tego tematu i zaczęła mówić o własnym zbliżającym się ślubie.

W domu Matilda znów zanurzyła się w rodzinnej atmosferze. Bracia i Esme zjechali na ferie i dom się zapełnił. Nie było oczywiście mowy o wyjeździe na wakacje, chociaż później, jesienią, po powrocie młodszych dzieci do szkoły, jej rodzice wybierali się do małego miasteczka nad morzem w Kornwalii - wymieniając się na dwa tygodnie z tamtejszym wikarym. Wkrótce też Hilary pojedzie znowu do przyszyłych teściów.

- Czy masz jakieś plany? - zagadnęła ją matka.  
- Ciotka Penelope na pewno z radością by cię przyjęła,

no i zarobiłaś dosyć pieniędzy, żeby umilić sobie tam pobyt.

- Pomyślę o tym - odparła Matilda, pragnąc uspokoić matkę i nie zdradzić się przy tym, że oddała jej większość zarobionych pieniędzy. - Tak miło być po prostu w domu.

Siedziała przy tylnych drzwiach łuskając bób, z kotem na kolanach. Nie było to zbyt wygodne, ale Nelson, zadowolony, że wróciła, nie chciał zrezygnować z wdrapywania się na nie.

- Rób, kochanie, co chcesz, tylko że tu ci chyba dość nudno.

- Wcale nie, mamó. Podobała mi się praca w tej szkole i myślę, że spróbuję znaleźć coś podobnego na jesieni. W tej części świata jest mnóstwo szkół.

Matka popatrzyła na nią. Taka ładna dziewczyna i taka dobra. To prawda, jest impulsywna, ale serce ma złote. Gdzieś na świecie musi się znaleźć mężczyzna, który zechce ją poślubić. Szkoda, że świat jest tak duży, a Abner Magna leży tak na uboczu. Oczyma duszy dokonała przeglądu wioski - nie znalazła nikogo odpowiedniego dla córki.

Matilda po powrocie miała mnóstwo zajęć: dbała o kwiaty w kościele, prowadziła pogadanki w szkółce niedzielnej, woziła ojca do parafian rozrzuconych po okolicy, pomagała w domu, jeździła z matką na zakupy do Sherborne i znajdowała jeszcze czas, żeby urządzać wycieczki na łono przyrody, czasem z Esme, częściej sama.

Minęły dwa tygodnie i, mimo skrywanej zgryzoty, wyglądała przepięknie. Ładnie się opaliła, jej oczy wydawały się teraz bardziej zielone, a włosy jeszcze bardziej ogniste. Miała też mnóstwo piegów, ale te nie ujmowały jej bynajmniej urody. I tylko w samotności pozwalała, by uśmiech nie gościł na jej ładnie wykrojonych ustach, a i to na krótko. Była osobą

nader rozsądną - domaganie się gwiazdki z nieba nie zda się na nic, za to praca owszem. Pojechała do Sherborne zarejestrować się w agencji, przeglądała też co tydzień lokalną gazetę oraz „Telegraph” prenumerowany przez ojca. Coś się trafi, zapewniała Esme widząc, że wertuje rubrykę oferowanych prac.

I trafiło się, zaraz następnego dnia. Jak zawsze elegancki doktor Scott-Thurlow wysiadł z samochodu z miną człowieka, który wie, czego chce. Matilda na klęczkach wrywała właśnie chwasty z zagonu róż pod oknami salonu, a ponieważ nie zamierzała tego dnia wychodzić, ściągnęła włosy do tyłu, włożyła szeroką bawełnianą spódnicę i bluzkę bez rękawów, ani modne, ani nowe. Przy tym jednak wyglądała zachwycająco. Esme, siedząca na schodkach przy drzwiach na taras, dojrzała go pierwsza. Ruszyła mu na spotkanie tanecznym krokiem.

- Zobacz, kto przyjechał- zawołała. - Akurat na kawę.

Matilda obejrzała się przez ramię. Doktor Scott-Thurlow szedł w jej kierunku, skracając sobie drogę przez trawnik. Przysiadła na piętach i czekała. Kiedy się przy niej zatrzymał, patrząc teraz na nią z wysoka, wstała. Zaczerwieniła się, ale jej „dzień dobry” brzmiało raczej chłodno i trochę pytająco.

- Dzień dobry, Matildo. Przyszedłem prosić o przysługę. Miałaby pani czas mnie wysłuchać?

- Oczywiście. - Otrzepała ręce z ziemi. - Czy chce pan napić się kawy? Mama jest w domu.

Poprowadziła go do salonu wchodząc przez drzwi tarasowe.

- Proszę, niech pan siada - powiedziała głosem, który Esme nazywała głosem gospodyni. - Przyniosę kawę i dam znać mamie.

- Czy nie mógłbym wypić kawy w kuchni, jeśli matka pani jest zajęta? To, co mam do powiedzenia, przeznaczone jest dla uszu wszystkich.

Esme poszła naprzód, a Matilda bez słowa otworzyła drzwi salonu przepuszczając go, ale on się zatrzymał.

- Byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy żyli na bardziej przyjaznej stopie - rzekł cicho, a kiedy oburzona lekko się zachnęła, dodał:

- Tak, wiem, nie dałem powodu do przyjaznego nastawienia. Gdyby jednak pani uwierzyła, że to, o co chcę prosić, mnie nie dotyczy.

Spojrzała na niego. Wydał jej się poważny.

- Dobrze - zgodziła się szorstko i otworzyła drzwi do kuchni.

Pani Finch ustawiła filiżanki na stole. Placek, świeżo upieczony i pachnący, królował na środku stołu, a chłopcy, ojciec i pani Coffin, zbytecznie krzątająca się przy zlewie, oraz matka i Esme - wszyscy znaleźli się tam w jakiś tajemniczy sposób w tym samym czasie. Zdaniem Matildy doktora powitano niezwykle serdecznie. Poproszono go, by usiadł, poczęstowano kawą i kawałkiem placka, i" dopiero wtedy pani Finch zagadnęła:

- Esme mówiła, że chce pan jakiejś przysługi od Matildy. Może wolałby pan porozmawiać z nią w cztery oczy?

- Nie ma takiej potrzeby. Matilda zapewne zechce się pani poradzić co do tego, o co jestem zmuszony ją prosić. Oszczędzimy więc tylko czas, jeśli dowie się pani o tym od razu.

- Wymaga to takiego pośpiechu? - spytała ostro Matilda.

- Jadę odwiedzić Roseanne i chciałbym otrzymać odpowiedź, kiedy będę wracał, mniej więcej za godzinę.

- Czego pan sobie życzy?

- Nie chodzi o to, czego sobie życzę ja - odparł ze spokojem - ale czego życzy sobie Lucy. - Zaczekał, aż pani Finch znowu napełniła mu filiżankę. - Choruje na świnkę, i to dość ciężko. Moja gospoia, która

była też moją nianią, teraz się nią zajmuje, ale, mimo że jest nadzwyczajnie dobra i skora do pomocy, czuje się zmęczona. Lucy dopomina się o panią, Matildo. Czy zechciałaby pani przyjechać na parę tygodni? Zabiegów pielęgnacyjnych nie jest dużo i może będzie pani się nudzić, ale mała jest taka nieszczęśliwa...

- Oczywiście, przyjadę, jeśli ona o to prosi - oświadczyła porywczo Matilda, jak to często robiła i żałowała tego później. - A czy pańska narzeczona nie uważa... może ona wolałaby być z Lucy?

Jego „nie” brzmiało kategorycznie i utrudniło kontynuowanie rozmowy.

- Małe biedactwo - powiedziała pani Finch - naturalnie, że tęskni za matką. Chociaż jestem pewna, że robi pan, doktorze, wszystko, co się da.

Popatrzyła na córkę, która z chmurną miną spoglądała na siedzących wokół stołu. Wszyscy oczekiwali, że się zgodzi; doktorowi udało się zyskać w nich sojuszników.

- No dobrze, pojedę - oznajmiła kwaśno.

- Nie śmiem dłużej absorbować państwa - rzekł doktor. - Lucy będzie zachwycona. Czy będzie pani gotowa za jakąś godzinę?

- Nie pozostaje mi nic innego, prawda? - Zachowywała się niezbyt uprzejmie i wcale się tym nie przejmowała.

Kiedy doktor wyszedł, ojciec zwrócił jej łagodnym tonem uwagę:

- Byłaś dość niemą, Tilly. Ostatecznie on robi dla tego dziecka, co może...

- A przy tym to taki życzliwy człowiek - dodała matka.

- Mamo! - krzyknęła Matilda i wybiegła z kuchni.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nawet nie wiem, gdzie on mieszka - narzekała Matilda, wrzucając rzeczy do walizki.

- Możemy go zapytać, jak wróci. - Esmie siedziała na łóżku, zajadała herbatniki i doradzała Matildzie, co ma zapakować. - Nie bierz tego starocia, nadaje się tylko na stragan. Weź tę kwiecistą spódnice i dużo bluzek. Czy będziesz musiała sama pracować? Wiem, że ma gosposię, ale wielu całkiem biednych ludzi też ma gosposię, poza tym to jego niańka. Zaryzykuję twierdzenie, że ona tam mieszka i w zamian za to prowadzi mu dom. Ma przecież emeryturę.

- E tam, pleciesz - powiedziała Matilda, rozmyślając o tym samym. - Czy powinnam wziąć zieloną sukienkę?

- Tak, nie potrzebujesz się stroić, jeśli będziesz jadać z nim, ale jak zaprosi gości na kolację albo na drinka, to musisz przecież wyglądać przyzwoicie. Czy nie możesz sprawić sobie nowej kiecki? Przypuszczam, że oddałaś większość zarobionych pieniędzy mamie, a ona pozwoli przecież ci je wziąć z powrotem.

- Mowy nie ma. Nie zamierzam prowadzić towarzyskiego życia, kochanie, choć zapakuję tę zieloną sukienkę, jeśli uważasz, że powinnam. - Szperała w szafie. - Włożę lepiej wzorzystą bluzkę i spódnice. - Spojrzała na zegar nad kominkiem. - O Boże, przyjedzie za dziesięć minut. Zamknij walizkę, a ja się ubiorę.

Wpinała szpilki w kok, gdy Esmie spytała:



- Przypuszczasz, że będzie tam Rhoda? W jego domu...

- Prawdopodobnie - odparła niewyraźnie Matilda, bo trzymała w ustach szpilki. - Ostatecznie ma za niego wyjść. - Mówienie o tym sprawiało jej ból.

- Chodzi mi o to, czy ona tam mieszka?

Matilda wyjęła szpilki z ust, żeby móc mówić wyraźnie.

- Nie wydaje mi się to możliwe. Lekarze i ludzie tego pokroju muszą dbać o reputację.

- Jednak ty będziesz z nim mieszkać - zauważyła Esme, nieskora do owijania rzeczy w bawełnę.

- Ja będę zatrudniona przez doktora, a to co innego.

- Dlaczego? Nie mogę zrozumieć... - Na szczęście umilkła słysząc na podjeździe samochód. - Już przyjechał! Wezmę twoją walizkę. No chodźże, nie możesz pozwolić, żeby czekał. - Na schodach, szepnęła:  
- Będzie ci płacił?

- Przypuszczam, że tak.

- Ile?

Matilda uciszyła ją marszcząc brwi i skierowała się przez hol ku doktorowi, który rozmawiał z rodzicami.

- Zapewne zechce pani wiedzieć, dokąd wyjeżdża - zwrócił się do niej niezwykle łagodnym tonem.

- Lucy jest teraz ze mną w Londynie, ale jak tylko poczuje się lepiej, mogłybyście pojechać do domku, który mam w pobliżu Dartmouth, w Stoke Fleming.

To ponad sto kilometrów od Londynu, pomyślała Matilda.

- Doskonały pomysł - odparła ze spokojem. - W jakim miejscu mieszka pan w Londynie, panie doktorze?

- Blisko Piccadilly i Oxford Street, koło Orchard Street.

- Czy to w pobliżu Wigmore Street?

- Tak. Blenheim Street piętnaście. Ojciec pani ma adres i numer telefonu.

*Pastor kiwnął głową.*

- Nie wątpimy, że Matilda da nam znać, jak się urządzi. Mam nadzieję, że pomoże panu i że mała szybko powróci do zdrowia.

Cała rodzina zgromadziła się już w holu. Doktor uściskawszy dłoń pastora i jego żony czekał cierpliwie, podczas gdy Matilda obejmowała rodziców.

Kiedy odjeżdżali, odwróciła się, żeby pomachać im na pożegnanie, i rzuciła z przekąsem patrząc na niego przez ramię: - Pan to się zawsze tak spieszy.

- Przykro mi z tego powodu, Matildo - odparł. - Przyrzekam, że nie będę pani zadręczać. I wyślę panią do Stoke Fleming, jak tylko Lucy poczuje się na tyle dobrze, żeby móc podróżować.

Dlaczego nie? - pomyślała ze smutkiem. - On, a już na pewno Rhoda, nie będą sobie życzyć, żeby ona i mała przebywały w jego domu w Londynie. To niewątpliwie dobry ojciec chrzestny, który z całego serca pragnie szczęścia tego dziecka, ale ma przecież swoją pracę, no i Rhodę.

Doktor po chwili zaczął mówić o Lucy.

- Czuje się nieszczęśliwa, boli ją gardło, ma gorączkę i kaprysi, a przede wszystkim tęskni do rodziców. Liczę na to, że zdoła pani ich do pewnego stopnia zastąpić. Myślę, że się do pani przywiązała. - Przerwał mu radiotelefon. Zwolnił i słuchał długi czas, po czym rzekł: - Spóźnię się o godzinę, Henry. Daj znać sali operacyjnej. Jeśli to możliwe, przejmij ten ostatni przypadek. Jak się ma ten chłopiec? Dobrze, obejrzę go przed operacjami. Bądź tam, dobrze? Do widzenia.

- Jaki chłopiec? - zagadnęła Matilda, która lubiła wszystko wiedzieć.

- Sympatyczny młodzieniec ze złamaniem kręgosłupa. Wczoraj wieczorem wpadł pod samochód.

- Wczoraj wieczorem? To pan operował w nocy, a potem przyjechał tu do Roseanne i... do nas?

- Jazda bardzo uspokaja - odparł opanowanym głosem.

- Powinien pan być w łóżku.

- Nie potrzebuję dużo snu i święcie obiecuję, że nie zasnę za kierownicą.

- Wcale się nie niepokoję, doktorze Scott-Thurlow.

- Przypuszczam, że nie ma sensu prosić pani o zwracanie się do mnie po imieniu?

- Nie ma w istocie...

- Czy mogę wiedzieć dlaczego? - Jechał szybko autostradą. Kiedy nie odpowiadała, rzekł: -A zresztą nie ma to specjalnego znaczenia.

Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało. W końcu doktor przerwał milczenie.

- Obawiam się, że nie mamy czasu na lunch po drodze. Mavis da pani coś do zjedzenia po przyjeździe. Musi mi pani wybaczyć, że udam się prosto do szpitala. Może pogadamy sobie wieczorem, jak wrócę do domu.

- Świetnie. -I dodała impulsywnie: - Ktoś dopilnuje, jak mam nadzieję, żeby coś pan tam zjadł. Nie można pracować z pustym żołądkiem.

Powstrzymał się od stwierdzenia, że wiele razy tak właśnie postępował.

- Moja pielęgniarka dba o mnie troskliwie - rzucił od niechcienia.

Matilda siedziała cicho, obserwując mijaną okolicę, i tylko od czasu do czasu zerkała na jego spokojny, surowy profil oraz na duże, zadbane ręce trzymające kierownicę.

Zwolnił na przedmieściach. Kluczyli wąskimi uliczkami, po czym wyjechali na Whitehall i Trafalgar Square, następnie na Pall Mall, Orchard Street i skręcili w prowadzącą stamtąd wąską uliczkę. Była to właśnie Blenheim Street. Wąskie domy po obu stronach miały łukowe okna i wachlarzykowate okienka nad frontowymi drzwiami. Doktor zatrzymał auto. W tej

chwili otworzyły się drzwi domu i niezwykle starannie ubrany starszy mężczyzna zszedł po kilku schodkach spiesząc im na spotkanie.

- Ach, Twigg. Panna Finch przyjechała nam pomóc przy Lucy. Matildo, to jest Twigg. Wraz z żoną prowadzi mi dom. Walizka jest w bagażniku, Twigg. Wstąpię na chwilę do domu, ale za kilka minut muszę jechać. Dopilnuj, żeby panna Finch zjadła lunch, dobrze?

Mówiąc to prowadził ją do domu. Twigg postawił walizkę i otworzył drzwi do małego kwadratowego holu. Hol był uroczy, z czerwonym dywanem i obrazami, widocznymi dobrze w świetle kinkietów. Pokój, do którego weszli, też był ładny. Łukowe okno, wychodzące na ulicę, zasłonięte było perkalową firanką w bładoniebieski, zielony i różowy wzór harmonizujący ze wspaniałym dywanem na posadzce. Umeblowanie stanowiły szafki i stoliki z różanego drewna oraz wygodne kanapki i foteliki. Matildzie spodobał się ten pokój już po jednym szybkim spojrzeniu. Odpowiadał dokładnie jej gustowi i, mimo całej elegancji, panowała w nim przytulna atmosfera.

- Przepraszam najmocniej za to popędzanie. Jak mówiłem, będziemy mogli porozmawiać dziś wieczorem. Tymczasem Mavis i Twigg zajmą się panią. Najpierw jednak chodźmy na górę do Lucy.

Weszli po uroczych, krętych schodach w tylnej części holu na wąską galeryjkę. Doktor skręcił jeszcze w mały korytarzyk i otworzył drzwi znajdujące się na jego końcu. Pokój był duży i jasny, z wielkim oknem wychodzącym na ogród, kwiecistymi zasłonami i sprzętami pomalowanymi na biało. Lucy siedziała na łóżku. Jej smutna buzia, groteskowo zniekształcona przez świnkę, rozpromieniła się na ich widok. W nogach łóżka leżały dwa psy. Jednym z nich był Theobald. Matilda ledwie go poznała, tak był teraz dobrze

odżywiony, czysty i wesoły. Drugim był śliczny złocisty labrador, Oba zeskoczyły na podłogę i doktor pogłaskał je idąc w stronę łóżka.

- Pani Theobald, a to Kanada - rzekł do Matildy. Schylił się i pocałował wyciągającą ku niemu rękę dziewczynkę. - Oto nasza Lucy. Kochanie, przywitaj Matildę. Przyjechała, żeby być z tobą.

Matilda pochyliła się, żeby ją ucałować.

- Wiedziałam, że pani przyjedzie. Wujek James tak mówił. Po mamie to najbardziej lubię panią. Będzie pani tu mieszkać?

- Póki nie wyzdrowiejesz na tyle, żeby pójść do szkoły, a potem to już twoja mama wróci do domu.

Doktor położył jej rękę na ramieniu.

- Zaraz przyjdzie Mavis i zaprowadzi panią do jej pokoju. Potem zje pani oczywiście lunch. - Pocałował znów Lucy i uwolniwszy się delikatnie z uścisku jej małych rączek szedł ku drzwiom. Tam się zatrzymał i zawrócił.

- Nie podziękowałam pani - zwrócił się do Matildy i ją też pocałował.

Już otwierała usta, żeby zrobić sarkastyczną uwagę, ale powstrzymała się ze względu na Lucy.

- Tatuś zawsze całuje mamusię, kiedy wychodzi - zauważyła mała. Matilda zdobyła się na uśmiech i schyliła się, żeby pogłaskać Theobalda. Wyglądała na spokojną, gdy uniosła głowę i zobaczyła, że doktor znika w drzwiach z Kanadą u nogi.

- Dlaczego wabi się Kanada? - spytała.

- Bo to suka rasy labrador - wyjaśniła Lucy.

Drzwi się otworzyły i weszła pani Twigg - postawna starsza kobieta o małych błyszczących oczkach.

- Witam, panno Finch. Mam nadzieję, że będzie pani z nami dobrze. Pokażę pokój. Twigg przygotował pani w jadalni skromny lunch. Radzi jesteśmy bardzo, że będzie pani z Lucy. Robiłam, co mogłam, ale nie

jestem już taka młoda. A ona jest kochaną małą dziewczuszką i nie sprawia wielu kłopotów.

- To nie potrwa długo, kochanie. Czy ty sypiasz po południu?

- Czasami. Teraz jednak sobie poczytam, zanim pani wróci. Czy mogę panią nazywać Matildą?

- Oczywiście.

Matilda nie odeszła daleko. Jej pokój znajdował się tuż obok, a okno wychodziło na róg ogrodu. Był równie ładny jak pokój Lucy.

- Mam nadzieję, że niczego tu nie brak - rzekła pani Twigg - a jeśli jeszcze czegoś będzie trzeba, proszę nam powiedzieć.

- Ślicznie tu, pani Twigg. Czy mam teraz zejść na lunch? Rozpakować się mogę później.

Poszła za panią Twigg na dół do sporego pokoju naprzeciwko salonu, gdzie czekał jej mąż.

- Szklaneczkę sherry, panno Finch? Zje pani zupy?

Zjadła lunch z apetytem. Pani Twigg okazała się doskonałą kucharką. Doktor jest człowiekiem bardzo zajęтым, pomyślała, ale kiedy wraca do domu, ma wszystko, czego można sobie życzyć.

Wróciwszy na górę znalazła Lucy rozgorączkowaną i niespokojną.

- Przebiorę cię - oznajmiła. - I umyję ci buzię i ręce, dobrze? Zaraz będzie ci chłodniej. - Poprawiła poduszki, dała małej napić się herbaty i zaproponowała, że jej poczyta. W dzbanuszkę na toaletce znalazła termometr i zmierzyła małej temperaturę. Była bardzo wysoka, ale doktor Scott-Thurłow z pewnością da sobie z nią radę. Usiadła przy łóżku i zaczęła czytać małej opowieść o lwie i czarownicy.

Lucy wkrótce usnęła. Po jakimś czasie Matilda wstała, poszła do swojego pokoju, zostawiając otwarte drzwi, i zabrała się do rozpakowywania tych kilku ubrań, które ze sobą wzięła. Potem znów wróciła

i cicho usiadła. Kiedy Lucy się obudzi, będzie na pewno spocona i spragniona.

I tak rzeczywiście było. A na dodatek przywoływała matkę. Matilda zwilżyła gąbką jej opuchniętą buzię, otarła łzy, dała jej się napić i owinąwszy w jeden z lekkich wełnianych koców wzięła ją na kolana.

- Opowiedz mi o mamusi i o tatusiu, a jeśli masz, kochanie, ochotę płakać, to płacz, nie mam nic przeciwko temu.

Lucy pociągała nosem.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? Rhoda mówi, że jestem beksa.

- Co tam Rhoda! Powiedz mi, czy twoja mama jest ładna?

Lucy zabrała się do opisywania matki, pochlipując od czasu do czasu. Była rozpalona i Matilda zastanawiała się, czy nie powinna zostawić jej w łóżku. Dziecko jednak było teraz spokojniejsze. Zapukano do drzwi i weszła pani Twigg.

- Filiżanka dobrej herbaty - oznajmiła cicho.

- Postawię tacę na tym stoliczku, żeby mogła pani jej dosięgnąć. Dla Lucy są lody. Pan James mówi, że może je jeść.

- Dlaczego wujek nie wraca do domu? - dopytywała się Lucy.

- Wkrótce tu będzie, moja ty śliczności. Pozwól teraz pannie Finch wypić herbatę, a sama zjedz lody.

- Ona ma na imię Matilda.

Pani Twigg spojrzała pytająco na Matildę.

- Nikt nigdy nie nazywa mnie panną Finch...

- Wobec tego, panno Matildo, dobrze?

Lucy pokiwała z zadowoleniem głową i pani Twigg wyszła z pokoju. Matilda marzyła o herbacie; dzień był osobliwy i czuła się zmęczona.

Lucy zjadła lody i szybko zasnęła w ramionach Matildy, która wpatrując się w dzbanek z herbatą

usiłowała wymyślić sposób, jak go osiągnąć nie budząc przy tym dziecka.

Upływały minuty, a ona myślała jedynie o tym, jak zdobyć filiżankę herbaty. Po dziesięciu minutach, długich jak dziesięć godzin, do pokoju wszedł doktor. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Bez słowa podszedł do Matildy, wziął z jej kolan Lucy i położył ją do łóżka. Mała nawet się nie poruszyła, gdy badał jej puls i dotykał czoła.

- Proszę wypić swoją herbatę - poradził Matildzie.
- Długo tu już stoi? Może chciałaby pani świeżej?
- Ta jest jeszcze dobra. Chce pan trochę?
- Piłem w szpitalu. - Usiadł na foteliku naprzeciwko. - Jak się czuła po południu?
- Miała gorączkę i była w płaczkliwym nastroju, ale uspokoiła się i zjadła lody. Zasnęła tak nagle, że nie zdążyłam położyć jej z powrotem do łóżka.

Podsunał jej talerz z małymi kanapkami. Wzięła sobie jedną i poczęstowała go resztą, bo wyglądał na głodnego. Zjadł kanapkę.

- Omówmy teraz pani obowiązki. Przez najbliższe dni będzie pani zaabsorbowana, ale potem Lucy poczuje się lepiej i wtedy będzie pani miała trochę czasu dla siebie. Mavis zastąpi panią przez godzinę po południu. To niedługo, niemniej może pani posiedzieć w ogrodzie. Dzwoniła pani do matki?

- Nie. - Patrzyła na niego nie widzącym wzrokiem.
- To było głupie pytanie. - Zmarszczył brwi. - Niech pani idzie i robi to teraz. Ja tu zostanę.

Wypiła drugą filiżankę i pospieszyła na dół. Spytała Twigga, skąd mogłaby zadzwonić. Aparaty telefoniczne znajdowały się niemal we wszystkich pokojach. Poszła do salonu, gdzie ujrzała Kanadę warującą przed drzwiami balkonowymi. Pogłaskała ją, zastanawiając się, czy ktoś chodzi z nią na spacer. Telefon odebrała jej matka, ale Matilda nie traciła czasu na pogaduszki.



- Napiszę - obiecała. - Muszę wracać teraz do Lucy. Wszystko w porządku.

Kiedy wróciła, Lucy wciąż spała. Siedzący w fotelu doktor również usnął, wyciągnąwszy przed siebie długie nogi. Musiała je przekroczyć, żeby dostać się na swoje miejsce.

Rozważała, czy ma go obudzić. Chciał z nią rozmawiać, ustalić jej obowiązki, z drugiej jednak strony potrzebował na pewno snu. Patrzyła z czułością na jego twarz i nagle uświadomiła sobie, że on się jej przygląda spod na wpół przymkniętych powiek.

- Obowiązki pani są dość nieokreślone, jak się obawiam. - Bez wstępu przystąpił do rzeczy. - Najbardziej chyba zbliżone do roli zastępczej matki. I o ile się orientuję, jest pani jedyną osobą, która w tej roli przypadła do gustu Lucy.

- Zapewne jednak ma jakieś ciotki czy kuzynki albo... albo może panna Symes?

- Ciotki i kuzynki rozrzucone są po świecie, a Rhoda... Zupełnie nie wiem, dlaczego musiała pani ją wspomnieć - powiedział głosem niemal tak łagodnym jak jego twarz.

- Dlaczegoż nie miałabym jej wspominać? - rzekła ze złością. - Ma wyjść za pana, więc myślałam, że pan ją o to poprosi. - Rzuciła mu wyzywające spojrzenie, choć w duchu zadrżała na widok jego miny, którą można by określić jedynie jako dziką.

- Nie przypuszczałem, że odczuwa pani potrzebę interesowania się takimi kwestiami. Jeśli zechce pani łaskawie słuchać bez przerywania, to zorientuję panią, czego z grubsza może pani oczekiwać podczas pobytu tutaj.

Wyliczył jej obowiązki głosem chłodnym i uprzejmym. Mówił krótko i na koniec zapytał:

- Czy jeszcze czegoś chciałaby się pani dowiedzieć?  
- Kiedy potrząsnęła przecząco głową, powiedział:

- Wobec tego proponuję, żeby zaczerpnęła pani świeżego powietrza w ogrodzie. Zostanę tu przez pół godziny.

Zeszła więc na dół, wyszła bocznym wyjściem do ogrodu i spacerowała między kwietnymi rabatami. Była głupia, że zrobiła tę uwagę o Rhodzie, przecież to nie jej sprawa. Będzie musiała przeprosić.

Kiedy wróciła, Lucy już nie spała. Siedziała na kolanach doktora oglądając razem z nim jedną ze swoich książeczek. Teraz doktor posadził ją z powrotem do łóżka.

- Będę u siebie, gdyby mnie pani potrzebowała. Twigg da pani znać, kiedy kolacja będzie gotowa. Lucy miała dziś dzień pełen emocji, zakładałam więc, że spałaszuje kolację i szybko zaśnie.

Ruszył w stronę drzwi, a Matilda za nim.

- Przepraszam za swoją obcesowość - rzekła. - Nie mam pojęcia, dlaczego tak mówiłam.

- Zawsze wiedziałem, że rudowłose kobiety mają zwyczaj mówić, nim pomyślą. Pani nie stanowi wyjątku. - Uśmiechnął się do niej.

Po jego wyjściu zajęła się Lucy. Umyła ją i ubrała w świeżą koszulę nocną. Potem mała zjadła na kolację zupę i następne lody. Teraz Matilda zaczęła na głos czytać ulubioną powieść ich obu - *Tajemniczy ogród*. Często przerywała i rozmawiały zgadzając się, że przyjemnie jest mieć jakieś sekretne miejsce. Obiecała małej, że jak już wyzdrowieje, wyruszą razem na poszukiwanie takiego miejsca.

- Jesteś naprawdę bardzo miła - wyszeptała Lucy i zasnęła. Dziesięć minut potem weszła cicho pani Twigg.

- Twigg już podaje kolację, gdyby zechciała pani zejść na dół.

- Czy zdążę się przygotować, pani Twigg?

- Nie ma potrzeby, panienko, nie byndzie dziś gościów.

Zeszła na dół, próbując w myślach konwersacji, jaką zapewne przyjdzie jej prowadzić z doktorem. Pogoda to temat całkiem bezpieczny, także noga Roseanne, jego dziadkowie i Theobald; jest mnóstwo neutralnych tematów.

- Tutaj. - Głos dobiegał z salonu, poszła więc tam i zdumiała się widząc doktora w smokingu. — Ma pani czas na wypicie jakiegoś trunku - rzekł i zaproponował, żeby siadła. - Ja jem kolację na mieście, ale Twigg dopilnuje, by dostała pani wszystko, czego zapagnie. - Nalał jej szklaneczkę sherry. - Sądzę, że jest pani zmęczona, miała pani pracowity dzień.

- Nie bardziej niż pan, jak myślę - odparła Matilda, postanawiając być uprzejmą. - Przypuszczam, że niewiele ma pan czasu dla siebie. - Zatrzymała wzrok na Theobaldzie i Kanadzie, które siedziały obok siebie nie spuszczając oczu ze swego pana. - Kiedyż znajduje pan czas na wyprowadzanie psów na spacer?

- Przed śniadaniem. Twigg wyprowadza je w ciągu dnia, a ja wychodzę z nimi znowu przed pójściem do łóżka.

- Sądziłam, że chce pan wyjść... - Zbyt szybko wypita swoją sherry.

- Jak tylko zjawi się Rhoda. Musi pani poczekać chwilę, żeby się z nią zobaczyć. - W jego głosie czaiło się rozbawienie, a pojawiło się i w oczach, gdy Matilda odparła:

- O tak, to będzie miłe spotkanie.

Rhoda przyszła parę minut później i Matilda obracając pustą szklaneczkę w dłoni żałowała, że tak szybko ją opróżniła.

Rhoda wyglądała ślicznie, ale ostatecznie zawsze tak było. Jasnozielona atłasowa suknia, aksamitny płaszcz i włoskie pantofle z błyszczącymi klamerkami. Pocałowała doktora w policzek, mówiąc:

- Kochanie, doprawdy jesteś gotów. Cieszę się.

Kolacje u Mathersonów są zawsze takie zabawne i spotyka się na nich odpowiednich ludzi... twoich przyszłych pacjentów... - Roześmiała się, a Matilda dostrzegła niechęć natychmiast ukrytą pod maską uprzejmości.

- Jak widzisz, przyjechała Matilda - powiedział.  
- Lucy jest zachwycona i ja też, bo mogę ją zostawić w dobrych rękach.

Rhoda uśmiechnęła się do Matildy.

- Potrafi pani pielęgnować równie dobrze jak gotować? Prawdziwy wzór doskonałości z pani. - Nie ukrywała swojej pogardy.

Matilda nie umiała zareagować na taką złośliwość. To doktor wystąpił w jej obronie.

- Pewnego dnia jakiś szczęściarz pojmie ją za żonę. - Mówiąc to posłał Matildzie uśmiech przez cały pokój, a ona ten uśmiech odwzajemniła, uświadamiając sobie jednocześnie nagłe zażenowanie.

- No, lepiej chodźmy, kochanie - rzuciła ostrym tonem Rhoda, obserwująca ich oboje. - Wpadniemy do mnie po kolacji u Mathersonów, tak wiele jest do zaplanowania.

Wychodząc z pokoju skinęła głową w stronę Matildy, za to doktor zatrzymał się przy jej krześle.

- Śniadanie jest o ósmej - powiedział. - Mam nadzieję, że spać będzie pani dobrze. Dobranoc, Matildo.

Zjadła kolację samotnie. Jedzenie było wyśmienite, ale prawie nie zauważyła, co ma na talerzu, zajęta myśleniem o nieodpowiedniości Rhody do roli żony doktora. Ona go zniszczy albo będzie usiłowała zrobić z niego modnego chirurga. On tymczasem pragnie służyć swoimi umiejętnościami każdemu, kto tego potrzebuje, bez względu na to, czy ma pieniądze, czy nie. Teraz było dla niej oczywiste, że to człowiek zamożny, ale odnosiła wrażenie, że dla niego to mało

istotne. Zdumiała się po raz setny: dlaczego, u licha, zamierza ożenić się z Rhodą?

Podziękowała Twiggowi i powędrowała na górę. Lucy smacznie spała. Nie mając nic lepszego do roboty wzięła kąpiel i poszła do łóżka.

Krótko po szóstej zbudził ją żaloszny głosik Lucy.

Zakrzętała się koło małej, a potem zaproponowała, że jej poczyta, bo przecież było jeszcze bardzo wcześnie.

- Chce mi się pić - rzekła Lucy. - Chciałabym herbaty.

- Dobrze, czemu nie? Zbiegnę do kuchni i zrobię dla nas obu herbatę. Muszę zagotować wodę, więc nie wrócę wcześniej niż za jakieś pięć minut.

Kiedy schodziła na dół, w domu panowała cisza. Miała nadzieję, że psy, które pewno śpią w kuchni, nie zaczną szczekać na jej widok. Kuchnia spodobała jej się z tym wyszorowanym do białości stołem i rzędem błyszczących patelni na ścianach oraz starym kredensem ze stosami talerzy. Był tu piecyk, ale jej wzrok przyciągnął czajnik elektryczny. Napełniła go wodą, włączyła, rozejrzała się za psami, ale nigdzie ich nie dojrzała, i ruszyła na poszukiwanie dzbanka do herbaty i filiżanek. Potem zrobiła herbatę, znalazła mleko, cukier i tacę, następnie skierowała się ku drzwiom. Wtedy właśnie do kuchni wbiegły psy, a za nimi wszedł doktor w starych spodniach i bawełnianym swetrze.

Jeśli się zdziwił, to tego nie okazał. Powiedział dzień dobry lekko pytającym tonem.

- Lucy obudziła się wcześniej i chce herbaty.

- Matilda zdawała sobie sprawę, że włosy ma rozczochrane i niedbale zarzucony szlafrok. Popatrzyła na psy szczerzące do niej zęby.

- Byłyście na spacerku — powiedziała głupawo.

- To nasza codzienna poranna przechadzka. Czy dla mnie też znajdzie się filiżanka herbaty? - Matilda

pokiwała głową, wziął więc tacę i poszli na górę w asyście psów.

Lucy była zachwycona. Psy wskoczyły na łóżko i usadowiły się koło niej. Doktor postawił tacę na stoliku i też przysiadł na brzegu łóżka.

- Dobrze spałaś? - zapytał. - Pokaż język.

Matilda nalała herbatę i siadła na krześle przy oknie, żeby tam ją wypić. Zagadnięta o to, jak minęła noc, odparła, że spały z Lucy bardzo dobrze.

Doktor wypił herbatę i zabierał się do wyjścia.

- Śniadanie punktualnie o ósmej - przypomniał. Podszedł do drzwi i stamtąd popatrzył na Matildę.

- Ale najpierw niech się pani ubierze.

Ubierała się w szalonym tempie, mruczając z niezadowolaniem. Zebrała swoje wspaniałe włosy do tyłu, spinając je ciasno w kok, w mylnym przekonaniu, że wygląda poważniej, a tymczasem upodobniło ją to do małej dziewczynki, której zawiązano włosy do góry przed kąpielą.

Po zejściu na dół udała się prosto do kuchni po śniadanie dla Lucy, ale Twigg wyjął jej z rąk tacę.

- Ja dopilnuję, żeby Lucy zjadła śniadanie, proszę pani. Maisie - skinął w stronę młodej dziewczyny przygotowującej grzanki - zostanie z nią, póki nie zje pani śniadania. Pan jest już w jadalni.

W jadalni zastała gospodarza czytającego gazetę przy stole. Wstał, podsunął jej krzesło i poprosił, żeby jadła to, na co ma ochotę.

- Czy dla pani nie jest za wcześnie? - zapytał uprzejmie.

- Ależ nie. Tylko czy nie powinnam być przy Lucy?

- Nie. Byłem u niej ponownie. Temperatura jej spadła, co jest dobrą oznaką, ale muszę panią ostrzec, że jak poczuje się lepiej, może zrobić się marudna.

Podtrzymawał rozmowę do końca posiłku. Musiała przyznać, że znakomicie grał rolę gospodarza, jak-

kolwiek jego powściągliwość wydawała jej się lodowata. Teraz podniósł się z krzesła ze słowami usprawiedliwienia.

- Rzadko przyjeżdżam do domu na lunch, ale dziś wrócę wcześniej niż zwykle. Proszę pamiętać, że powinna pani wyjść na godzinkę po lunchu. Pani Twigg posiedzi przy Lucy.

Przechodząc koło niej położył jej lekko rękę na ramieniu. Długo jeszcze po jego wyjściu czuła to dotknięcie.

Wieczorem, spacerując w ogrodzie, doszła do wniosku, że dzień upłynął jej przyjemnie. Gdy siedli do kolacji, doktora wezwano do szpitala i do tej pory go nie było, choć minęły już dwie godziny. Twigg poinformował ją, że zdarza się to często, wtedy nigdy nie wiadomo, kiedy wróci. Kolację zjadła sama.

W ciągu dnia zajmowała się Lucy, która, jak to przewidział doktor, przejawiała skłonności do marudzenia. Wymyślała więc rozmaite gry i czytała na głos książkę, aż zaschło jej w gardle. Wreszcie po lunchu mała zdrzemnęła się i wtedy mogła wyruszyć na krótką przechadzkę po spokojnych uliczkach w pobliżu domu. Pani Twigg siedziała tymczasem przy Lucy i robiła na drutach. Kiedy Matilda wróciła, był akurat czas, żeby małą doprowadzić do porządku, zanim jej ojciec chrzestny, zgodnie z obietnicą, przyjdzie do domu i razem wypiją herbatę. Wyglądał na zmęczonego, ale zmusił się do zabawiania dziecka, toteż podwieczorek był udany.

Teraz zrobiło się już całkiem ciemno. Upewniła się więc, że Lucy śpi, i sama też się położyła. Czuła przyjemne zmęczenie, nie usnęła jednak - leżąc nasłuchiwała, czy doktor nie wraca. O pierwszej usłyszała, że stąpa na palcach i cicho zamyka drzwi swego pokoju.

Dni uciekały jeden po drugim. Pod koniec tygodnia

Lucy juŹ biegaa po domu i obie z Matildą spędzaa wiele czasu grając na cztery ręce na fortepianie w małym saloniku. Obie trochę fałszowaay, niemniej sprawiaao im to przyjemnoś. Teraz rzadko widywaay doktora. Śniadanie jady, gdy jego juŹ nie było. Sam to zaproponował, a Matilda ze sposobu, w jaki to zrobił, odniosaa wrażenie, Ź jej towarzystwo przy śniadaniu musi go męczy. Rzadko teŹ pojawiał się w domu na lunchu, a kiedy jadł tu kolację, jego lodowata kurtuazja stopniowo powstrzymywała ją od robienia uwag na jakikolwiek temat prócz pogody. Dosza więc do wniosku, Ź jej nie lubi. A jeśli tak, to dlaczego prosił ją, Źeby przyjechała i opiekowała się Lucy?

Mimo tych melancholijnych myśli, nie przestawała go kochać.

Był ciepły dzień. Zabrała Lucy do ogrodu i grały tam w mini-golfa, w czym trochę przeszkadzały im psy. Nie wspominao więcej o wyjeździe do Stoke Fleming, Matilda zaczęła więc żywić nadzieję, Ź doktor zrezygnował z wysłania ich tam. MoŹe weźmie urlop i wybierze się gdzieś z Lucy i Rhodą, a jej juŹ wkrótce nie będzie potrzebować. Przypuszczenia te rozwiała wizyta Rhody, która pojawiła się któregoś popołudnia. Matilda zaprowadziła Lucy na górę, Źeby odpoczeła, a sama posza posiedzieć w ogrodzie.

- Jak pani moŹe wytrzymać na słońcu? - spytała Rhoda po zdawkowym powitaniu, sama pieczołowicie lokując się w cieniu malowniczych srebrzystych brzoź.

- GdzieŹ jest to dziecko? Czy jeszcze nie wyzdrowiało? Najwyższy czas, Źeby je wysłać do Devon. Kategorycznie odmawiam ciągnięcia jej dłuŹej ze sobą. James przez cały dzień i przez pół nocy nosa nie wyściubi z tego swojego idiotycznego szpitala, a ja mam po dziurki w nosie usprawiedliwiania go przed wszystkimi. Rozmówię się z nim i skłonię do wysłania was obu.



Wtedy można będzie znowu prowadzić bardziej cywilizowane życie. Mogłaby pani tam z nią zostać aż do powrotu do szkoły.

- Och, to niemożliwe - odparła Matilda, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - Przyjechałam tu, żeby zająć się Lucy, dopóki nie wyzdrowieje. Jest już zdrowa, mogę więc jechać do domu. - Uśmiechnęła się słodko. - Dlaczego nie mogłaby wyjechać na wakacje z panią? O ile mi wiadomo, pan doktor zaprosił ją na całe wakacje?

- Kogo obchodzi, co pani wiadomo - rzuciła szorstko Rhoda. - James płaci, a pani zrobi to, czego on sobie życzy.

- Może nie chce, żebym jechała do Stoke Fleming...  
- Głos Matildy był samą słodyczą.

- Zobaczymy - odparła Rhoda i zaśmiała się drwiąco.

- Co takiego zobaczymy? - spytał doktor stojący przy drzwiach tarasowych.

- Okropnie mnie przestraszyłeś, mój drogi. Omalibyśmy plany. Matilda nie może się doczekać wyjazdu Lucy na wieś.

- Wcale nie - zaprotestowała Matilda. Mówiła spokojnie, ale jej zielone oczy płonęły.

Doktor wychylił się za balustradę bezpośrednio nad miejscem, gdzie siedziała, musiała więc spojrzeć w górę i prosto na niego.

- To szkoda - rzekł cicho - bo załatwiłem wszystko tak, żebyście pojechały do Devon za dwa dni.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Doktor Scott-Thurlow miał minę typu „a mówiłem”.

- Wspomniałem, że pojedziecie do Stoke Fleming, jak tylko Lucy wydobrzeje, a skoro nie wyraziła pani sprzeciwu, przystąpiłem do załatwiania wyjazdu.

- A nie mówiłam? - Rhoda zaśmiała się krótko.

- Ma pani szczęście, Matildo, trafiają się wakacje za darmo. Kochany, odwołam swoje zobowiązania. Dokąd pojedziemy? Czy na Wyspach Bahama nie będzie za gorąco?

Doktor patrzył na Matildę, a ona nie mogła odwrócić oczu, bo trzymało ją jego spojrzenie. Teraz jednak zwrócił się do Rhody.

- Wysyłają mnie do Leidy na seminarium i na kilka wykładów do Oslo, a stamtąd muszę wracać najszybciej jak się da. Mam sporo zaległych pilnych spraw.

Matilda słuchała tego z satysfakcją, Rhoda ze źle skrywaną złością.

- A co ja mam robić? - spytała ostro. - Nie sądź, że będę się włóczyć po Europie, gdy ty będziesz wygłaszał ponure odczyty o kościach. Burchowie proszą, żebym pojechała do Bangkoku. Wybiorę się z nimi.

- To brzmi wspaniale. Nie ma powodu, żebyś się nudziła, gdy ja będę wykładał. Poza tym mielibyśmy niewiele czasu dla siebie. Takie posiedzenia wiążą się z uczestnictwem w kolacjach i rozmaitych przyjęciach, a muszę ze wstydem powiedzieć, że rozmawiamy na nich o sprawach zawodowych.

- Przypuszczam, że dziś nie wracasz do tego idiotycznego szpitala. Mamy być na kolacji u Burchów, czyżbyś zapomniał?

- Nie, telefonowałem i usprawiedliwiłem się pół godziny temu. Oczekują ciebie i zapewniali, że znajdą jakiegoś pana na moje miejsce.

Matilda obserwująca Rhodę stwierdziła, że złość uczyniła ją niemal brzydką. Szkoda, że doktor tego jakby nie zauważał, bo uśmiechał się do niej czarująco.

- To ja idę - oznajmiła lodowatym tonem Rhoda.

Odprowadził ją do samochodu i wrócił po chwili do Matildy.

- Nie ma pani nic do powiedzenia? - spytał.  
- Wyczuwam, że dusi pani w sobie słowa, którymi chciałyby mnie skarcić.

- To prawda, ale na co by się to zdało?

- Absolutnie na nic, niech więc pani przełknie urazę i posłucha mnie. Proszę łaskawie jutro spakować swoje rzeczy i Lucy też, i koniecznie zadzwonić do swoich rodziców. Ja już rozmawiałem o tym z pani matką. Wrócę o ósmej pojutrze. Niech będzie pani wtedy gotowa do wyjazdu. Powinniśmy przyjechać na miejsce w porze lunchu. Jest tam gosposia, kucharka mojej matki, już na emeryturze. Nazywa się Emma Truscott. Wszystko będzie gotowe na przyjazd was obu. Proszę, niech Lucy przebywa jak najwięcej na powietrzu, ale niech się nie męczy. Zresztą nie muszę tego pani mówić, jest pani rozsądną młodą kobietą. Za dwa tygodnie z okładem Lucy będzie musiała wracać do szkoły, a wtedy skończą się pani obowiązki.

- Dlaczegoż bym miała przełknąć urazę? Przychodzi pan tutaj bez pytania...

- To jest mój dom - przypomniał jej łagodnym tonem.

- Świetnie pan wie, co mam na myśli, panie Scott-Thurlow. Czuję się tak, jakby mnie... podeptano.

- Spojrzała na niego. - Zrób to, zrób tamto, idź tu, idź tam! Nie mam pojęcia, dlaczego to wytrzymuję.

- Tak, wytrzymuje pani. - Zauważył, że się zaczerwieniła. - A kiedy zwraca się pani do mnie tak surowo nazywając mnie panem Scottem-Thurlowem, uświadamiam sobie, jakim jestem despota.

Mówił tak potulnym głosem, że roześmiała się.

- To już lepiej. Wypijemy tu herbatę? Niech pani sprowadzi Lucy, a ja dam znać Twiggowi.

Lucy była zachwycona perspektywą wyjazdu do Devon. Podczas podwieczorku zarzucała ojca chrzestnego pytaniami.

- Muszę wracać do szpitala i obejrzeć kilku pacjentów - powiedział w końcu. Wstał, ale poczekał, aż Lucy go pocałuje. Matildzie skinął głową na odchodnym.

Dopiero wieczorem dowiedziała się od Twigga, że doktor pojechał do Birmingham, gdzie operował.

- Ręczę, że to jakiś ciężki przypadek. Wzywają, więc jedzie.

W dniu wyjazdu Matilda i Lucy wstały wcześniej i zeszły na śniadanie po siódmej, ale zastały doktora już przy stole.

- Dzień dobry - powiedział wesoło.

- Zostaniesz tam z nami? - zapytała Lucy.

- Nie, muszę tu wrócić dziś wieczorem. Jutro jadę do Leidy.

- Ale przyjedziesz nas odwiedzić? - upierała się Lucy.

- No cóż, zobaczymy. Czy zabierzemy Kanadę i Theobalda?

- Oczywiście - powiedziały chórem Matilda i Lucy i dwie pary oczu popatrzyły na niego z wyrzutem.

- One i tak mało pana widują - oświadczyła Matilda. Uśmiechnął się drwiąco.

- Czasami podejrzewam, że pragnęłaby pani zmienić mi życie, Matildo.

Zakrztusiła się kawą.

- Wcale nie, - Powiedziała to tak żarliwie, że się roześmiała.

- Nie umie pani oszukiwać - zauważył.

Wyruszyli punktualnie. Lucy siedziała na tylnym siedzeniu, obok niej Kanada i Theobald. Matilda usiadła obok doktora i zajęła się wyszukiwaniem bezpiecznych tematów do konwersacji. Spróbowała rozmowy o pogodzie, o urokach wsi, przyjemności jazdy wczesną porą, ponieważ w odpowiedzi słyszała tylko pojedyncze słowa i pomruki, zamilkła.

- Nie musi pani ze mną gawędzić, Matildo. Całkowicie zadowala mnie jazda z panią milczącą u boku - odezwał się nagle.

Wciągnęła z oburzeniem powietrze i oznajmiła:

- Jeśli zechce pan zatrzymać się na chwilę, to zamienię się miejscem z Lucy.

- Nie, to nie jest konieczne. - Odpowiedział jej całkiem serio, chociaż podejrzewała, że w duchu pęka ze śmiechu. - Obraziłem panią? Przepraszam. Nie mam wprawy w mówieniu słodkich słówek.

- Czas, żeby pan już miał - rzuciła Matilda ze złością. - Będzie pan musiał zmienić swoje obyczaje, kiedy się pan ożeni.

- Podejrzewam, że zostaną zmienione.

Zasepiła się. Pomyślała, że Rhoda byłaby zadowolona z męża zaabsorbowanego pracą i zezwalającego jej na prowadzenie życia towarzyskiego, które chyba uwielbiała.

- Czy ona pojechała do Bangkoku? - spytała zdradzając swe myśli.

- Wczoraj - odpowiedział normalnym tonem, bez zdziwienia. - Burchowie byli zachwyceni, że może z nimi jechać. Myślę, że będzie się doskonale bawić.

Spojrzawszy na zaczerwienioną po uszy Matildę doktor się uśmiechnął.

- Pani matka sugerowała, żebyśmy wstąpili do

was na kawę. Nie możemy zostać tu długo, ale będzie pani miała czas zabrać rzeczy, które mogą być pani potrzebne.

Zjechał z autostrady na boczną drogę.

- Dziękuję. Czy Lucy może się kąpać w morzu?

- Jeśli dzień będzie gorący i nie zostanie w wodzie długo. Chce pani popływać?

- Tak.

Potem już nie rozmawiali, aż do chwili, kiedy zjechał pod jej plebanię.

Cała rodzina wyszła im na spotkanie. Matilda zastanawiała się, czy doktor porównuje ciepłe i spontaniczne przyjęcie z lodowatymi i nader poprawnymi manierami Rhody. Trudno było to odgadnąć z wyrazu jego twarzy i nienagannego zachowania. Esmé zabrała Lucy do kuchni, a reszta towarzystwa podażyła za nimi. Drzwi z kuchni na ogród były otwarte i światło słoneczne wpadało do wygodnego, choć skromnego pomieszczenia pachnącego świeżo mieloną kawą i niedawno upieczonym ciastem. Matilda zauważyła, że nos doktora zarejestrował te zapachy z uznaniem.

- Spieszycie się - powiedziała pani Finch - myślę więc, że lepiej wypijmy kawę tutaj. Tilly, ty pewno chcesz iść na górę i zabrać jakieś sukienki. Hilary przygotowała ci kilka.

- Pójdę teraz, kiedy będziecie nalewać kawę. Dziękuję, Hilary.

Pobiegła na górę. W sypialni znalazła starą torbę, którą sobie na zmianę pożyczaly, obok niej kilka bawełnianych sukienek pięknie wyprasowanych i złożonych. Leżał tam też jej kostium kąpielowy i stare sandały, akurat na plażę. Spakowała torbę, dodała jeszcze gruby sweter i poszła z powrotem do kuchni. Pamiętając o życzeniu doktora połknęła swój kawałek ciasta, wypijała szybko kawę i oznajmiła, że gotowa jest do odjazdu. Upłynęło jednak następnych dziesięć

minut, zanim pożegnała się ze wszystkimi i zanim załadowali się do samochodu.

- Jaka szkoda, że nie odwiedzi pan swoich dziadków - rzekła w pewnym momencie Matilda. - Praktycznie przejeżdżamy koło ich drzwi.

- Nie ma czasu. Wstąpię tam w drodze powrotnej.  
- Byli znowu na autostradzie i doktor jechał teraz z maksymalną dozwoloną szybkością. Rolls-royce pędził bez wysiłku do przodu pożerając kilometry, o wiele za prędko, zdaniem Matildy. Wkrótce znaleźli się na drodze prowadzącej stromo przez las do Stoke Fleming. Wioska ciągnęła się po obu stronach drogi - małe pomalowane na biało i różowo domki kryte strzechą, z ogródkami pełnymi kolorowych kwiatów i wspaniałym widokiem na plażę i morze w dole. Skręcili w wąską uliczkę i minawszy otwartą bramę zajęchali przed drzwi domku pomalowanego na tradycyjnie różowy kolor, otoczonego sporym trawnikiem i bujnymi kwiatowymi rabatami. Doktor przechylił się do tyłu, otworzył drzwi Lucy i psom, po czym wysiadł i obszedłszy samochód skierował się ku Matildzie.

- To istny raj! - orzekła. - Co za szkoda, że nie może pan tu z nami zostać. Przydałyby się panu wakacje. - Przecięła ręką powietrze. - Cała ta przestrzeń i widok, no i ten prześliczny domek...

Uświadomiła sobie, że on na nią patrzy z uśmiechem na ustach. Jak zwykle, pomyślała z irytacją, mówi, co jej ślina na język przyniesie. Odwróciła od niego wzrok.

- Wygląda to na urocze miejsce, Lucy się tu spodoba - powiedziała sztywno.

Dziewczynka pobiegła wraz z psami do domu. Matilda słyszała jej głos, piskliwy z podniecenia. Po chwili wybiegła stamtąd, tym razem w towarzystwie niskiej, okrągłej kobiety o siwych włosach i różanych policzkach, która podeszła prosto do doktora. Ten ją uściskał, pocałował i oznajmił głosem tak zadowolono-

nym, jakiego Matilda nigdy dotąd u niego nie słyszała, że jest jeszcze ładniejsza niż dawniej.

- A to Matilda - dodał. - Przyjechała dopilnować, żeby ten psotny diablik nic sobie nie zrobił i dotrzymać ci towarzystwa.

Matilda uśmiechnęła się do tej kobiety o miłej, dobrotliwej twarzy i podała jej rękę ze słowami:

- Jestem pewna, że będziemy tu bardzo szczęśliwe.

- Nie wątpię w to, kochaneczko. Takiej ładnej dziewczyny to nie widziałam już od lat. No to wchodźcie do środka, zjecie obiad. A pan musi dobrze wypocząć przed drogą powrotną. Jaka szkoda, że musi pan wyjechać.

Poprowadziła ich przez sionkę do dużego, niskiego pokoju, gdzie pod oknem stał nakryty stół. Na wyfroterowanej podłodze leżały puszyste dywany, na nich stały duże krzesła z miękkimi obiciami. Na jednym siedziała kocica nie zwracająca uwagi na wbiegające i wybiegające z pokoju psy.

- Chcecie na pewno się umyć, dziewczyny. Po schodach na górę i pierwsze drzwi na prawo. Tylko nie siedźcie długo, bo ja już podaję obiad - rzekła Emma Truscott. Matilda słyszała, jak pędząc do kuchni poprosiła doktora o zanieśenie walizki do sypialni.

Kiedy zeszły na dół, doktor nalewał ze staromodnej wazy supę na głębokie talerze. Matilda posadziła Lucy przy stole.

- Czy mogłabym w czymś pomóc, panno Truscott? - spytała.

- Mów mi Emma, kochaneczko, i siadaj. Zrobiłam supę z rukwi wodnej, a na drugie najlepsze kurczę, jakie widziałam od dawna. - Rzuciła aprobowane spojrzenie Matildzie. - Lubisz dobre jedzenie, prawda? Jesteś ładnie zbudowana. Nie gustuję w tych wszystkich fikuśnych jadłach. Lubię, kiedy kobieta wygląda jak kobieta. Zgadza się pan ze mną, prawda?



Matilda pochyliła zarumienioną twarz nad talerzem. Doktor odpowiedział na to pytanie z powagą, ale była świecie przekonana, że go rozbawiło.

Na stół wjechał pokrojony kurczak z przybraniem, po nim maliny ze śmietaną. Podczas jedzenia Emma relacjonowała różne drobne lokalne wydarzenia. Zaraz po obiedzie doktor zaczął się szykować do odjazdu.

- Nie pojedzie pan, dopóki nie posiedzi sobie z dziesięć minut w spokoju - nakazała pani Truscott.  
- Bóg wie, co by się stało z pańskimi wnętrznościami, gdyby pan poszedł prosto do tego swojego auta i pognał przed siebie.

Matildę zdumiało, że doktor zrobił posłusznie to, co mu mówiono. Poszedł i siadł na ogrodowym krzeselku z widokiem na morze. Lucy wdrapała mu się na kolana, a tymczasem Matilda pomagała sprzątać ze stołu. Po dziesięciu minutach doktor wstał, uściskał małą i oznajmił zdecydowanym tonem, że odjeżdża.

- No cóż, jeśli pan musi, to trudno - zamruczała Emma z niezadowoleniem - ale proszę jechać ostrożnie.

Obiecał jej to, uściskał serdecznie, ucałował Lucy i skinał głową Matildzie. Jednakże w połowie drogi przystanął, zawrócił, oparł jej ręce na ramionach i czule ją pocałował. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że gdyby przestał się kontrolować, pocałunek ten wyglądałby zgoła inaczej. Wbrew rozsądkowi, wiedząc, że będzie tego gorzko żałować, oddała mu pocałunek. Bez słowa obrócił się, wsiadł do samochodu i machając ręką odjechał.

Matilda zobaczyła, że Emma bacznie ją obserwuje.

- Przypuszczam, że pomyliłam mu się z Rhodą  
- powiedziała szybko.

Głupawa uwaga spotkała się z ciętą repliką.

- Ja wiem i ty wiesz, kochaneczko, że wcale się nie pomylił. Idź teraz się rozpakować, a potem zabierz

Lucy na plażę. Tam na końcu ogrodu za furtką jest ścieżka, schodzi się nią nad morze.

Piasek był ubity i czysty. Szły samym skrajem wody z sandałami w rękach, rozkoszując się ciepłym powietrzem i pluskiem morza obmywającego im stopy,

- Chciałabym, żeby wujek James był z nami - powiedziała Lucy. - Nie rozumiem, dlaczego on nie może mieć wakacji?

- Musiał jechać do Holandii. Jest bardzo zajęтым człowiekiem.

- Czy myślisz, że przyjdzie nas odwiedzić?

- Nie wydaje mi się. - W głosie Matildy czaił się smutek. Jeśli w ogóle będzie miał czas, to spędzi go na pewno z Rhodą.

- A ja myślę, że tak - oznajmiła Lucy. - Lubi mnie i ciebie też. Pocałował cię przecież na do widzenia.

- Dlatego że całował nas wszystkie, czyż nie?

- Ale ciebie o wiele dłużej - zauważyła Lucy.

Następnego dnia zrobiły zakupy dla Emmy, a potem poszły na plażę. Tym razem zabrały wiaderko i łopatkę dla Lucy i włożyły na głowę słomkowe kapelusze dla ochrony przed słońcem. Mimo to wieczorem Matilda miała mnóstwo piegów na nosie. Usiłowała się ich pozbyć jeszcze tego samego wieczoru za pomocą specjalnego kremu, jednak bez efektu. Ostatecznie nie przeszkadzały jej tak bardzo, nikt ich przecież nie oglądał - oczywiście miała na myśli doktora. Wskoczyła do łóżka i z zachwytem popatrzyła na pokój. Dom był ślicznie urządzony, miał ładne meble, perkalowe zasłony i miękkie dywany. Ze smakiem go zmodernizowano, tak że zachował nastrój przytulności, mimo srebrnej zastawy stołowej i wytwornej pościeli na łóżkach. To prawdziwy dom - schronienie, myślała. Ciekawe, jak często on tu przyjeżdża i czy była tu Rhoda. Szkoda, że nie może spytać o to Emmy.

Nie musiała pytać. Nazajutrz, podczas śniadania,

Emma samą ją poinformowała, że pan James przyjeżdża zawsze sam.

- Panna Symes, ta, z którą ma się żenić, przyjechała pewnego popołudnia, ale ona nie cierpi tych okolic. Lubi obce kraje. Bóg wie, jak oni z tego wybrną, gdy się już pobiorą... Jeśli w ogóle się pobiorą.

Matilda mruknęła coś nieokreślonego, rada, że Lucy odeszła od stołu, żeby zanieść okruszyny mewom.

- Myślę - mówiła dalej Emma - że widziałas już sporo z prawdziwego pana Jamesa. - Obrzuciła uważnym spojrzeniem Matildę. - Pan James to dobry człowiek i urodzony dżentelmen, co rzadko chodzi w parze. - Wyraźnie czekała, co odpowie Matilda.

- Tak, jest bardzo dobry...

- Przystojny też, no i ma pieniądze... Mnóstwo młodych kobiet chciałoby mieć go dla siebie.

Matilda pomyślała, że ona chciałaby go nawet bez jednego pensa, lecz miłość to nie wszystko.

- On już znalazł kogoś, z kim się chce ożenić - rzekła sucho. Smarowała grzankę dżemem i nie widziała wzroku Emmy.

- Znalazł, kochaneczko, i dobrze, że znalazł, bo już za długo nie miał nikogo, kto by go kochał i kogo on by kochał. - Nagle zmieniła temat: - Jeśli pójdziecie do rzeźnika i przyniesiecie kilka kiełbasek, to zrobicie sos do wołowiny. Trzeba też zebrać maliny w ogrodzie. Idziecie teraz na plażę?

Matilda wstała od stołu z uczuciem ulgi. Emma była bardzo miła, ale nic nie ukryło się przed jej wzrokiem.

Dni mijały przyjemnie i niespiesznie. Po tygodniu obie były pięknie opalone. Matilda nauczyła Lucy pływać. Nabrały też apetytu.

- Utyję - mówiła Matilda, dokładając sobie bitej śmietany.

Wiezorami chodziły na spacer, Emma zaś zo-

stawała w domu i zasiadała do czytania gazety w staromodnych okularach na czubku nosa. W niedzielę szły całą trójką do kościoła - potem wracały na pyszny, świąteczny obiad. Do pełni szczęścia brakowało tu jedynie Jamesa!

Nic nie wskazywało na to, żeby ładna pogoda miała się zepsuć. Tego dnia Matilda wstała wcześniej, gdy Lucy jeszcze spała, włożyła starą bawełnianą sukienkę, związała włosy z tyłu głowy i zeszła na dół zająć się cotygodniowym praniem. Emma tymczasem przygotowywała śniadanie. Kiedy wyprała się pierwsza partia, Matilda włożyła czystą bieliznę do kosza, napełniła znowu pralkę i poszła wieszać pranie na sznurach w końcu ogrodu. Przyjemnie było rozwieszać na słońcu czyste koszule i sukienki, kiedy słyszało się tylko szum fal, szczebiot mew i od czasu do czasu jakiś samochód zjeżdżający ze wzgórza drogą do Slapton Sands. Umocowała ostatnią sztukę bielizny klamerką, wzięła kosz i poszła do domu. Emma zrobiła już na pewno śniadanie.

Odstawiła koszyk, gotowy na przyjęcie następnej partii prania, i weszła do kuchni. Stał tam doktor oparty o ścianę i rozmawiał z Emmą, która smażyła bekon. Miał na sobie koszulkę polo, drelichowe spodnie i wyglądał jak ktoś, kto od jakiegoś czasu przebywa na wakacjach.

Matilda wciągnęła powietrze, czując, że twarz zalewa jej rumieniec, nie mogła na to jednak nic poradzić. Oczy roziskrzyły jej się radością. On przez chwilę patrzył na nią badawczo.

- Dzień dobry, Matildo - powiedział. Oderwał wzrok od jej twarzy i popatrzył na nią całą. Matilda żałowała, że ma na sobie starą sukienkę. - Dobrze pani wygląda. To bez wątpienia zasługa kuchni Emmy.

- Jeśli ma pan na myśli to, że utyląm... - Zaczęła gniewnie.

- Nie, nic podobnego. Dokładnie taka figura... jak trzeba, tak mi się wydaje, A jak Lucy?

- Czuje się doskonale. Też nabrała ciała i wygląda świetnie.

- A zatem obie wypiękniałyście.

Pozostawiła to bez odpowiedzi.

- Przyjechał pan niedawno?

- Koło trzeciej rano.

- O trzeciej... dlaczego nie jest pan w łóżku, przecież musi pan być śmiertelnie zmęczony.

- Wcale nie. Załatwiłem sobie dwa dni urlopu. Liczę na to, że pani i Lucy zniesiecie moje towarzystwo.

Nie udało jej się powstrzymać szerokiego uśmiechu, a kiedy i on się uśmiechnął, ruszyła bezwiednie w jego stronę, pragnąc znaleźć się blisko niego, powiedzieć, jak się cieszy, że go widzi.

"- Bekon gotowy i jajecznica taka jak pan lubi - wtrąciła się na szczęście Emma. - Proszę siadać i jeść śniadanie.

Matilda oderwała wzrok od doktora i oznajmiła, że sprowadzi Lucy. Pobiegła na górę. Zastała małą wychylającą się przez okno.

- Słyszałam szczekanie i wydawało mi się, że to Kanada i Theobald, ale to przecież niemożliwe. Chciałam zobaczyć, czy nie ma kogoś na plaży.

- Chodź, kochanie, na dół, zjesz śniadanie - powiedziała Matilda i zaśmiała się głośno widząc zachwyty i zaskoczenie Lucy, gdy psy powitały je u drzwi kuchni.

- Wujku Jamesie, przyjechałeś! To szczekał Theobald i Kanada! - Rzuciła mu się na szyję, piszcząc z radości i całując go w policzki. Minęło kilka minut, zanim wszyscy usiedli do śniadania.

Doktor spałaszował całą górę jajecznicy, pewno nie jadł kolacji i nie zatrzymywał się po drodze.

- Zostaniesz tu długo? - dopytywała się Lucy.

- Dwa dni, maleńka. Powiedz mi więc, na co masz największą ochotę.

Spojrzał przez stół na Matildę.

- Będzie piękny dzień - wtrąciła szybko, a on przytaknął wciąż się w nią wpatrując. Zaczerwieniła się i nie potrafiła nic powiedzieć.

- Umiem pływać, wujku Jamesie - przerwała ciszę Lucy. - Czy możemy pójść na plażę, żebym ci pokazała? Robię już sześć ruchów rękami, jeśli Matilda jest przy mnie.

- Nie przychodzi mi do głowy nic przyjemniejszego. Emmo, czy są tu gdzieś moje kąpielówki?

- W szafie, gotowe do włożenia. - Uśmiechnęła się do niego promiennie i zaoferowała jeszcze grzanki.

- Czy możemy urządzić sobie w ogrodzie piknik? We czwórkę, z kanapkami i tak dalej. Czy popsułoby ci plany, gdybyśmy zjedli obiad wieczorem? Okropnie mi żal tracić to wspaniałe słońce...

- Wszystko będzie zgodnie z pańskim życzeniem, panie James - odparła Emma. - Tak przyjemnie, jak jest ktoś w tym domu. Będę tęsknić, kiedy wszyscy wyjedziecie.

- Znowu przyjedziemy, obiecuję.

Matilda obserwując twarz Emmy, wiedziała, co ona myśli. Gdyby miała przyjechać Rhoda, to woli zostać sama, piękne dzięki.

Po śniadaniu doktor zaskoczył Matildę, bo wszystko pozmywał, kiedy ona i Emma sprzątały ze stołu, porządkowały pokój, a potem poszły słać łóżka.

- Pospieszcie się - zawołał za nimi. - Lucy, nakarmisz psy? Wszystko jest przygotowane na stole w ogrodzie.

Zostawili Emmę, która zamierzała przyjemnie sobie posiedzieć, jak to określała, i poszli na plażę. Piasek był już gorący. Matilda siadła na kamieniu, włożyła słomiany kapelusz z szerokim rondem i szukała czegoś w wielkiej słomianej torbie. W domu przezornie włożyła kostium, a na wierzch sukienkę, gdyż krępowała się

Jamesa, ale w torbie miała bikini Lucy oraz trzy puszki lemoniady, pączki, maść odkażającą i kilka plastrów z opatrunkiem. Zabrała też książkę, choć nie sądziła, żeby miała okazję ją czytać. Przynajmniej taką miała nadzieję.

I nadzieja ta nie okazała się płonna. Doktor z dość nieprzystępnego znanego chirurga przeistoczył się w kochającego wujka, skorego do wszelkich dziecięcych zabaw. Zbudowali z piasku wspaniały zamek z kanałem do morza i fosą. Potem jedli pączki, a tymczasem fala zmyła całą budowlę.

- Czas popływać - rzekł doktor. Ściągnął koszulę i spodnie, złapał Lucy i chichoczącą wsadził do wody. Matilda zdjęła swoją sukienkę i poszła za nimi.

Lucy musiała się popisać swoimi wyczynami pływackimi, potem zadowolona usiadła na piasku, a fale obmywały jej stopy. Doktor z Matilda wypłynęli dalej w morze. Teraz we trójkę leżeli na brzegu zalewani przez niewielkie fale. Potem na prośbę Lucy budowali znowu zamek. Matilda, posłusznie napełniając wiaderka piaskiem i podając je budowniczym, rozmyślała, jak wspaniałym ojcem byłby James. Pograżyła się w snach na jawie, w których widziała gromadkę małych Scottów-Thurlowów, dzieci jej i Jamesa. Ze snów tych wyrwały ją ponaglenia budowniczych. Po powrocie z plaży urządzili z Emmą piknik w ogrodzie, a potem leżeli nic nie robiąc aż do podwieczorku. Późnym popołudniem, kiedy było już chłodniej, wybrali się na spacer. Zeszli drogą do Slapton Sands, wciąż pełnego wycieczkowiczów, chodzili boso po piasku rozbryzgując wodę na samym brzegu morza. W domu wzięli prysznic, przebrali się i zasiedli do jednego z najbardziej smakowitych posiłków Emmy. Grzyby z czosnkiem, pieczone kurczę z nadzieniem, smażone ziemniaki ze szparagami, piure ze szpinaku i młodej kukurydzy, a na deser ciasto z owocami i bitą śmietaną.

Siedzieli przy stole, póki Matilda nie zabrała Lucy, już na pół śpiącej, i nie zaniósła jej do łóżka. Kiedy wróciła na dół, Emma wniosła kawę do salonu i znowu tam posiedzieli. Po jakimś czasie doktor zauważył, że w taki przepiękny wieczór przyjemnie byłoby przejść się po plaży. Matilda zarzuciła więc sweter na ramiona i raz jeszcze zeszła z nimi nad morze.

- Naprawdę powinien pan pójść wcześniej do łóżka — rzekła. - Nie wolno przeciągać struny.

- Boi się pani, że mógłby mi się ześlizgnąć skalpel? Nigdy nie spotkałem dziewczyny tak chętnej do organizowania mi życia.

Dotknęła ją kpina w jego głosie, zbudziła się w niej złość.

- Niech pan nie plecie głupstw. Nie wyobrażam sobie, żeby znalazł się ktoś, kto by to potrafił, a jeśli tak, to Rhoda.

- Myli się pani. Nic i nikt, oprócz jednej osoby, nie zdoła zmienić mojego życia.

Już otwierała usta, żeby go zapytać, któż to taki, ale w porę się powstrzymała. Nie jej sprawa. Czy to jednak znaczy, że nie zamierza ożenić się z Rhodą?

- Cóż za piękny wieczór. Mamy cudowne lato.

- Rzeczywiście, to najcudowniejsze lato w moim życiu - odparł, jakby z nutą wesołości w głosie.

Następny dzień przebiegał podobnie, z tą różnicą, że wieczorem nie poszli na spacer, gdyż po wczesniej kolacji doktor przygotowywał się do wyjazdu.

- Musisz jechać, wujku? - spytała płaczącym głosem Lucy.

- Tak, ale będę pamiętał o tych spędzonych tu dwu pięknych dniach. I kto wie, może znowu przyjadę, zanim wrócisz do szkoły.

Uniósł ją do góry i pocałował. Potem uściskał Emmę.

- Droga Emmo, dziękuję... - cmoknął ją w różany policzek.



Matilda zastanawiała się, czy powinni wymienić uścisk dłoni, czy też doktor skinie jej po przyjacielsku głową na odchodnym.

Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Położył ręce na jej ramionach i też ją pocałował. Był to delikatny, długi pocałunek, który przyspieszył jej tętno i zaparł dech, choć niecałkowicie, bo, wbrew zdrowemu rozsądkowi, pocałunek oddała. Co tam przyszłość, co tam Rhoda, ta chwila należała do niej.

Doktor wyprostował się i patrzył na nią przez chwilę. Nic nie powiedział, tylko znów się pochylił i pocałował ją raz jeszcze, tym razem mocno.

Machały mu na pożegnanie stojąc w drzwiach domu.

- Pocałował cię dwa razy - zauważyła Lucy.  
- Myślę, że wujek James bardzo cię lubi, Matildo.  
- Pora iść do łóżka, maleńka! - odezwała się Emma. - Wujek... wujek lubi nas wszystkie. Jakież przyjemne były te ostatnie dwa dni. Objedzone jesteśmy strasznie, i to przez niego.

Zapędziła małą na górę. Dało to Matildzie kilka minut na zebranie rozstrojonych myśli i wyrzuty z powodu tego, że oddała pocałunek. To było oczywiście wspaniałe, ale teraz płoniła się ze wstydu, że dała mu poznać swoje uczucia. Zmarszczyła brwi - pocałunki Jamesa były więcej niż przyjacielskie.

Rano przyszedł list od Esme z wiadomościami. Jedna z dziewcząt z majątku chodzi teraz z synem mleczarza, lady Fox ma nowy i okropny kapelusz, sir Benjamin poplątał wiersze czytając lekcję w niedzielę, a kot Nelson złapał szczura w ogrodzie. „I muszę ci coś zdradzić - pisała Esme swoim zamaszystym pismem. - Jak myślisz, kto niedawno odwiedził mamę? Ta Rhoda, co to zamierza wydać się za naszego doktora Scotta-Thurlowa. Była u Roseanne, która jest prawie zdrowa, i wracając wstąpiła do nas. Opowiadała, jak przyjemnie spędzają z doktorem

czas na przyjęciach i tym podobne rzeczy. Jaka szkoda, mówiła, że Roseanne nie będzie mogła być jedną z druhen, bo ona i pan Scott-Thurlow już wkrótce wezmą ślub. Nienawidzę jej". Ja też, pomyślała Matilda z goryczą. Jego pocałunki nic nie znaczyły, po prostu taki ostatni wybryk przed ożenkiem. Spojrzała raz jeszcze na list. Rhoda powiedziała też, jak pisała Esme, że wysłała Matildzie zaproszenie na ślub, bo okazała się taka dobra i pracowita.

- Fe! -wykrzyknęła Matilda tak głośno, że Emma popatrzyła na nią ze zdumieniem.

Dni bez pana Scotta-Thurlowa mijały wolno. Robiły wciąż to samo. Chodziły na takie same spacery, grały w te same gry, spędziły wiele czasu na plaży. Matilda o nim nie wspominała i na zewnątrz była wesoła jak zawsze, za to Lucy powtarzała wiele razy dziennie, że chce, by wujek wrócił.

Od doktora nie było wiadomości. Zadzwoił dopiero ostatniego dnia zapowiadając, żeby go oczekiwały nazajutrz w porze lunchu i żeby były gotowe do wyjazdu wczesnym popołudniem.

Następnego dnia - ostatniego - myślała ponuro Matilda, to zelektryzowana myślą, że zobaczy doktora, to bolejąca nad tym, czego dowiedziała się z listu Esme - poszły na plażę jeszcze raz. Przygotowała ubrania na drogę i zostawiła dość miejsca na dopakowanie w ostatniej chwili bawełnianych sukienek. Nie zawracała sobie głowy makijażem ani fryzurą. Zebrała włosy i związała je z tyłu głowy kawałkiem sznurka zabranym z kuchni.

Budowały zamek z piasku, kiedy usłyszały psy. Leniwe, ochryple szczekanie Kanady i podniecone ujadanie Theobalda. Trzy osoby szły w ich stronę: doktor, jakiś mężczyzna i kobieta.

- Mama! Tata! - krzyknęła Lucy rzucając łopatkę i pędząc im na spotkanie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Matilda stała i patrzyła, jak doktor zbliża się do niej. Nie spieszył się, co dało jej czas na opanowanie radości, i jednocześnie podsycenie w sobie oburzenia z powodu jego ostatniego zachowania. Kiedy podszedł, zareagowała chłodno na jego radosne powitanie.

- Zaskoczyłem panią? Matt i Jean przyjechali wczoraj, parę tygodni wcześniej, niż myśleli. Zostaną tu, a Lucy z nimi. Matt porozumiał się już z panną Tremble. Czy jest pani gotowa do wyjazdu? Podwieżę panią do Abner Magna. Muszę być w Londynie dziś wieczorem. Chodźmy, pozna pani Jean i Matta.

- Stał teraz uśmiechnięty i wyglądał na zadowolonego.  
- Podoba mi się ten sznurek - dodał.

Popatrzyła na niego wyniośle.

- Nie spodziewałam się pana. Przyszliśmy na plażę na ostatnie kilka godzin.

- Podoba mi się w każdym razie to coś koszulowego, co ma pani na sobie.

Zrobiła się czerwona jak rak. Biała bawełniana sukienka, którą włożyła, była bez rękawów i z dużym dekoltem. Zanim jednak zdążyła coś odpowiedzieć, przedstawił ją rodzicom Lucy, po czym całe towarzystwo ruszyło z powrotem do domu. Tam doktor nie próbował z Matildą rozmawiać, tylko powędrował do ogrodu, zostawiając ją z Jean.

- Tak bardzo jesteśmy pani wdzięczni - mówiła Jean. - James twierdzi, że cudownie radzi sobie pani z dziećmi, zwierzętami i nieszczęśliwymi wypadkami. Z pewnością była pani dla Lucy dobrą opiekunką.

Nie powiedział nam tylko, jaka pani jest ładna. Nie, nie ładna, piękna. I strasznie mi się podobają pani włosy.

- Obawiam się, że nie jestem odpowiednio ubrana. Pójdę się przebrać. Pan doktor zechce pewno wyjechać zaraz po lunchu, nie mogę pozwolić mu czekać. Odwiezie mnie do domu.

Jean uśmiechnęła się do niej. Kusiło ją, żeby powtórzyć temu uroczemu stworzeniu w skromnej sukience to, co mówił James, ale nie zrobiła tego. Ponadto mieli przed sobą długą jazdę i dość czasu na rozmowę.

- Wypakuję ubrania Lucy, dobrze? Przywiozłam ze sobą też trochę rzeczy. - Pocałowała córkę w głowę. - Chcesz je teraz zobaczyć, kochanie?

Poszły na górę we trójkę. Matilda wzięła prysznic, potem włożyła dwuczęściowy kostium w kwiaty, pończochy i zgrabne pantofelki. Zrobiła też makijaż, a włosy spięła w kok. Patrząc w lustro pomyślała, że nie wyglądała tak od przeszło dwu tygodni.

Doktor nie żartował zapowiadając, że wyjadą zaraz po lunchu. Załadował walizkę Matildy do bagażnika, gwizdnął na psy, każdemu powiedział „do widzenia”, a potem już tylko czekał na Matildę, która żegnała się ze wszystkimi. Lucy ścisnęła ją długo zapowiadając, że jeszcze się spotkają, rodzice dziewczynki wielokrotnie jej dziękowali. Emma omal się nie popłakała i wcisnęła jej tuzin jajek i garnek śmietany z nadzieją na przyszłe odwiedziny. Jaka szkoda, myślała parząc na wsiadającą do auta Matildę, że drogi pan James nie wybrał sobie jej na żonę, zamiast tej wyniosłej damy, która zignorowała ją całkowicie w czasie jedynej tu wizyty. Jean popatrzyła na nią z uśmiechem. Widziała raz tylko Rhodę i też jej nie polubiła. Nie miała wątpliwości, że ona i Emma myślą o tym samym.

- Dobrze byłoby, gdyby Matilda i wujek James się pobrali - Lucy ich myśli wyraziła słowami.

Jednakże gdyby znalazły się w samochodzie wraz z nimi, miałyby co do tego wątpliwości. Matilda i James prowadzili chłodną, zdawkową rozmowę.

- Mamy przed sobą długą jazdę, może więc dałaby pani spokój tym grzecznościowym zwrotom i była sobą?

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi - odparła nie patrząc na niego.

- Nie? No cóż, na wszystko przyjdzie czas. Kontynuujmy wobec tego naszą konwersację. Czy pani wie, że Roseanne wychodzi za mąż we wrześniu? Ślub ma być wielkim wydarzeniem.

Na końcu języka miała pytanie, czy jego ślub też będzie taki wspaniały. Nie wyobrażała sobie, żeby z Rhodą w roli panny młodej mogło być inaczej. Powstrzymała się jednak w porę i została wynagrodzona pytaniem z jego strony.

- Nie sądzi pani, że ślub powinien być sprawą rodziny i grona najbliższych przyjaciół?

- No, tak. Wszyscy inni przychodzą z prostej ciekawości.

Zbliżali się do Abner Magna, kiedy doktor zjechał na boczną drogę.

- Zjechał pan z trasy - zauważyła zgoła zbytecznie.

- Wypijemy u babci herbatę. - Spojrzał na zegarek.

- Jest dopiero czwarta, właściwa pora. Spodziewają się nas.

- Ale mama oczekuje...

- Koło wpół do szóstej lub szóstej.

Wioska wygrzewała się w popołudniowym słońcu. Panowała cisza, gdy przemknął przez nią i zajechał pod dom. Wyszedł ich powitać Slocombe.

- Cieszę się, że widzę pana i pannę Finch. Pańscy dziadkowie są w oranżerii. Za parę minut przyniosę tam herbatę. Może chciałyby się pani odświeżyć?

Matilda przygładziła włosy, umalowała na nowo usta i powróciła do holu. Czy ma się udać do oranżerii sama? Najwidoczniej nie, bo doktor siedział na schodach i czekał. Mogła przewidzieć, że tak będzie - zawsze okazywał dbałość o innych. Miała nadzieję, że Rhoda to docenia.

Starsi państwo siedzieli wśród palm i paproci. Drzwi na taras otwarto, ale i tak było tu gorąco. Psy pobiegły prosto na trawnik i Matilda zazdrościła im w duchu.

- Ogromnie się cieszę, moja droga, że znów cię widzę - rzekła pani Scott-Thurlow zapraszając ją, żeby siadła obok niej. - Teraz musisz mi opowiedzieć o swoim pobycie w Stoke Fleming. Jaki to miły domek, prawda?

Po herbacie babcia doktora zaproponowała:

- Może poszlibyście na dziesięć minut do ogrodu i trochę pospacerowali przed dalszą drogą? Moje róże są wspaniałe, naprawdę musicie je zobaczyć.

Matilda zdziwiła się, że doktor wstał posłusznie.

- Doskonały pomysł, idziemy, Matildo.

Miała ochotę odmówić, ale ponieważ pani Scott-Thurlow patrzyła na nią łaskawym wzrokiem, wydało jej się to niemożliwe.

- Myślałam, że się pan spieszy - powiedziała, kiedy szli przez trawnik w towarzystwie psów.

- A tak, ale stwierdziłem, że zawsze jest czas na to, na co się ma ochotę.

- O, róże. - Doszli na koniec ogrodu, gdzie różane rabaty tworzyły wspaniałe barwny kobierzec poprętkany ścieżkami krótko przyciętej darni.

Doktor przystanął i spoglądał na swoją towarzyszkę marszcząc lekko brwi.

- O co pani chodzi, Matildo? W Stoke Fleming myślałem... Zresztą mniejsza o to. - Położył jej ręce na ramionach. - Zawsze była pani szczerą i otwartą - uśmiechnął się - niekiedy zbyt otwartą, a teraz coś pani ukrywa. Chciałbym wiedzieć, dlaczego?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Odsunęła się od niego, a on jej na to pozwolił.

- W takim razie nie powiem tego, co zamierzałem powiedzieć. Powiniennem był to zrobić tam, w Stoke Fleming.

- No cóż, rada jestem, że pan tego nie zrobił, bo nie chcę wiedzieć - odparła.

- Nie? - Patrzył na nią z namysłem, twarz miał spokojną i pogodną. - Gdyby kiedyś zmieniła pani zdanie, to wie pani, gdzie mnie znaleźć. - Nagle się uśmiechnął. - Obejrzeliśmy róże, a teraz lepiej wyruszajmy w drogę.

Pożegnali się. Potem starsi państwo towarzyszyli im do drzwi i patrzyli, jak odjeżdżają.

- Miła dziewczyna - skostatowała jego babka.

- Da sobie z nim świetnie radę.

W świetle późnego popołudnia Abner Magna sprawiała wrażenie spokojnej miejscowości, a ogród plebanii pysznił się kolorami. Powitano ich gorąco, wszyscy byli w domu i czekali z niecierpliwością. Doktor nie chciał jednak zostać na kawę, pożegnał się i wsiadł do samochodu, a psy niechętnie wdrapały się za nim. Powiedział wszystko, co należało: Matilda okazała się niezwykle pomocna, Lucy bardzo się do niej przywiązała, doprawdy jest niezwykle wdzięczny. Żegnał ją z nikłym uśmiechem na twarzy.

• — Szkoda, że nie mógł zostać na kolacji - odezwała się matka. - Czy Esme pisała ci, że była tu Rhoda Symes, Tilly? Jest w trakcie przygotowań do ślubu, jak mówiła. Prosiła, żeby koniecznie ci o tym powiedzieć, bo ciebie to interesuje. Nie lubię jej.

- No, no, moja droga - mitygował ją pastor - musimy się starać polubić każdego.

Tym razem żona się z nim nie zgadzała.

- Nie można polubić kogoś, kogo się nie lubi - oznajmiła z kobiecą logiką.

Pracowite, lecz pełne satysfakcji życie na plebanii wpływało kojąco na Matildę. Któregoś dnia jednak jej serce znów zaczęło bić szybciej. Zobaczyła kopertę zaadresowaną do niej nieczytelnym pismem doktora, którą ktoś położył na jej toaletce. Otworzyła ją drżącą ręką i w środku znalazła czek oraz urzędowo wyglądające pismo napisane na maszynie, sygnowane jego inicjałami. Miała ochotę porwać je na kawałki i odesłać mu z powrotem. Ostatecznie jednak rozsądek zwyciężył. Czek opiewał na sporą sumę. Oznaczała ona buty do gry w piłkę dla chłopców, nowy kapelusz dla matki, upragnioną książkę dla ojca i ubrania dla Esme, Hilary i dla niej samej. Schowała czek do portmonetki, opanowała złość i zeszła na dół na kolację.

Kilka dni później matka wróciwszy ze wsi oznajmiła:

- Spotkałam lady Fox, Tilly. Słyszała, że już jesteś, a Roseanne chce, żebyś ją odwiedziła. - Popatrzyła na piękną i smutną twarz córki. — Mam nadzieję, iż postąpiłam właściwie zapewniając, że przyjdiesz. Bernard musiał wyjechać, a jej brak towarzystwa.

— Pojadę tam jutro, jeśli ojciec pożyczy mi samochód - rzekła Matilda. Pochłonięta była robieniem ciasta z jabłkami i właśnie ucierała masło z mąką.

Był spokojny ranek z lekką mgiełką typową dla późnego lata. Jechała powoli, rozmyślając. Jak już chłopcy i Esme wrócą do szkoły, znajdzie sobie pracę w takiej miejscowości, gdzie nie będzie szansy na spotkanie Jamesa, gdzie nikt go nie będzie znał i kiedy się ożeni z Rhodą, ona nie dowie się o tym. I wkrótce doktor stanie się tylko wspomnieniem. A to pozwoli jej poślubić jakiegoś innego mężczyznę. Myślała tak, ale wiedziała, że to nonsens, bo przecież nigdy o nim nie zapomni.

Roseanne siedziała na szpitalnej werandzie i wydawała się zachwycona odwiedzinami Matildy. Z dumą



demonstrowała, że wygląda jak dawniej, mimo że ma kule.

- Oczywiście będę mogła już chodzić bez tego świństwa, zanim się pobierzemy. Muszę ci opowiedzieć o ślubie... -I opowiadała długo. Jeszcze nie skończyła, kiedy jej przerwano. Przez otwarte drzwi weszła na werandę jedna z siostr, a z nią doktor Scott-Thurlow.

Zobaczył natychmiast Matildę, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił. Usłyszała tylko „dzień dobry” powiedziane łagodnym głosem. Potem poświęcił uwagę Roseanne.

- Pójdę już - rzekła Matilda, modląc się żarliwie, by się na to nie zgodził. Niestety, nie zareagował. Czekał, aż Matilda pożegna się z Roseanne, po czym skinął głową i mile się do niej uśmiechnął. Porywczą stroną jej usposobienia podpowiadała, żeby czymś w niego cisnąć, a ta łagodna zmuszała do łez z powodu jego całkowitej obojętności.

Szpital znajdował się dość daleko od głównej szosy. Matilda z okien samochodu podziwiała rozległą krainę z pięknymi wzgórzami i małymi wioskami. Była właśnie w połowie jednego z podjazdów, kiedy silnik prychnął i zgasł.

- Co teraz? - spytała Matilda otaczającą ją ciszę. Wysiadła i zajrzała pod maskę. Nie na wiele się to zdało, bo miała dość marne pojęcie o tym, co się pod nią znajduje. Wsiadła z powrotem do auta i próbowała zapalić. Dopiero wtedy zauważyła, że nie ma benzyny.

- I to w połowie wzgórza! - wykrzyknęła. - Co teraz?

Odpowiedzią mógł być samochód, który bez wysiłku wjechał na wzgórze i zatrzymał się kilka metrów przed nią. Wsiadł z niego doktor Scott-Thurlow i podszedł do niej bez pośpiechu.

- Nie najlepsze miejsce na zatrzymywanie się, ale bez wątplenia ma pani ku temu swoje powody - rzekł łagodnym tonem.

- Któż z odrobiną oleju w głowie zatrzymywałyby się w połowie wzgórza... - rzuciła z oburzeniem.

- Brak benzyny? - spytał spoglądając na deskę rozdzielczą. Potrząsnął głową w nader irytujący sposób. - A ja sądziłem, że z pani taka rozsądna dziewczyna.

- Jestem rozsądna - zaprotestowała. - Każdemu może się to zdarzyć.

- Naturalnie - odparł ugodowo. - Trzeba tylko być trochę zapominalskim.

- Nie chcę pana zatrzymywać - oznajmiła. - Wkrótce na pewno ktoś będzie tędy przejeżdżał. Albo może pan byłby tak uprzejmy i zatrzymał się przy warsztacie Dunna. To jakieś pół kilometra stąd, tuż przed wjazdem do Littlecote-sub-Magna.

- Będę jeszcze uprzejmiejszy i naleję pani trochę benzyny do baku. - Miała wrażenie, że trochę się z niej naigrawa. - Wożę ze sobą zapasowy kanister.

Mogła się tego spodziewać - to człowiek przygotowany na wszelkie okoliczności. Obserwowała, jak idzie do swojego wozu, bierze kanister, wlewa benzynę do jej baku. Robił to bez pośpiechu, metodycznie. Potem wrócił i otworzył drzwiczki.

- Proszę się przesunąć - powiedział.

- Dlaczego?

- Nie chciałym, żeby mój rolls-royce został roztrzaskany. - Zmierzył wzrokiem tych kilka metrów dzielących oba auta. - Proszę się więc przesunąć, moja droga. Wprawdzie życzyłbym sobie spędzić czas w pani towarzystwie, ale muszę wracać do Londynu.

- Nie musiał pan stawać - burknęła przesuając się na siedzenie obok.

- To jedna z najgłupszych uwag, jakie kiedykolwiek słyszałem. Szkoda, że nie mam czasu, żeby pani wytłumaczyć dlaczego.

Podjechał jej samochodem na szczyt wzgórza i zatrzymał się.

- Teraz niech pani rusza - rzekł wysiadając. - Tylko, na miłość boską, proszę jechać ostrożnie.

Ta uwaga skłoniła ją do pędzenia po wąskiej drodze najszybciej, jak się dało. U stóp wzgórza dogonił ją jednak i wyprzedzając nawet na nią nie spojrział. Oddalał się szybko, aż zniknął jej z oczu.

Wciąż zirytowana przyjechała do domu, a widok lady Fox siedzącej w towarzystwie matki w ogrodzie bynajmniej nie poprawił jej humoru. Obie panie popijały kawę i odwróciły się słysząc Matildę idącą przez trawnik.

- Matildo, wracasz od Roseanne? - Lady Fox była samą słodyczą. - Czy dobrze wygląda? Doktor Scott-Thurlow poradził sobie wspaniale z jej biedną nogą. - Głośno westchnęła. - Jakkolwiek drzę na myśl o rachunku. No, ale człowiek powinien brać najlepszych specjalistów, czyż nie mam racji? - Przyjrzała się Matildzie. - Muszę powiedzieć, że jesteś dość blada. Powinnaś przecież nabrać rumieńców po tych wspaniałych wakacjach w Devon. Opowiadała mi o nich Rhoda.

- Tylko że jej tam nie było - zauważyła Matilda biorąc od matki filiżankę kawy.

- No, nie - pani Fox zrobiła filuterną minę. - Ona nie lubi tamtego domku, o ile mi wiadomo. Doktor Scott-Thurlow spędził tam jednak kilka dni, prawda? A on jej naturalnie opowiedział o wszystkim. Ostatecznie są zaręczeni.

- Ciekawa jestem, co będzie, kiedy się pobiorą? zastanawiała się na głos Matilda. - Czy on będzie spędzał urlop w Stoke Fleming, a ona nadał na licznych przyjęciach?

- Doprawdy nie sędzę, Matildo, żeby ta uwaga była w dobrym tonie - rzekła lady Fox, a jej imponujący biust zafalował niepokojąco. - Co teraz zamierzasz z sobą począć?

- Nie mam pojęcia. - Dopiła swoją kawę. - Wybaczy pani, lady Fox? - Uśmiechnęła się do matki. - Wyłuskam ten bób i wstawię do zamrażarki.

- Taka rozsądna dziewczyna - zauważyła lady Fox. - Musi to być wielkie zmartwienie dla pani, że jeszcze nie wyszła za mąż.

- Dlaczego miałabym się martwić? Matilda mogła wyjść za mąż wielokrotnie, ale czeka, aż pozna właściwego mężczyznę.

- A jeśli nie pozna? - spytała kwaśno lady Fox.

- Och, pozna z pewnością, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Pani Finch uniosła dzbanek z kawą. - Napije się pani jeszcze?

Pani Finch mogła nie mieć wątpliwości co do przyszłości swojej córki, ale Matildę nurtowały sprzeczne uczucia. Marzyła o ponownym spotkaniu z Jamesem. Tylko co by jej to dało? Bo przecież jak się spotkali, ona odpowiadała mu opryskliwie, a on - on się z niej w duchu podśmiewał, mimo że twarz miał poważną. Była głupia, że go pocałowała. Przede wszystkim jednak to on nie powinien był w ogóle jej całować.

Starą poddać się rodzinnej atmosferze. Pracowała więcej niż musiała, w domu i na terenie parafii. Jednakże te same myśli, myśli o nim, uparcie powracały. Po tygodniu w „Western Gazette” znalazła ofertę pracy i powiedziała matce, że zamierza się o nią ubiegać.

- Ktoś potrzebuje pomocy do opieki nad staruszką, pewno lekko zdziecinniałą. Western Highlands to..

- To daleko stąd, kochanie - zauważyła matka. -I taka staruszka może być bardzo męcząca. - Spostrzegła, że Matilda zaciska usta z uporem i szybko dodała: - Chociaż ta zmiana może być dobra dla ciebie. Podobno są tam wspaniałe” widoki.

Matilda pomyślała, że guzik ją obchodzą widoki. Byle daleko od Jamesa.

- Chyba mimo wszystko tam napiszę - oznajmiła

i poszła po papier i pióro. Potem siadła przy małym biurczku w saloniku i zaczęła marzyć o Jamesie. Zamiast niego w drzwiach pojawiła się Esme.

- Widziałaś to? - spytała podekscytowana, wymachując w stronę Matildy numerem „Daily Telegrapha”.

- Jak mogłam widzieć? - odparła Matilda wyrwana ze swego snu na jawie. - To ty masz gazetę.

- No to ci przeczytam. „Planowany ślub panny Rhody Symes z panem Scottem-Thurlowem nie odbędzie się...”

Matilda wyrwała jej gazetę z ręki i dla wszelkiej pewności przeczytała notatkę dwa razy. Chciał jej coś powiedzieć w Stoke Fleming, ale ona mu nie pozwoliła. Mówił, że będzie wiedziała, gdzie go znaleźć, jeśli zmieni zdanie, a potem gdy się zatrzymał i dał jej benzynę, nie wspomniał o tym. W gruncie rzeczy był wręcz nieznośny.

- Co zrobisz? - zapytała Esme.

- A co mam zrobić? To nie moja sprawa.

Esme popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Przecież kochasz się w doktorze od dłuższego czasu. Powinnaś przynajmniej mu to powiedzieć.

- Powiedzieć mu? - Matilda oburzyła się. - Wolę umrzeć.

Siostra zignorowała to dramatyczne oświadczenie.

- Bzdura... kochasz go, Tilly?

- Tak. - Matilda zerwała się nagle, gazeta i papeteria sfrunęły na podłogę. Wypadła z pokoju i pobiegła do gabinetu ojca.

- Tato, mogę pożyczyć samochód? Pojadę tylko do Sherborne, chciałabym złapać pociąg do Londynu.

Ojciec przyjrzał się bacznie jej twarzy, innej niż zazwyczaj, i odgadł, że córka coś bardzo przeżywa.

- Oczywiście, że możesz. Na długo? Bo może być mi potrzebny.

- Och, o tym nie pomyślałam. Nie wiem, jadę spotkać się z Jamesem... doktorem Scottem-Thurlowem i jeśli... to znaczy, mogę wrócić dzisiaj... to zależy.

Pastor odłożył na bok kazanie.

- Hilary wraca z Salisbury po południu. Poproś naczelnika stacji, on jej powie, żeby zabrała samochód sprzed dworca. Będzie mogła przyjechać nim do domu. - Zerknął na zegar stojący na kominku.

- Lepiej się pośpiesz, moja droga.

Pocałowała jego siwą głowę i jak wicher pognęła na górę do swojego pokoju, gdzie zaczęła grzebać w szafie. To ważna rzecz, żeby wyglądała jak najlepiej.

Spojrzenie rzucone na zegarek powiedziało jej, że jeśli chce złapać pociąg, to długie rozważania nad garderobą nie są możliwe. Włożyła dwuczęściowy kwiciasty komplet. Co prawda doktor widział go często, ale kto by się tym przejmował?

Powinna poświęcić nieco czasu makijażowi i fryzurze, ale nie mogła. Wrzuciła więc jeszcze pieniądze i trochę drobiazgów do torebki, pośpiesznie ucałowała rodziców i pobiegła do szopy, w której stało auto. Natknęła się tam na Esme.

- Znowu to włożyłaś - burknęła siostra - oczywiście, jeśli doktor cię kocha, to nie będzie mu przeszkadzać, nawet gdybyś owinęła się workiem.

- No nie wiem - powiedziała impulsywnie Matilda.

- Czasami myślałam... ale wtedy byłam pewna, że on mnie nie...

Wskoczyła do samochodu, a Esme zajrzała przez opuszczoną szybę.

- Wkrótce się dowiesz...

Obejrzała się za siebie, ale Matilda zajęta starterem nie dostrzegła szerokiego uśmiechu na jej twarzy. Rolls-royce wjechał przez otwartą bramę i stanął.

- Jedź do tyłu ostrożnie.

Samochód zapalił i Matilda zaczęła wyjeżdżać tyłem

z szopy. Z boku domu było dość miejsca, aby zawrócić. Zerknęła pobieżnie do wstecznego lusterka, przeraziła się i zahamowała tuż przed rolls-royce'em blokującym drogę.

Doktor Scott-Thurlow wysiadł, a za nim wyskoczyły psy. Esme, nie bez żalu, że ominie ją coś ciekawego, gwizdnęła na nie i poszła na tyły domu.

Doktor podszedł bez pośpiechu do samochodu, otworzył drzwiczki i zaczekał, aż Matilda wysiądzie.

- Wybiera się pani dokądś? - zapytał.

Drżąc z wrażenia, że go widzi, i że o mały włos nie rozbiła jego rolls-royce'a, wykrztusiła z siebie: - Wjechałam niemal na pański samochód. Mogłam go zniszczyć...

Ujął jej ręce w swe dłonie.

- Samochody marki rolls-royce nie tak łatwo się rozbija. Czy jechała pani na spotkanie ze mną?

- A kiedy kiwnęła głową, rzekł: - Tak myślałem. Bardzo uparta z ciebie dziewczyna, kochanie... to przez te twoje piękne rude włosy oczywiście. Mam jednak nadzieję, że jak się już pobierzemy, spokojnie wysłuchasz, kiedy będę miał ci coś do powiedzenia.

- Nie kochasz jej?

- Nie. I nigdy nie kochałem. Jakże uroczo jesteś bezpośrednia, moja dziewczynko. - Uśmiechnął się do niej. - Kocham cię, a ty o tym wiesz w głębi serca. Pokochałem cię od chwili, gdy pierwszy raz ujrzałem cię w kościele. Od tamtej pory myślałem o naszym ślubie, ale najpierw musiałem zerwać zaręczyny z Rhodą. Nie byłem zresztą pewny, czy ty mnie kochasz.

- Jak mogłeś być pewny? Przecież nigdy nie zdradziłam się ani słówkiem.

- „Jest język w oczach, licach jej i ustach...”

- Szekspir, *Troilus i Kresyda* - powiedziała Matilda.

- Wobec tego dlaczego nie...?

Pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Kochana moja, a kiedyż to ośmielałaś mnie do czegokolwiek?

- Nie potrzebujesz ośmielania - odparła stanowczo.

- Wiesz, jak postępować w życiu. Osiągnąłeś powodzenie i niczego chyba się nie lękasz... jesteś tak spokojny.

- Życie ty moje, widzę, że zupełnie nic o mnie nie wiesz. Będiesz miała wiele lat na to, by odkryć, jakim jestem człowiekiem. - Przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona. - Jednej rzeczy musisz się jednak nauczyć natychmiast. Nie zamierzam tracić czasu.

- Pocałował ją znowu, a teraz nie był to z pewnością delikatny pocałunek.

- Och, mój Boże - szepnęła. - Co...?

- Wyjdź za mnie, Matildo. Będziesz mnie mogła pytać, o co zechcesz, jak się pobierzemy, ale teraz jedno tylko pytanie: Czy mnie kochasz?

- Tak, och, nie masz pojęcia jak bardzo.

- Z wielką rozkoszą się o tym przekonam, najdroższa. Chodźmy powiedzieć to twoim rodzicom... Najpierw jednak... - Objął ją mocno, przycisnął do siebie i pocałował, a cała rodzina Finchów, obserwująca tę scenę bez zażenowania z okien, wydała westchnienie zadowolenia.

Pastor poszedł do piwnicy po butelkę szampana, którą chował na specjalne okazje. Matka stawiająca kieliszki na tacy myślała ze złośliwą satysfakcją, że lady Fox wyprowadzi to z równowagi, a Esme - ta oddawała się marzeniom o stroju drużyny.

Młodym nie było wcale spieszo do rodziców. Jeszcze przez długą chwilę stali tak, złączeni ze sobą gorącym pocałunkiem. Odnaleźli prawdziwą miłość i byli szczęśliwi.